



Jeśli masz ochotę na ciepłą
opowieść o przyjaźni oraz miłości,
to ogrzeje Cię...

*Miód
na serce*
EDYTA ŚWIĘTEK

*Miód
na serce*



**Książki Edyty Świątek,
które ukazały się w Wydawnictwie Replika:**

Cienie przeszłości

Zanim odszedł

Tam, gdzie rodzi się miłość

Tam, gdzie rodzi się zazdrość

Cappuccino z cynamonem

Wszystkie kształty uczuć

Noc Perseidów

EDYTA ŚWIĘTEK

*Miód
na serce*


Replika

Copyright © Edyta Świętek

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Joanna Pawłowska

Projekt okładki
Iza Szewczyk

Zdjęcia na okładce
Copyright © depositphotos.com/ Warwara
Copyright © depositphotos.com/ viktoriya89
Copyright © depositphotos.com/ Perfect Lazybones
Copyright © depositphotos.com/ Madlen
Copyright © depositphotos.com/ tomert
Copyright © depositphotos.com/ alenalihacheva

Skład i łamanie
Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

ISBN 978-83-7674-388-2

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 61 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

Czasami uśmiech jest maską. Pod radością kryją się mroczne lub bolesne tajemnice z przeszłości. Sekrety, które nie znikną pod wpływem salw śmiechu. Schowane na dnie serca, tkwią w nim niczym drzazga, wywołując ból przy nieostrożnym ruchu.

Jakże łatwo jest oceniać po pozorach...

Za górami, za lasami, w niewielkiej miejscinie na obrzeżach prastarej Puszczy Niepołomickiej żyła sobie niewysoka, chuda i nieco piegowata sierotka. Dziewczynka dorastała pod troskliwym okiem ukochanej babuni, aż wyrosła na miłą i bardzo mądrą kobietę. Jej największym marzeniem było to, aby pewnego dnia odnaleźć prawdziwe szczęście. Wiedziała jednak, że tym szczęściem nie będą ani rycerz na białym koniu, ani niezliczone skarby, ani nawet dżin, który spełniałby wszystkie jej pragnienia.

Prolog

Gdyby ktoś wpadł na pomysł zorganizowania konkursu na najlepszą przyjaciółkę świata, to Elwira Marecka z całą pewnością zdobyłaby w nim czołowe miejsce. Podobnie byłoby, gdyby wzięła udział w plebiscycie na najbardziej nietrafione lokowanie uczuć.

– Taa... Lokować to można produkt – burknęła pod nosem na wspomnienie swojego permanentnie złamanego serca. – Że też zawsze muszę durzyć się w niewłaściwych facetach – westchnęła.

Co prawda to prawda. Ostatni obiekt jej uczuć, Klaudiusz Drawicz, był żonaty dokładnie od ośmiu godzin. Elwira natomiast, ubrana w sukienkę pierwszej drużyny, ścisnęła w dłoni ślubny bukiet, który wprost w jej ręce wrzuciła najlepsza przyjaciółka, Patrycja Janas. Uściślając: od ośmiu godzin Patrycja Drawicz.

To, że Patrycja i Klaudiusz zmienili kilka godzin wcześniej stan cywilny, w dużej mierze stanowiło zasługę Elwiry. Taka już z niej była masochistka, że najpierw zadurzyła się w sympatycznym stomatologu, a gdy usłyszała, że ten jest zakochany bez pamięci w Pati, nie tylko ich ze sobą wyswatała, ale jeszcze uratowała związek przed niechybną katastrofą. Jakby tego było mało, kilkanaście lat wcześniej zapalała równie niefortunnym uczuciem do... pierwszego męża Patrycji. Cóż, widać, taka już jej dola, że *musiała* zakochać się nie dość że głupio, to jeszcze w cudzych mężczyznach.

Z wiązanką ślubną było tak, że Pati, przewidując manewr drużyny (która zamierzała zrobić unik), cisnęła nim ze wszystkich sił w Elwirę. Dosłownie!

Wykonała zamach, jakby miała rzucać, nie przymierzając, co najmniej oszczepem. No i trafiła, ku zgrozie nie-do-końca-szczęśliwej nowej posiadaczki bukietu. Zamążpójście było bowiem ostatnią rzeczą, o której w chwili obecnej marzyła.

Ciaputek

Naturalną konsekwencją życia w niewielkiej miejscowości jest to, że mieszkający tam od pokoleń ludzie odarci są z jakiegokolwiek intymności. Jeżeli do kogoś w młodym wieku przylgnie jakaś etykieta, to jest rzeczą pewną, że pozostanie ona na zawsze i wyprze z pamięci zbiorowej imię lub nazwisko delikwenta. Tak jak to się stało w przypadku Ciaputka. Bo skoro rodzona matka tak go nazywała, to Ciaputkiem musiał być – koniec i kropka.

Jako nastolatek Ciaputek niczym szczególnym się nie wyróżniał. Czasami bywał ciamajdą i zdarzało mu się coś wylać, stłuc albo upuścić, lecz nie przydarzało mu się to częściej niż przeciętnemu chłopakowi w jego wieku. Nie był najprzystojniejszy w całej wsi, nie był też brzydki. Uczył się przeciętnie, na tyle dobrze jednak, by później skończyć nie najgorsze studia, które zapewniły mu całkiem przyzwoity etat. Miał grupkę przyjaciół i zawsze mógł na nich liczyć, a oni niezmiennie pamiętali o tym, aby nie nazywać go inaczej niż Ciaputek. On nigdy się o to nie gniewał, bo i tak nie było o co.

Ciaputek nie planował zakładania rodziny. Nie czuł się powołany do tego w żaden sposób. Małe dzieci wzbudzały w nim grozę. Kobiety bywały miłym dodatkiem wyłącznie do tych nielicznych wieczorów, gdy miał odrobinę wolnego czasu oraz chęci, aby się zabawić. Instytucja teściowej była dla niego wystarczająco przerażająca, aby powstrzymać go przed próbą zawarcia małżeństwa. Zresztą co innego impreza w miłym towarzystwie, a co innego prawdziwe, obarczone konsekwencjami życie.

Zdecydowanie przyjemniejsza była rola niebieskiego ptaka, chociaż

Ciaputek aż tak bardzo niebieski nie był – miał głęboko zakorzenione poczucie obowiązku i kroczył przez życie, twardo stąpając po ziemi. Poważnie podszedł do ukończenia studiów oraz samodzielności. Szybko zamieszkał sam i świetnie sobie radził z prowadzeniem domu. Spełniał się w pracy zawodowej. Unikał sytuacji, które mogłyby zwiększyć w jego mikrokosmosie zakres spraw ważnych. Asekurował się przed wszelkimi czynnikami mogącymi naruszyć jego bezpieczny świat oraz suwerenność.

Cóż jednak, nawet największa przezorność nie pomoże, gdy zdesperowana singielka zechce usidlić dobrze ustawionego dżentelmena z godziwym etatem. Jedna z pań należących do grona umilającego mu czas wolny postawiła sobie za punkt honoru, że zaobrączkuje Ciaputka – czy mu się to podoba, czy nie. Ponieważ mężczyzna pozostawał wyjątkowo nieodporny na kobiece wdzięki (i sztuczki), Agnieszka bez trudu zaprosiła go w mięką otchłań pościeli, gdzie raz, drugi i trzeci oddali się czynom nierządym. Jakiś czas później młoda kobieta zaczęła go na mieście i oświadczyła dobitnie:

– Ciaputku, kochanie ty moje najpiękniejsze, jesteśmy w ciąży.

– My? – wyraził zdumienie, bowiem jak świat światem, jeszcze żaden mężczyzna w ciążę nie zaszedł.

– No tak: my – odparła Agnieszka, pomna tego, co jej przyjaciółki mawiały na temat stanu błogosławionego i zaangażowania sprawcy zajścia w wychowanie potomstwa, począwszy od życia prenatalnego, aż po chwilę, gdy dziecina rozłoży skrzydła i odfrunie z rodzinnego gniazdka. Liczba mnoga miała na celu dobitne podkreślenie, że ciąża nie jest li tylko i wyłącznie jej sprawą. – Będiesz ojcem, mój skarbusiu najśłodszy.

Hm... Swoją drogą ciekawe, skąd jej przyszło do głowy, że mężczyźni lubią takie słodkie, wręcz ulepkowate spieszczenia?

Oczywiście Ciaputek dobrze wiedział, czym może implikować zażyła relacja z kobietą w wieku rozrodczym. W bociany i kapustę przestał wierzyć dawno temu. Nie próbował robić uników, że to nie on jest sprawcą tego zajścia. Zresztą, co tu dużo mówić, pochlebiało mu uwielbienie ze strony Agnieszki, bowiem jak każdy człowiek czuł potrzebę dowartościowania się choćby czyjąś miłością. Istotę, która miała zostać matką jego dziecka, wręcz przepełniały uczucia i niestrudzenie dawała temu wyraz. W jej oczach Ciaputek był niemalże półbogiem, co podkreślała na każdym kroku.

Po gruntownym omówieniu tematu i przemyśleniu sprawy mężczyzna uznał, że trzeba ulec przed siłą wyższą (czyli zdeterminowaną kobietą). Nawet się nie obejrzał, gdy stał przed ołtarzem i ślubował Agnieszce oraz jej pęczniącemu brzuchowi (który ponoć w równym stopniu należał do niego), że bierze odpowiedzialność za przyszłość zakładanej właśnie rodziny.

Mijały tygodnie.

Uwielbienie Agnieszki nie malało. Ciaputek wracał z pracy do domu w błogim przeświadczeniu, że jarzmo małżeńskie i związana z nim odpowiedzialność wcale nie są takie straszne. Na razie, wbrew usilnym zachodom żony, postrzegał ją jako jeden nierozzerwalny organizm. Myśl o dziecku błąkała się w jego głowie mimochodem, głównie wtedy, gdy przywoływała ją Agnieszka. Póki co wizja powiększenia rodziny wciąż wydawała się czymś abstrakcyjnym.

Na przekór wszystkiemu brzuch Agnieszki zaczynał pęcznieć w oczach skonsternowanego mężczyzny. W jego wnętrzu wzrastało posiane przez Ciaputka ziarno, dając się we znaki: kobiecie – niestrudzonym kopaniem, mdłościami czy puchnięciem nóg, a mężczyźnie nieposkromionymi zachciankami (głównie spożywczymi) połowicy, które należało jak najszybciej zaspokoić, w przeciwnym razie nie dane było zaznać nawet chwili spokoju.

Zdawać się mogło, że nabrzmiała część ciała żony nie może już bardziej urosnąć, gdy Agnieszka wydała z siebie głośne stęknięcie i oznajmiła:

– Ciaputku, będziemy rodzic.

Oczywiście rzecz miała miejsce w późnych godzinach nocnych, czyli w porze, kiedy normalni ludzie śpią przed czekającym ich dniem ciężkiej pracy. Nic więc dziwnego, że słowa Agnieszki nie dotarły do jego zmęczonej jaźni; mężczyzna odwrócił się na drugi bok i zachrapał. Natarczywe trącanie przywróciło mu minimalną cząstkę świadomości.

– Ciaputku, obudź się, kochanie moje najpiękniejsze. Będziemy rodzic! Rodzić!

Przyszły ojciec już miał na końcu języka stwierdzenie, że on nie zamierza wydawać na świat żadnego potomka, gdy dotarło do niego, że użyta przez żonę liczba mnoga nie dotyczy go w sposób bezpośredni. Oprzytomniał w końcu na tyle, aby pojąć znaczenie słów Agnieszki.

– Omójbożetojuż? – wykrzyczał jednym tchem, nie zadając sobie trudu, aby porozdzielać poszczególne wyrazy.

Zerwał się z łóżka i jak szaleniec zaczął gonić po domu, usiłując przygotować się na wyjazd do szpitala. Podziwiał przy tym stoicki spokój żony, która poza stwierdzeniem, że odeszły jej wody i ma skurcze, niewiele miała do powiedzenia.

Dwie godziny później znaleźli się na oddziale położniczym w jednym z krakowskich szpitali. Wokół nich krążył personel medyczny, wymieniając pomiędzy sobą stosowne do okoliczności uwagi. Kandydat na tatusia wciąż nie mógł wyrwać się ze stanu oszołomienia. Oto w jego życiu zachodziły właśnie prawdziwie radykalne zmiany. Stoicki spokój żony prysł jak bańka mydlana. Agnieszka krzyczała, gdyż skurcze bardzo szybko zaczęły się nasilać. Rozpaczliwe jęki rodzącej kobiety przywróciły funkcjonowanie mózgowi mężczyzny. Bodajże po raz pierwszy w życiu Ciaputek wskoczył w rolę, którą do tej pory odgrywała jego połowica.

– Agusia, Agnieszka, kochanie ty moje najcudowniejsze – powtarzał żarliwie, ściskając mocno jej dłoń. – Dasz radę. Wytrzymasz. Jesteś bardzo dzielna!

– Boooli! – łkała przeciągle, wbijając mu paznokcie w skórę.

Ciaputek mężnie przecierpiał ten dyskomfort, bowiem dobrze wiedział, że ból znoszony przez żonę jest nieporównywalnie większy niż ten, którego przysparzało mu parę półokrągłych ranek. Mężnie trwał na posterunku, aż do momentu, gdy z ust położnej padło hasło:

– Pełne rozwarcie. Rodzimy! Pani Agnieszko, teraz proszę przec!

Na porodówce zapanowało zamieszanie. Ciaputek z podziwem spoglądał na wycieńczoną żonę, która mobilizowała ostatnie zasoby sił, aby wydać na świat owoc ich cielesnej miłości.

– To już finisz, kochanie. Jesteś bardzo dzielna! – zapewnił.

Nagle w panującym wokół zgiełku dało się słyszeć jeszcze jeden cichutki głosik.

– Dziewczynka! – oznajmiła położna. – Poprosimy tatusia o przecięcie pępowiny.

Podeksytowany świeżo upieczony rodzic złapał za nożyczki i... Następną rzeczą, którą zapamiętał, to sinoniebieski kolor posadzki.

Zanim urodziła się Iwonka, Agnieszka stroiła sobie żarty, że najukochańszy i najpiękniejszy w świecie mężczyzna jest w rzeczywistości jej dzieckiem – należało mu poświęcać sporo uwagi – tak bardzo pochłaniała go praca. Gdyby nie żona, biedaczek na pewno by nie dojadł, nie byłby w stanie skompletować rano garderoby, nie wspominając już o takich detalach jak znalezienie kluczyków do samochodu oraz portfela.

– Moje kochanie najprzystojniejszy – mawiała, trzepocąc zabawnie powiekami. – Jaki ty jesteś zakręcony!

Trzepotanie powiekami skończyło się, gdy w domu zamieszkała Iwonka.

Od samego początku Ciaputek nie uczestniczył zbyt aktywnie w opiece nad córką. Oczywiście żona próbowała go wrabiać – a to w zmienianie pieluch, a to w nocne wstawanie, lecz jemu te sprawy przychodziły z wielkim wysiłkiem. Na wszelkie możliwe sposoby robił uniki, tłumacząc się tym, że przecież on musi rano jechać do pracy, podczas gdy żona może do woli odsypiać zarwane nocne godziny. Z czasem osiągnął upragniony cel i w domu utrwalił się tradycyjny podział ról: mąż pracował i utrzymywał rodzinę, żona opiekowała się dzieckiem i poniekąd również mężem, choć to ostatnie zajęcie budziło w niej coraz większą irytację.

Cóż, zapomniała biedaczka, że sama rozpuściła Ciaputka w niewiarygodnie krótkim czasie, gdyż odkąd powiedziała mu o ciąży i przeprowadziła się do jego domu, nieustannie go rozpieszczała. Kiedy mężczyzna wracał z pracy, mieszkanie lśniło czystością, w szafie wisiały świeżutki, uprasowane koszule, a na stole czekał smaczny obiad i gazeta. Mąż nie musiał robić absolutnie nic, a w niedzielne poranki dostawał śniadanie do łóżka. Poza zaspokajaniem jej ciążowych kaprysów nie miał w domu żadnych obowiązków.

W rzeczy samej Agnieszka wolałaby, aby ślubny brał czynniejszy udział w życiu rodzinnym, a także wykazywał większą samodzielność. Opieka nad Iwonką była wystarczająco absorbująca. Nianczenie niepozbitanego małżonka uważała za przesadę. Męczyło ją nocne wstawanie do dziecka, płacze, pieluchy i nawały mleczne.

Rozpaczliwie tęskniła do czasów, gdy była panią samej siebie i mogła wychodzić wieczorami na imprezy, martwiąc się jedynie tym, czy kac

pozwole jej na jakie takie funkcjonowanie nazajutrz.

Ach! Co to był za raj na ziemi! Jaka sielanka!

Sobotnie balowanie. Leniwe niedziele, gdy poranek oznaczał godzinę trzynastą. Głośne słuchanie muzyki (po ślubie musiała tego poniechać, przynajmniej wtedy, gdy szanowny małżonek przebywał w domu, gdyż hałas przeszkadzał mu w zebraniu myśli). Seksowne minispódniczki i niebotyczne szpilki!

Ach, za tymi ostatnimi tęskniła najbardziej! Przez całą ciążę z nostalgią spoglądała na swoje ulubione czółenka, w których z gracją tańczyła na dyskotekach. Puchnące nogi nie pozwalały jej na włożenie takich butów. Zresztą dokąd miałyby w nich kuśtykać? Do ginekologa? O kusych ciuszkach także mogła póki co zapomnieć. W trakcie ciąży jej gabaryty powiększały się zatrważająco szybko, pozostawiając po sobie efekt uboczny w postaci blisko trzydziestokilogramowej nadwagi.

– Buu! – łkała, zerkając na wskaźnik wagi. – I po co mi to było? Zajdź w ciążę, będzie fajnie, zobaczysz – przedrzeźniała koleżanki, które przed rokiem sugerowały jej taką opcję.

Zresztą w tamtych czasach nie tylko one troszczyły się o szczęście Agnieszki.

– Powinnaś wyjść za mąż – mawiała coraz częściej matka, zmartwiona tym, że córka zaczyna osiągać fazę zgnuśniałego staropanieństwa.

Zgnuśniałego, bowiem w wieku dwudziestu ośmiu lat wciąż korzystała z garnuszka mamusi. No dobra, nie korzystała. Ona żerowała na matce. Dosłownie. Paszczowo. Mizerne zarobki, które dostawała za pracę w niepołomickiej kawiarni Alter Ego, trwoniła na ciuszki, kosmetyki i balowanie z coraz mniej licznym gronem koleżanek-singielek. Właściwie to już nie singielek, lecz po prostu sfrustrowanych starych panien, które desperacko marzyły o tym, aby wydać się dobrze za mąż. Pragnęły tego, ponieważ pozostając w stanie bezzennym, miały poczucie, że są kimś gorszym, wybrakowanym.

Szczęśliwe mężatki obnosiły się z ciążami i bobasami, miały wspaniałych facetów i piękne domy. Gonily na wywiadówki, przewracając oczami i jęcząc, jak to żyją w ciągłym „niedoczasy”, a jednocześnie mogły sobie pozwolić na kupno własnego domu czy mieszkania, bo, jak wiadomo, we

dwoje łatwiej. Z dumą rozprawiły o swoich pociechach i ich szkolnych sukcesach. Terroryzowały otoczenie milionami zdjęć bądź filmikami z występów w przedszkolu nagrywanymi komórką. Dumne matki-kwoki. Elitarny klub, od którego singielkom wara!

Nic więc dziwnego, że wśród koleżanek Agnieszki wybuchła niemalże panika, gdy usłyszały wieść o rychłym zamążpójściu zezowatej Ewki, chyba najmniej atrakcyjnej z singielek zamieszkujących okolicę. Dziewczyny ogłosiły powszechną mobilizację, wzajemnie motywując się do działania. A ponieważ desperacja osiągnęła apogeum, zaczęło się działanie w myśl zasady „wszystkie chwytaki dozwolone”. I dzięki takim oto zabiegom Ciaputek wpadł w małżeńskie sidła w najbardziej banalny z możliwych sposobów.

– Jak one to robią? – zachodziła w głowę Agnieszka, obserwując inne młode matki.

Odkąd urodziła się Iwonka, kobieta była permanentnie niewyspana i zmęczona. I co z tego, że nie musiała wstawać rano do pracy? Była wszak zatrudniona na kilka etatów jednocześnie: jako niania, gospoia, sprzątaczką, praczka, kucharka... Na dodatek do niańczenia miała nie tylko córkę, ale również męża. Nie ogarniała tego. Dom coraz częściej straszył bałaganem, w kuchni piętrzyły się stosy nieumytych naczyń (włożenie ich do zmywarki także wymagało czasu!), kosz na brudy kipiał, a w salonie zalegała sterta niewyprasowanych rzeczy. W sypialni, znękana nieustannym marudzeniem niemowlęcia, dogorywała rozczochrana i zaniedbana kobieta. Ilekroć Agnieszka spoglądała w lustro, wzdygała się na swój widok. Tak, małżeństwo i macierzyństwo zdecydowanie jej nie służyły.

Jakim cudem inne młode mamy potrafiły wyglądać tak kwitnąco? Skąd brały czas na to, aby (wystrojone w ciuchy z najnowszych kolekcji, starannie uczesane i umalowane) spacerować po parku, popychając przed sobą wózek z radośnie uśmiechniętym potomkiem? Dlaczego inne kobiety wyglądały jak kwintesencja macierzyństwa rodem z telewizyjnych reklam? Posiadły jakiś magiczny sekret? Mogły liczyć na pomoc potwornych teściowych? Zatrudniały nianie? Gosposie? Dobre wróżki?

Agnieszka nie знаła ich czarodziejskich sztuczek, więc z każdym dniem

popadała w coraz większe zwątpienie. Gdyby chociaż mogła liczyć na pomoc męża! Ale nie, nic z tych rzeczy! Ten drań znikał na całe dni, twierdząc, że ciężko pracuje na to, aby utrzymać rodzinę oraz spłacać kredyt na dom i samochód. Wracał zmęczony i głodny. Oczekiwał posiłku, chwili wytchnienia oraz odrobiny przyjemności.

Cholerny, roszczeniowy samiec! – urągała mu w duchu.

Seks był ostatnią sprawą na liście jej priorytetów. Bardzo chętnie wykreśliłaby ten punkt raz na zawsze. No bo jak tu oddawać się cielesnym uciechom, skoro później owocują one bólem, łzami i krwią, a w efekcie nieprzespanymi nocami i wrzeszczącym niemowlęciem? Jak przekonać odporne ciało do kolejnej aktywności, skoro szczytem marzeń jest święty spokój i sen? No i jak wysilić się na cokolwiek, gdy ślubny znika na całe dni, a później bez żadnych wstępów i romantycznych podchodów wpycha rękę między jej mocno zaciśnięte uda?

Z uniesień pozostało mi uniesienie brwi, ze wzruszeń – wzruszenie ramion^[1] – łkała w poduszkę słowami jedyne go poety, którego od czasu do czasu czytywała (oczywiście w zamierzchłej przeszłości, nieobciążonej brzemieniem męża i dziecka).

Lista ciężkich przewinień Ciaputka wydłużała się coraz bardziej. Agnieszkę irytował brak choćby szczypty romantyzmu w małżeństwie. W krótkotrwałym czasie narzeczeństwa (pobrali się, gdy była w szóstym miesiącu ciąży, więc tempo było naprawdę ekspresowe) Ciaputek wyczerpał chyba cały przydział, jakim dysponował. Zabrakło więc czułości, spoglądania w oczy i komplementów. O kwiatkach czy czekoladkach można było zapomnieć. W sferze zainteresowań erotycznych męża znajdował się kotlet schabowy, a później pościel. Bez urokliwych chwil przy świecach, bez fajerwerków, nawet bez odrobiny finezji.

Co gorsza, Ciaputek nigdy nie nosił obrączki, chociaż wciąż mu o tym przypominała! Drażniło ją, że struga w ten sposób kawalera, bo przecież złote kółeczko na palcu było czytelnym sygnałem dla wszystkich zdesperowanych singielek: ręce precz od tego faceta – on jest zajęty. Oczywiście Agnieszka nie podejrzewała go o to, aby ją zdradzał – jej zdaniem był na to zbyt fajtłapowaty. Czasami wręcz nazywała go pieśzcotliwie swoim fajtłapulkiem najukochańszym (oczywiście w czasach,

gdy jeszcze obowiązywało pieśczośliwe nazewnictwo, czyli przez krótki okres narzeczeństwa oraz oczekiwania na dziecko). Zapewne gdyby nie jej przedsiębiorczość, mężczyzna nadal pozostawałby w stanie bezżennym. Ale że strzeżonego Pan Bóg strzeże, profilaktycznie kontrolowała jednak swoje ślubne (nie)szczęście tyle, na ile było to możliwe. Obwąchiwała koszule, aby sprawdzić, czy nie przesiąkły zapachem damskich perfum, szukała śladów szminki na kołnierzyku, malinek na torsie i podejrzanych paragonów w kieszeniach bądź budzących wątpliwości kwot na wyciągach bankowych. Nie znajdowała absolutnie nic, co mogłoby wzbudzać podejrzenia, ale jak wiadomo – przezorny zawsze ubezpieczony.

Największą zbrodnią męża był totalny brak empatii i zaangażowania w opiekę nad dzieckiem. Ciaputek nigdy nie chciał pomóc podczas kąpieli. *Ojej! Mógłbym ją niechcąco podtopić.* Zmiana pieluchy? *Ojej! Przecież kupa śmierdzi!* Karmienie? *Yyy... Eee... Ty to zrobisz lepiej.* Ba! On nawet nie kwapił się, aby wziąć swoją córeczkę na ręce. *Kurczę! Jest taka maleńka, że boję się, czy jej nie uszkodzę! Obiecuję ci większe zaangażowanie, jak już Iwonka podrośnie.*

A przecież odkąd tylko poinformowała go o ciąży, przygotowywała Ciaputka do roli ojca! Czyż nie po to używała liczby mnogiej, opisując swój stan?

Za oknem panowały egipskie ciemności. Nic nadzwyczajnego, zważywszy że był listopad, a zegarek wskazywał czwartą nad ranem. Budzik wmontowany w Iwonkę (opcja gratisowa, z której nie da się ot tak po prostu zrezygnować) alarmował, że nadeszła pora karmienia. Od kilku tygodni Agnieszka nie karmiła piersią. Jej pokarm okazał się niewystarczający dla wiecznie głodnej córki, więc trzeba było podawać małej jedzenie modyfikowane. Było to bardziej uciążliwe, ponieważ należało wieczorem pamiętać o przygotowaniu czystych butelek i smoczków, a w nocy sporządzić mieszankę, co zwykle trwało dłuższą chwilę. Iwonka zazwyczaj niecierpliwiła się, że musi czekać, i zaczynała w tym czasie wrzeszczeć wniebogłosy, budząc Ciaputka.

– Błagam – jęczał, zasłaniając uszy poduszką. – Zrób coś, żeby przestała płakać, bo ja muszę rano wstać do pracy.

Robiła, co mogła, lecz taka sytuacja powtarzała się średnio po cztery, pięć razy w tygodniu.

Z drugiej strony Agnieszka była wściekła na męża, bo odkąd karmienie Iwonki przestało wymagać jej obecności, mógł choć raz wykazać odrobinę zrozumienia dla jej potrzeby snu i zająć się dzieckiem. Niestety, on potrafił tylko marudzić, odwracać się na drugi bok i naciągać kołdrę na głowę.

Pomna tego, że nie może liczyć na niczyją pomoc, zmęczona kobieta zwlekła z łóżka swoje łaknące snu ciało. Niemalże po omacku przygotowała butelkę dla córki, później wyjęła płaczące niemowlę z kołyski i usiadła na bujanym fotelu. Krzyk ustał, przechodząc w łapczywe ciamkanie.

– Nie jedz tak szybko – powiedziała półgłosem Agnieszka – bo znowu się zadławisz albo dostaniesz kolki.

Zgodnie z jej przewidywaniami, ledwo Iwonka skończyła posiłek, ponownie zaczęła wrzeszczeć, prężąc się w jej ramionach.

– Aga! Litości! Zrób coś w końcu! – Do jej uszu dotarł pełen pretensji głos męża.

– Robię, co mogę! – oburzyła się.

– Nie zauważyłem – burknął rozdrażniony mężczyzna. – Co z ciebie za kobieta?! Nic nie potrafisz zrobić. W domu jest brudno, moje rzeczy są niewyprasowane, a dziecko wciąż krzyczy. Ogarnij się w końcu!

– Nie krzycz! Wystraszysz małą!

– Nie krzyczę. Ja ci tylko mówię, żebyś w końcu wzięła się w garść. Sam nie zrobię wszystkiego – dodał naburmuszonym tonem, przypominając sobie, że dzień wcześniej osobiście musiał wyprasować swoją koszulę. – Ech, nie mam z ciebie żadnego pożytku.

Ostatnie słowa Ciaputka dotyczyły totalnie obumarłego pożycia oraz domu będącego niemalże w ruinie.

Agnieszka uznała, że dyskusowanie z Panem Wrednym mija się z celem. Niewyspany mąż był zły i zgryźliwy. Zabrała płaczące dziecko i opuściła sypialnię. Nawet nie wyszła ostentacyjnie – bowiem mężczyzna chrapał już w najlepsze, nie przejmując się tym, że ona zarywa kolejną noc na samotne zmagania z kolką Iwonki.

Pół roku permanentnego niewyspania.

Pół roku użerania się z macierzyństwem.

Pół roku rozpaczliwej samotności i braku wsparcia ze strony męża.

– Boże! Nie wytrzymam tego ani dnia dłużej – chlipnęła, zapominając o tym, że wcale nie jest osamotniona w swoich macierzyńskich trudach.

Miała przecież matkę, która od czasu do czasu wpadała po to, aby ogarnąć dom, zrobić pranie, poprasować oraz przygotować obiady dla Pana Wiecznie Głodnego na tydzień do przodu. Dodatkowo mogła jeszcze liczyć na pomoc teściowej, zawsze chętnej do zabawy z wnusią i niańczenia małej, gdy musiała dokądś wyjść.

Tak naprawdę nic nie ograniczało jej możliwości opuszczania domu, w granicach przyzwoitości rzecz jasna.

Miała ochotę jechać do galerii handlowej? Proszę bardzo. Fryzjer? Kosmetyczka? Nie ma problemu.

Sęk w tym, że to ona sama narzuciła sobie w myślach jakieś nieistniejące jarzmo. Cóż, z drugiej strony nie można było oczekiwać od którejkolwiek babci zajmowania się wnuczką, podczas gdy matka będzie szalała na dyskotecę lub opijała przeszłe szczęście z równie sfrustrowanymi koleżankami.

Agnieszka tęskniła za swobodą z panięńskich czasów, gdy jeszcze nie było dziecka i odpowiedzialności oraz męża i obowiązków.

– Małżeństwo jest przereklamowane – westchnęła ciężko. – I co mi przeszkadzało w byciu singielką? Niech diabli wezmą wszelkiej maści doradców! Cii... No, nie becz już – zwróciła się do płaczącej córki, układając ją sobie na ramieniu. – Wiem, że boli cię brzuszek, a na domiar złego chyba idą ci ząbki, ale to jeszcze nie powód, żeby tak się wydzierać. Za grosz szacunku do matki. – Przewróciła oczami.

Nosiła małą po salonie, poklepując ją delikatnie po plecach, lecz żałosne skargi nie ustawały nawet na moment.

– Boże! Co ja bym dała za to, aby zrobić sobie prawdziwe wagary. Nie dwugodzinny wypad na zakupy, ale cała doba tylko i wyłącznie dla mnie! Och! Nieprzerwany sen w wygodnym łóżku, w którym nie wierciłby się żaden żądny seksu facet. Smaczny obiad, który podano by mi do stołu i nie musiałabym się od niego odrywać, aby spieszyć do płaczącego dziecka. Żadnego prania, gotowania, sprzątnięcia! Żadnych pieluch, kolek i smoczków! Tylko ja i... ja – dokończyła, gdyż zabrakło jej inwencji twórczej, aby

wymyślić, z kim miałyby spędzić ten czas. – No, nie płacz już, dziecko.

Jakby w odpowiedzi na jej prośby Iwonka zakasłała, a następnie zamilkła. Agnieszka poczuła lepkać maść spływającą po karku oraz włosach i ściekającą gęstą strugą za kołnierz szlafroka. Poczwała charakterystyczną ostrą woń.

– No masz – westchnęła. – Znowu się porzygałaś?

Dość nieprzyjemna cena za chwilę świętego spokoju.

Kobieta obmyła buzię zmęczonego płaczem dziecka. Na szczęście córeczki nie trzeba było przebierać. Znużona i wyczerpana dziewczynka zasypiała na rękach matki. Agnieszka odniosła ją do łóżeczka, a sama wyjęła z garderoby świeży szlafrok oraz piżamę – powinna wziąć szybki prysznic, a później złapać chociaż trochę snu.

Zamiast tego klapnęła w fotelu i ukryła twarz w dłoniach. Jej ciałem wstrząsnął szloch bezsilności. Z niechęcią spojrzwała na smacznie śpiącego męża, później przeniosła spojrzenie na dziecko. Poczwała ogrom zmęczenia.

Nie chciała być złą żoną ani tym bardziej złą matką.

Nie miała sił, aby to zmienić.

Co z tego, że miała dwadzieścia dziewięć lat, skoro w głębi duszy wciąż była dziewiętnastolatką i pragnęła dobrej zabawy oraz bez troski? Czwała się jak dziecko, któremu obiecano wspaniały prezent na gwiazdkę, a następnie wręczono pustą torebkę.

Przesiedziała kolejne godziny, aż za oknem zaczęło świtać. W końcu, znużona, zasnęła. Obudziła ją krzątająca męża, który szykował się do pracy. Spod półprzymkniętych powiek obserwowała, jak Ciaputek, wiążąc krawat, nachyla się nad łóżeczkiem i zagląda do gaworzącej córeczki.

– Cześć, zbójek. Znowu rozrabiałaś w nocy? – pytał łagodnym głosem fikającą ze szczęścia dziewczynkę. – Nie wiesz, że tatutek musi rano wstawać, hę?

Gdzie zniknął zrzędcący, pełen pretensji gbur?

To oczywiste, że poszedł w diabły, skoro do woli mógł się wyspać.

Agnieszka westchnęła, ściągając na siebie uwagę męża.

– O! Cześć, Aga. Czemu nie poszłaś spać? – wyraził zdziwienie. – Siedzisz w fotelu, a później beczysz, że jesteś niewyspana. Dobra, czas na mnie – powiedział, nachylając się nad żoną, aby pocałować ją na pożegnanie. – Mogłabyś się wykapać – dodał, pociągając wymownie nosem i spoglądając

na żonę z politowaniem.

Wyszedł, zadowolony z siebie i radosny jak skowronek.

Głodne dziecko znowu uderzyło w płacz.

Po powrocie z pracy Ciaputek zastał żonę ubraną jak do wyjścia.

– Wybierasz się dokądś? – wyraził zdziwienie.

– Owszem.

– A Iwonka?

– Zajmij się nią. Jest przewinięta i nakarmiona. Śpi. Masz mniej więcej dwie godziny.

– Na co? – zdziwił się mężczyzna.

– Na to, żeby dorosnąć do roli ojca – odparła cierpko kobieta, podnosząc dużą, wypełnioną po brzegi torbę.

– Odchodzę. I nie wrócę, póki się nie ogarniesz.

– Ja mam się ogarnąć? Ja? – zapytał zaskoczony Ciaputek.

– Tak, ty – powiedziała, otwierając drzwi. – Moja taksówka przyjechała. – Wskazała samochód stojący po drugiej stronie ulicy.

– Agnieszka! Nie wygłupiaj się! – krzyknął zaskoczony mąż.

Kobieta ruszyła w stronę furtki. Nawet nie spojrzała za siebie. A on stał jak sparaliżowany i nie był zdolny do tego, aby za nią pobiec.

Trzasnęła zamykana bramka, a po chwili drzwi od samochodu.

– Ale jak to: odchodzisz? – zapytał głupio Ciaputek, chociaż żona nie mogła go usłyszeć. – A kto zajmie się dzieckiem? Domem? Mną? Dziecko! Rany boskie! – jęknął przerażony mężczyzna i pognął w stronę pokoju córeczki.

To nie mogło dziać się naprawdę! Nie mógł zostać sam z maleństwem, do którego nie istniała żadna instrukcja obsługi. Myśl o tym wpędziła go w przerażenie.

Nie! Nie! Nie! Agnieszka na pewno blefowała. Chciała mu dokuczyć albo wręcz zrobić na złość, bo przecież wiadomo, że kobiety często bywają złośliwe.

Ciaputek zajrzał w szparę pomiędzy niedomkniętymi drzwiami a futryną. Dziecko spało spokojnie w łóżeczku. Mężczyzna odetchnął z ulgą i poszedł do sypialni. Uchylił drzwi szafy i zobaczył, że brakuje większości ubrań

należących do żony. Na toaletce leżała koperta opatrzona jego imieniem. Zajrzał do środka i wyjął list. Przeleciał wzrokiem po kilku gęsto zapisanych stronach.

...Z bólem serca stwierdzam – pisała Agnieszka – że małżeństwo z tobą jest jednym wielkim pasmem rozczarowań. Nigdy, nawet przez jeden krótki moment nie mogłam liczyć na Twoją pomoc i wsparcie. Zawsze byłam sama z dzieckiem. Brakuje Ci choćby grama empatii – ja też chciałabym się wyspać i znaleźć czas na to, aby zadbać o własne przyjemności. Postanowiłam więc postawić Cię w takiej samej sytuacji, w jakiej ja tkwię od pół roku. Przekonaj się na własnej skórze, jak to jest być ojcem. Weź w końcu odpowiedzialność za naszą córkę. Poświęć jej odrobinę uwagi. Dorośnij, chłopczyku.

Ja odchodzę i nie wiem, czy i kiedy wrócę. Potrzebuję odrobiny przestrzeni dla siebie. Bez nieprzespanych nocy, pieluch, kolek i rzygania.

Baw się dobrze, Tatusiu.

Nagle świat mężczyzny runął. Dotarło do niego, że to nie żart. Agnieszka odeszła, zostawiając go samego z półrocznym dzieckiem. Nie miał pojęcia, jak to wszystko funkcjonuje! Nic nie wiedział o dzieciach, nigdy żadnym się nie zajmował.

Ogarnęła go wściekłość na tę podłą egoistkę. Czego brakowało jej do szczęścia?!

Przecież wziął z nią ślub!

Nie musiała pracować, to on utrzymywał rodzinę i dom. Na nic nie żałował pieniędzy.

Był dla niej dobry. Nie pił, nie bił, nie łądaczył się z innymi kobietami.

Czy to mało?

Zła kobieta! Jak mogła mu to zrobić?! Ciaputek z przerażeniem pomyślał o tym, że lada moment obudzi się Iwonka. I co wtedy?

– Mamo, ratuj! – jęknął przerażony mężczyzna.

Mamo, ratuj? Mamo, ratuj?! Ależ oczywiście: mamo, ratuj!

Ciaputek wciąż ścisnął w dłoni list od Agnieszki, gdy domową ciszę przeciął elektryzujący krzyk dziecka.

– O Boże – jęknął mężczyzna. – Tylko nie to! O Boże, Boże, Boże! Co ja mam zrobić? Czego ona chce?

Rozum podpowiadał mu, że osobiście musi to sprawdzić. Z duszą na ramieniu zajrzał do pokoju córeczki. Dziewczynka płakała żałośnie, próbując usiąść. Ojciec bez trudu odgadł powód nagłego wybuchu rozpacz, ponieważ w powietrzu unosił się, delikatnie mówiąc, niezbyt przyjemny zapach.

– O nie! Błagam, powiedz mi, że nie masz kupy w majtasach.

Dziecko natychmiast zareagowało na głos ojca. Płacz ustał – zapewne na krótko. Na buzi dziewczynki pojawił się uśmiech pełen szczęścia.

– Gu-gu! – krzyknęła radośnie, lecz zaraz przypomniała sobie o dyskomforcie w okolicy krocza i ponownie uderzyła w płacz.

Ciaputek, wstrzymując oddech, zbliżył się do łóżeczka. Oceniał optycznie sytuację. Nie wyglądało to dobrze. Córcia zafundowała mu rzadką niespodziankę, która przeciekła przez pampersa i rozlała się ohydną plamą na śpioszkach.

– Zaraz opanuję sytuację! – wykrztusił, dusząc się z braku oddechu. – Już pędzę po pomoc! Tylko nie płacz! Błagam!

Mimo coraz głośniejszego rozbrzmiewającego krzyku ostrożnie opuścił strefę skażenia. W przedpokoju wpuścił do płuc głęboki haust powietrza. Potem pomacał kieszenie w poszukiwaniu telefonu komórkowego.

– Halo? Mamusia?! Ratuj mnie! – jęknął w słuchawkę, gdy tylko uzyskał połączenie.

– Synku! Co się stało?! – zapytała przestraszona kobieta.

– Agnieszka wyjechała, a Iwonka ma kupę w gaciach. Pomóż mi, błagam. Ja nie wiem, co mam robić!

– Jak to: Agnieszka wyjechała? Dokąd? Do lekarza? Na zakupy?

– Nie wiem dokąd. Po prostu wyjechała! – krzyczał, usiłując zagłuszyć coraz donośniejszy płacz dziecka.

– A co tam u ciebie tak głośno? – zainteresowała się kobieta.

– Iwonka zrobiła kupę!

– To dlaczego jej nie przebierzesz?

– Bo nie wiem jak!

– Jak to: nie wiesz? Co z ciebie za ojciec?!

– Mamo, proszę! Nie czas na wyrzuty. Możesz tu przyjechać jak najszybciej? Błagam, mamo!

– Wykluczone. Jestem w Myślenicach. Mogę dojechać najwcześniej za

godzinę.

– Okej, poczekam. Może nie ogłuchnę do tej pory.

– Aaa! Ciaputku, masz natychmiast przewinąć Iwonkę! Chcesz, żeby odparzyła sobie pupkę? Dopiero wtedy da ci popalić! – krzyknęła kobieta i rozłączyła rozmowę.

– O Boże – jęknął mężczyzna, czując, jak uginają się pod nim kolana.

Nigdy nie zmieniał dziecku pieluchy. Ba, nigdy wcześniej nie trzymał córki na rękach – wciąż obawiał się, że przetrąci jej delikatny kręgosłupek albo ją upuści, albo zrobi coś równie strasznego.

– No dobra. Bądź mężczyzną, kolego! – dopingował samego siebie, lecz gdy tylko przekroczył próg pokoju dziecięcego, zapach, który tam się unosił, wywołał w nim falę mdłości.

Ciaputek dreptał bezradnie w miejscu. Jeżeli miał przewinąć dziecko, powinien najpierw wyeliminować źródło smrodu. Tylko jak, skoro smród był częścią składową nieprzyjemnej niespodzianki, jaką zgotowała mu córeczka? Płacz nasilał się. Mężczyzna nie miał wyjścia – musiał pospieszyć z pomocą. Wziął wiszący w przedpokoju szal i owinał nim twarz. Z dwojga złego wolał umrzeć z braku dopływu świeżego powietrza niż zostać pokonanym przez broń biologiczną.

– Nie płacz, zbójek. Supertatutek już rusza z pomocą!

Pomyślał, że najlepiej będzie, jeśli zanieś małą do łazienki, wsadzi do wanny, a tam ostrożnie ją rozbierze i od razu umyje jej pupkę pod bieżącą wodą. Karkołomne zadanie. Nigdy nie kąpał Iwonki. Nie wiedział, jak to zrobić.

Musi być jakiś prostszy sposób. W końcu nie bez powodu Agnieszka nastawała na kupno tego dziwaczego sprzętu nazywanego przez nią przewijakiem. Ostrożnie ujął dziecko pod paszki i starając się nie oddychać zbyt intensywnie (mimo szalika wciąż dolatywał do niego nieprzyjemny zapach), zaniósł Iwonkę na wyścielony ceratką blat. Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer do matki. Ustawił tryb głośnomówiący.

– Okej, mam. Przewinę zaraz Iwonkę, ale musisz mi krok po kroku wytłumaczyć, co mam robić.

Na szczęście kobieta darowała sobie kąśliwe uwagi. Walcząc z mdłościami, Ciaputek dokonał rzeczy niemożliwej – nie tylko zmienił córce pampersa, ale

również przebrał ją całą, gdyż zawartość pieluszki zapaskudziła absolutnie wszystko. W końcu zdołał zapakować wierzgające dziecko w niezbędne rzeczy.

– Mamo, błagam, przyjedź jak najszybciej. Ja tego nie ogarniam – jęknął, kończąc ubieranie małej. Odłożył dziecko do łóżeczka i otarł pot z czoła. Miał jeszcze do posprzątania pobojuwisko, które powstało w trakcie całej operacji.

– Będę u ciebie za godzinę – oznajmiła kobieta. – Do tego momentu musisz sobie jakoś radzić. Mam nadzieję, że Iwonka nie zgłodnieje w tym czasie, bo zakładam, że nie potrafiłbyś jej nakarmić. Boże! Stworzyłam potwora! – jęknęła ostentacyjnie i zakończyła rozmowę.

Przebrana dziewczynka wykazywała ożywienie. Złapała za szczeble łóżeczka i dotąd wyteżała siły, aż zdołała się podciągnąć i usiąść.

– Ga! Gggg! – zawołała, wyciągając ręce w stronę taty.

Ciaputek zgarnął pampersa oraz chusteczki kosmetyczne do kosza na śmieci. Pozbierał zużyte ubranka i przez chwilę zastanawiał się, co z nimi zrobić. Miał szczere chęci wyrzucić je razem z pieluchą, lecz przeważył głos rozsądku – nie mógł przecież pozbywać się tych rzeczy, bo na pewno ich ilość była ograniczona. Niewiele myśląc, wyniósł brudne ciuszki do łazienki. Miał zamiar błagać matkę, aby je wyprała albo w ogóle coś z nimi zrobiła.

Zmęczony wrócił do pokoju córki.

– No co, zbójek? Dałaś czadu – powiedział. – Mam nadzieję, że twoja mamusia żartowała i zaraz wróci do domu.

Że też wcześniej na to nie wpadł! Przecież powinien był do niej zadzwonić! Agnieszka nie mogła tak po prostu odejść. Kobiety raczej nie porzucają swoich dzieci. Mężów tak, ale nie dzieci! To wszystko na pewno jest przykrym żartem. Pewnie chciała utrzyć mu nosa za poranny komentarz na temat higieny. Wprawdzie napisała wyraźnie: *nie dzwoń do mnie i nie próbuj mnie szukać*, ale przecież wcale nie musiał znaleźć i przeczytać jej listu. Wycofał się na korytarz i wybrał numer do Agnieszki, lecz ku swojemu zmartwieniu, prócz sygnału w aparacie, usłyszał dzwonek dobiegający z szafki nocnej. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył komórkę oraz leżącą pod nią kartkę.

Przecież napisałam, że masz do mnie nie dzwonić! – odczytał.

– To niemożliwe. To nie dzieje się serio.

A co będzie, jeśli żona nie wróci do domu na noc?!

Nie dane mu było dalsze roztrząsanie tej kwestii, gdyż Iwonka ponownie uderzyła w płacz.

Biedny Ciaputek! Sam miał ochotę usiąść i rzewnie zapłakać!

Zgodnie z obietnicą, jeszcze tego samego dnia do domu Ciaputka zawitała jego matka. Wanda od razu rzuciła się na pomoc płaczącemu dziecku. Przygotowała butelkę z jedzeniem i pokazała synowi, jak należy karmić małą. Później niemalże na siłę wcisnęła mu córkę w rękę.

– Musisz ją teraz ponosić na ramieniu, aby jej się odbiło – objaśniła. – A teraz mów: o co chodzi z tym nagłym wyjazdem Agnieszki?

Zakłopotany mężczyzna podał matce list od żony.

– Myślałem, że to głupi żart, ale ona chyba tak na serio.

– Dobra, dobra. Ty się teraz zajmij dzieckiem, a ja zobaczę, co jest grane – odparła kobieta, wyjmując z torebki okulary.

Wanda czytała w skupieniu, marszcząc gniewnie brwi. Co jakiś czas zerkła na syna drepczącego po pokoju z córeczką na rękach. Kiwała głową z politowaniem. Ciaputek pomyślał, że w jakiś magiczny sposób matka znajdzie rozwiązanie dla jego problemów. Wszak zawsze mógł liczyć na jej wsparcie. Tymczasem, ku jego przerażeniu, zamiast spodziewanych słów otuchy usłyszał:

– Wychowałam cię na egoistycznego smarkacza! Czas dorosnąć, synu! Najwyższa pora włożyć spodnie i skończyć z Ciaputkiem!

– Ależ mam! – oburzył się mężczyzna.

– Zamilcz! Jeśli chociaż połowa tej listy zażaleń – potrząsnęła kartkami zapisanymi przez Agnieszkę – pokrywa się z prawdą, to oznacza, że jesteś tępym matole, szwinistą i nieodpowiedzialnym wałkonem! Wstyd mi za ciebie! I wiesz co? Dobrze ci tak!

– Mamo... – próbował protestować, lecz został dosłownie zmiażdżony gniewem Wandzi.

– Zasłużyłeś sobie na to! Nawarzyłeś piwa, to teraz je wypij.

– Ja nie wiem, co mam robić. Nie znam się na opiece nad dziećmi – jęknął przerażony mężczyzna.

– W takim razie czas dorosnąć, chłopczyku. Nie jesteś pępkiem świata. Teraz najważniejsze jest dobro Iwonki – dodała łagodnie.

– Pomożesz mi? – zapytał z nadzieją.

– Jeśli oczekujesz, że cię wyręczone, to wybierz sobie z głowy takie rojenia. Mogę jedynie pomóc. Wyłumaczę ci co i jak. Z przewijaniem sobie poradziłeś. Teraz pora, abys nauczył się całej reszty. I to na poczekaniu, bo dziecko nie jest lalką, którą można odłożyć na półkę i wrócić do niej, gdy najdzie cię ochota.

– Nie dam sobie rady – jęknął grobowym głosem.

– Nie święci garnki lepią.

– Ale ja muszę pracować. Kto zajmie się Iwonką jutro rano? Mamusiu, ratuj!

– Weź urlop na żądanie. Albo tacierzyński. Chyba ci przysługuje.

– A ty nie mogłabyś...

– Nie. Wychowałam ciebie oraz trzy twoje siostry. I to w czasach, gdy nie było pampersów i innych udogodnień. Nie uważasz, że to wystarczy?

Mężczyzna zwiesił głowę. Wiedział, że kobieta się nie ugnie.

Ciaputek zastosował się do rady, którą udzieliła mu matka i, chociaż było mu to bardzo nie na rękę, wziął najpierw cztery dni urlopu na żądanie, a następnie przedłużył go o tydzień wypoczynkowego. Liczył na to, że Agnieszka stęskni się za dzieckiem (*No, bo jak tu nie tęsknić za taką rozkoszną istotką?* – przekonywał na siłę samego siebie) i wróci. Przecież nie mogła tak po prostu odciąć się od rodziny. Mężczyzna obiecywał sobie, że gdy już żona pojawi się w domu, to nie będzie jej robił wyrzutów.

Minął tydzień, a Agnieszka nie dawała znaku życia. Zdruzgotany Ciaputek musiał przedłużyć urlop. To nie była komfortowa sytuacja. Taki stan rzeczy nie mógł trwać w nieskończoność.

W ostatnich kilku dniach odczuł na własnej skórze, czym jest opieka nad niemowlęciem. Matka miała cholerną rację: dziecko nie było lalką, którą można byłoby zająć się później. Jeżeli Iwonka potrzebowała czegoś, musiało to być zapewnione natychmiast, w przeciwnym razie sytuacja mogła ulec pogorszeniu. Ciaputek przechodził więc błyskawiczny kurs dbania o córeczkę, odgadywania jej potrzeb, a przy tym wszystkim nie mógł

pozwolić, aby jego dom popadł w totalną ruinę. Zresztą to ostatnie postawił sobie za punkt honoru. Nim się ożenił, mieszkał sam, więc potrafił zadbać o porządek oraz o świeże koszule. Nie mógł dopuścić, aby Agnieszka wróciła do potwornie brudnego domu i zaczęła pokpiwać z nieudolności męża.

Problem w tym, że nocne wstawanie do dziecka nie sprzyjało takim formom aktywności. Biedny Ciaputek chodził permanentnie niewyspany. Zapomniał o istnieniu telewizji, kumple poszli w odstawkę. Kiedy miał wolną chociaż jedną krótką chwilę, priorytetem stawał się sen. Mężczyzna bardzo szybko przyswoił zdolność zasypiania w każdych okolicznościach.

Wszystkie poranki zaczynały się tak samo: czyli od płaczu głodnego dziecka i modlitwy Ciaputka, aby właśnie to był ten dzień, w którym żona wróci do domu. Niestety niebo pozostawało głuche na jego prośby, a Iwonka konsekwentnie walczyła o swoje prawo do czystych pieluszek, pełnego brzuszka i zabawy z tatutkiem.

To ostatnie zadanie było zdecydowanie najprzyjemniejsze ze wszystkich. Mimo że nieraz brakowało mu sił i marzył choćby o krótkiej drzemce, nigdy nie żałował ani minuty, którą mógł poświęcić córeczce. Jej uśmiech miał magiczną moc. Uśmierzał wszystkie cierpienia i był niczym miód na obolałe serce. Te chwile, gdy po żalonym płaczu na twarzy dziecka pojawiał się wyraz zadowolenia, były bezcenne. Iwonka doceniała wszystkie jego trudy: ufała mu i kochała go bezgranicznie. Nie miała do niego pretensji, nie nazywała go nieodpowiedzialnym chłopcem ani egoistą.

Obiecywał sobie, że gdy tylko żona wróci, on odeśpi te wszystkie zarwane noce.

Obiecywał sobie także, że pozwoli na to, aby i ona mogła się wyspać. Uświadomił sobie bowiem, że do tej pory miał wyjątkowo nieludzkie i samolubne podejście do tej sprawy.

Z drugiej strony bardzo cierpiał na myśl o tym, że Agnieszka świadomie i dobrowolnie zrezygnowała z tych niezwykłych chwil. Iwonka na pewno bardzo za nią tęskniła, więc robił, co mógł, aby spędzać jak najwięcej czasu z córeczką. Nie chciał, żeby czuła się osamotniona. A zabawy z nią były takie proste i nieskomplikowane! Wystarczyło położyć małą na dywanie i udawać psa: chodzić wokół niej na kolanach, trącać ją nosem i szczekać. Albo bawić się w bobo.

– Idzie bobo z daleka, do małego człowieka, jak go złapie, to go zchapie! Chap... Chap... Chap! – kłapał paszczą, udając, że chce pożreć dziewczynkę.

Córeczka zanosila się ze śmiechu, gdy to robił. Uwielbiała tę zabawę.

Chwile beztroski przerwał dzwonek do drzwi.

– Chodź, zbójek. – Ciaputek podniósł córeczkę z dywanu i włożył ją do łóżeczka. – Poczekaj na mnie chwilę, zaraz wracam. Tylko żadnych imprez, jak mnie nie będzie. – Żartobliwie pogroził jej palcem.

Było przedpołudnie. O tej porze nie spodziewał się nikogo. Matka miała zajrzeć później, aby mógł wyskoczyć po zakupy. W jego sercu obudziła się nadzieja, że może to Agnieszka wróciła do domu. Nie wzięła ze sobą kluczy; gdy wyjechała, znalazł je na wieszaku – tam, gdzie zawsze były odwieszane. Przechodząc przez przedpokój, Ciaputek zdziwił się, gdy zobaczył klucze Agi leżące na podłodze. Widocznie stracił je z haczyka, zostawiając własne. Podniósł je i otworzył nimi drzwi.

Zamiast żony zobaczył dwóch umundurowanych policjantów. Poczul nagłą duszność.

Policjanci przedstawili się i zapytali mężczyznę o jego godność, a później powiedzieli coś, co sprawiło, że jego świat tąpnął.

Agnieszka już nigdy nie wróci do domu.

Agnieszka już nigdy nie pobawi się z Iwonką.

Agnieszka już nie potrzebuje odsypiać zarwanych nocy.

– Synu, musisz wziąć się w garść – tłumaczyła cierpliwie Wandzia.

Śmierć Agnieszki spadła na wszystkich niczym grom z jasnego nieba.

– Nie dam rady – stwierdził z grobową miną. – Praca, dom, dziecko... Nie ogarnę tego! Nie mogę zrezygnować z pracy, bo nie będę miał za co żyć. Nie pogodzę zarabiania pieniędzy ze wszystkim, co jest do zrobienia w domu. A gdzie miejsce dla Iwonki?

– Nad tym nie powinieneś się zastanawiać. Iwonka jest najważniejsza, żyjesz przede wszystkim dla niej. Pomogę ci tyle, na ile będę mogła – zadeklarowała matka. – To oczywiste, że musisz pracować. Ja, niestety, nie mogę zajmować się wnusią na pełen zegar.

– To co mam zrobić? Oddać ją do żłobka? Takie maleństwo?

– To nie jest dobry pomysł. Myślę, że mógłbyś zatrudnić gosposię albo

lepiej nianię. Obowiązki domowe są łatwiejsze do ogarnięcia. Dziecko potrzebuje więcej zaangażowania. Niania zajmowałaby się Iwonką podczas twojej nieobecności. Ja pomagałabym ci w pracach domowych. Ale nie licz na to, że będę cię we wszystkim wyręczać – oznajmiła oschłym tonem. – Wygodnictwo skończyło się wraz z odejściem Agnieszki. Swoją drogą, mógłbyś nieco ograniczyć godziny pracy. Cóż ci przyjdzie z pieniędzy, jeśli nie będziesz miał czasu, aby je wydawać? Żaden samochód nie zastąpi chwil, które mógłbyś spędzić z dzieckiem. Zapamiętaj, synu, że ze wszystkich dóbr tego świata czas jest najcenniejszy, bo nie można go w żaden sposób odtworzyć ani pomnożyć. Raz utracony nigdy nie powróci.

Ciaputek ze zwieszoną głową słuchał słów matki – wiedział, że miała całkowitą rację.

Stracił już wystarczająco dużo tego bezcennego dobra.

Mógł spędzać czas z kochającą żoną. Mogli być bardzo szczęśliwi, cieszyć się urokami życia, wspólnie wychowywać Iwonkę.

Nagła dezercja, a następnie tragiczna śmierć Agnieszki wywróciły do góry nogami cały świat Ciaputka. O ile przez kilka dni, gdy żył nadzieją, że kobieta wróci, dawał radę jako tako funkcjonować, tak później całkowicie się załamał. Najgorsze w tym wszystkim nie było to, że został niemalże więźniem we własnym domu. Zdążył już pojąć swój błąd i docenić trud, jaki żona wkładała w ogarnięcie wszystkich spraw. Pełen skruchy bił się w piersi. Cóż, kiedy na naprawę uchybień było już zdecydowanie za późno.

Teraz ciążyło mu przytłaczające poczucie winy, ponieważ to przez niego Agnieszka odeszła. Gdyby był lepszym mężem i ojcem, nie wyjechałaby do Warszawy i nie wpadłaby pod ten cholerny samochód. Siedziałyby w domu, zajmując się dzieckiem, czerpałyby radość z uroków macierzyństwa. Powinni byli spędzać razem więcej czasu. Rozmawiać jak dorośli ludzie, a nie tylko wymieniać pomiędzy sobą komunikaty.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że tak naprawdę wcale ze sobą nie rozmawiali. Nigdy. Najpierw była era imprezowania i seksu, który w końcu zaowocował ciążą. W tym okresie Ciaputek płał się w uwielbieniu Agnieszki. Ona wzniosła dla niego piedestał, na którym wygodnie się rozsiadł i pozwolił, by otaczała go czcią. Nie rozmawiał z żoną o jej

potrzebach i zainteresowaniach. Oględnie wysłuchiwał relacji na temat rozwoju dziecka. A później... Później Agnieszka nie miała czasu na nic – była wiecznie zmęczona i niewyspana. On wciąż tylko czegoś oczekiwał: obiadu, świeżych koszul, odrobiny uwielbienia.

Był podłym egoistą.

Było mu wstyd, że tak postępował i nie może już tego odkręcić.

Chwilami miał pretensje do losu i do całego świata, że każde wydarzenie odbywa się bez próby generalnej. O ile prostsze byłoby życie, gdyby można było wcisnąć jakiś magiczny przycisk, który przewinąłby je do punktu, w którym popełniło się najpoważniejszy błąd. Ciaputek już wiedział, że na pewno wróciliby do chwili, gdy Agnieszka powiedziała mu, że nosi pod sercem jego dziecko. Teraz wszystko rozegrałby zupełnie inaczej. To faktycznie byłaby *ich* ciąża. Miałby zrozumienie dla żony, troszczyłby się o nią i o maleństwo. Poświęcałby im więcej czasu. Brałby aktywny udział w opiece nad Iwonką.

W gruncie rzeczy, po kilku dniach spędzonych sam na sam z córeczką wiedział, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Już się nie bał, że biorąc małą na ręce, przetrąci jej niechcący kręgosłup. Potrafił odgadnąć, czy powodem płaczu dziecka jest głód, mokry pampers czy zwyczajna potrzeba przytulenia. Wiedział, że po skończonym posiłku trzeba ponosić Iwonkę na ramieniu, aby jej się odbiło, a gdy jest najedzona, nie należy układać jej na brzuszku.

Urlop Ciaputka dobiegł końca. Mężczyznę czekał powrót do pracy. Kilka dni wcześniej uzgodnił z matką, że póki nie znajdzie niani, to ona będzie zajmowała się Iwonką. Oczywiście ta opcja nieszczególnie go cieszyła. O ile mamie w pełni ufał, tak przerażała go myśl o pozostawieniu dziecka w obcych rękach. Były chwile, gdy myślał o tym, że powinien rzucić pracę w diabły i poświęcić się wyłącznie wychowywaniu córki. Któż mógłby zrobić to lepiej od niego – rodzonego ojca? Czy dochodząca niania zajmie się jego skarbem jak należy? Czy sobie poradzi?

Sękał w tym, że musiał za coś żyć. Mógłby sprzedać samochód, lecz to byłoby rozwiązanie doraźne. Mógłby także zmienić przestronny dom z ogrodem na niewielkie mieszkanko, ale czy byłyby to dobre warunki dla

dziecka? Wątpił.

Córeczka zdawała się wyczuwać zarówno kiepski nastrój ojca, jak i to, że już niebawem będzie skazana na towarzystwo dochodzących opiekunek. Przez całą noc wierciła się niespokojnie. Przysypiała na krótko, by już po chwili obudzić się z żalnym płaczem. Nie chciała jeść ani pić, jej brzusek nie był twardy, w pieluszkach panował porządek. Była po prostu marudna i wciąż domagała się noszenia na rękach.

W rezultacie rano mężczyzna był półprzytomny ze zmęczenia. Gdy tylko zdołał jakimś cudem usnąć na moment córeczkę, wziął szybki prysznic i włożył przyzwoite ubrania zamiast spodni od dresu oraz podkoszulka, które to z upodobaniem nosił przez ostatnie trzy tygodnie. W tym czasie zrobił wyjątek wyłącznie z okazji pogrzebu żony. Później zdjął elegancką koszulę i szyty na miarę garnitur, aby pogрузić się w żałobie i marazmie.

Cisza w domu nie trwała długo. Ledwo bowiem Ciaputek zapiął mankiety koszuli, ponownie usłyszał żalny płacz. Tym razem prawdopodobnie chodziło o jedzenie – nadchodziła pora karmienia. Mężczyzna miał nadzieję, że dobrze interpretuje rozpacz Iwonki. Szybko przygotował butelkę i wyjął zapłakaną dziewczynkę z łóżeczka. Mała jadła łapczywie, co oczywiście zaowocowało kolką.

Ojciec przełożył córkę przez ramię, aby jej się odbiło.

– No nie płacz, kochanie – usiłował uspokoić marudne dziecko.

Zerkał nerwowo na zegarek. Zaczynało robić się późno, a matki wciąż nie było.

– Gdzież ona jest? – westchnął. – No już, już... Cichutko. – Delikatnie poklepał małeństwo po plecach.

Dziewczynka fuknęła kilka razy i zaczęła się uspokajać. Ciszę zakłócił dzwonek. Ciaputek, w obawie, aby córka znowu nie zaczęła płakać, razem z przysypiającym na ramieniu dzieckiem poszedł otworzyć drzwi.

– No jesteś, dzięki Bogu! – Ucieszył się na widok matki.

– A ty co? Jeszcze nie jesteś gotowy? – wyraziła zdziwienie kobieta.

– Jestem. Musiałem tylko nakarmić małą. Kurczę! Jestem już spóźniony – jęknął.

– No jedź już. Na co czekasz?! Daj mi dziecko.

Ostrożnie podał Wandzi córeczkę. Kobieta pociągnęła nosem.

- Oj, Iwonce chyba się ułało.
- Moja koszula!
- Lepiej ją zmień – poradziła matka, jednak on, zamiast pójść do garderoby i zmienić ubranie, usiadł na schodach i załamał rękę.
- Nie daję rady. Jestem tym wszystkim wykończony.
- Przepraszam za to, co teraz powiem, synu, ale przestań pieprzyć! Zabieraj dupę w troki i bierz się za życie! Natychmiast! Masz dziecko na utrzymaniu! Ogarnij się w końcu, bo inaczej już do końca życia pozostaniesz tym cholernym Ciaputkiem!

Sześć lat później

- Tatutku! Tatutku! Pomocy! – Od strony łazienki dobiegało do uszu Ciaputka zaprawione rozpaczą wołanie córeczki.
- Już pędzę! – krzyknął mężczyzna, ruszając na odsiecz dziewczynce.
- Dobrze wiedział, że nie chodzi o nic strasznego. Po niemalże sześciu latach samotnego wychowywania dziecka potrafił doskonale rozróżniać skalę problemu na podstawie intonacji głosu Iwonki. Zapukał w drzwi łazienki.
- No, co tam, córcia?
- Chodź, pomóż mi!
- Ciaputek nacisnął klamkę. Iwonka stała na stołeczku, który kupił z myślą o tym, aby mogła swobodnie korzystać z umywalki oraz (może raczej „a zwłaszcza”) przeglądać się w powieszonym nad nią lustrze. Z buzią ściągniętą w żalną podkówkę próbowała wyplątać grzebień z bardzo zmierzwionych włosów.
- Co ty robisz? – zdziwił się ojciec.
- Chciałam zapleść warkocza francuskiego. Mama Gabi mówi, że to łatwe. Pokazywała mi, jak to zrobić, ale nie dałam rady. Chciałam uczesać się tak na urodziny Jagódki.
- Jagódka była aktualnie najlepszą przyjaciółką Iwonki. Wcześniej ten zaszczytny tytuł dzierżyła wspomniana wcześniej Gabrysia, lecz na skutek jakiegoś strasznego kobiecego nieporozumienia dziewczynki zmieniły status z przyjaźni na koleżeństwo.
- Pokaż no, co my tu mamy? – Ciaputek jęknął ze zgrozy, gdy zobaczył,

jak bardzo splątane są jej długie do pasa włosy.

– A ty nie mógłbyś mnie uczesać? – zapytała. – Bo to naprawdę łatwe, a ty przecież jesteś supertatutkiem!

– Te, lizuska! Dobrze wiesz, jak mnie wziąć pod włos.

– Ależ skądże znowu! – udała oburzenie, wiedząc, że ukochany tatuś jak zawsze stanie na wysokości zadania. – Ty po prostu jesteś debeściakiem! Najlepszym z najlepszych. I jak będę duża, to wyjdę za ciebie za męża, o!

Ciaputek pokręcił głową. Nie próbował tłumaczyć córce, że jej plany matrymonialne są niemożliwe do realizacji. Kiedyś, gdy próbował to zrobić, nieomal doprowadził Iwonkę do łez. Zakładał, że z biegiem czasu dziewczynka wyrośnie z tych mrzonek.

– Dobra, zobaczę, co mogę zrobić w tej sprawie. Ale na razie musimy zająć się tym – oświadczył, wskazując skłębione włosy. – Chodź do salonu. Usiądziemy sobie wygodnie i będziemy rozpracowywać twój węzeł gordyjski.

Dziewczynka usiadła na poduszce rzuconej na dywan, mężczyzna na kanapie. Cierpliwie i delikatnie zaczął rozczesywanie jasnych włosów córeczki. Piętnaście minut później z dumą oświadczył, że udało mu się załatwić pierwszy problem.

– A tutaj – wskazał laptopa – poszukamy rozwiązania problemu numer dwa.

Ponieważ już niejedynym razem musiał szukać sposobów na radzenie sobie w trudnych sytuacjach, wiedział, że stary dobry wujek Google znajdzie dla niego odpowiednią pomoc. Ciaputek wstukał w wyszukiwarkę zapytanie o to, jak zapleść warkocza francuskiego, i już po chwili oglądał filmik instruktażowy wrzucony przez jakąś dobroduszną youtuberkę.

– Będziesz teraz robiła za królika doświadczalnego – oznajmił córce. – Jak chcesz iść na imprezę w czadowej fryzurze, młoda damo, to musisz trochę pocierpieć.

Iwonka ze stoicką cierpliwością znosiła nieudolne próby zaplecenia warkocza. Dopiero za siódmym razem mężczyzna uznał, że może puścić dziewczynkę między ludzi. Sześciolatka natychmiast pobiegła do łazienki, aby ocenić dzieło ojca. Po chwili była z powrotem i od razu rzuciła mu się na szyję.

– A nie mówiłam, że jesteś supertatutkiem?! – wykrzyknęła, wyciskając siarczystego całusa na jego policzku.

– Dobra, dobra! Nie krzycz tak do mojego ucha, bo mi bębenki popękają – roześmiał się, przytulając dziewczynkę.

Od tragicznej śmierci Agnieszki Ciaputek wciąż był samotnym ojcem. Iwonka wypełniała cały jego świat. Nigdy nie szukał kobiety, która mogłaby ewentualnie zastąpić córce matkę. Wychodził być może z błędnego założenia, że żadna pani przy zdrowych zmysłach nie zwiąże się z facetem, który jest obciążony dzieckiem. Ponadto wydawało mu się, że żadna ze znanych mu dam nie jest wystarczająco ciepła i opiekuńcza, aby mógł powierzyć jej swój największy skarb. Znosił wyłącznie obecność pani Janeczki – opiekunki wyszukanej i polecanej mu przez matkę tuż po tym, jak otrzymał wieść o śmierci żony.

Janina Nowak była pięćdziesięcioletnią kobietą. Zajmowała się Iwonką z dużym oddaniem, za co otrzymywała niebagatelne wynagrodzenie. Przychodziła do domu Ciaputka i dbała o to, aby dziecko było najedzone, odpowiednio ubrane oraz szczęśliwe. Początkowo pracowała w godzinach, gdy pan domu przebywał w pracy, lecz w minionym roku Iwonkę objął obowiązek szkolny, w związku z czym praca Janeczki sprowadzała się głównie do odprowadzania i przyprowadzania dziewczynki do i ze szkoły. Kobieta nadzorowała odrabianie lekcji. Dbała także o jej żołądek i zdrowie.

Pozostałymi rzeczami, takimi jak robienie zakupów, gotowanie oraz sprzątanie, zajmował się pan domu. Ciaputek nie miał sumienia, aby obciążać nianię dodatkowymi obowiązkami. Ponadto wciąż uważał, że przyłożył rękę do śmierci żony, a zatem należała mu się za to dotkliwa kara. I pokutował: piorąc, prasując, myjąc podłogi oraz ubikację. Nigdy nie prosił Janeczki o to, aby została u niego po godzinach. Gdy nie był w pracy, poświęcał swojej jedynaczce każdą chwilę, a kiedy dziecko szło spać, wykonywał prace domowe.

Po uciążliwościach pierwszych wspólnych tygodni Ciaputek wcielił się w nową rolę i jakoś zaczął funkcjonować. Nie krzywdował siebie przebywania z dzieckiem. Nawet nie tęsknił za swoim poprzednim życiem: kolegami, imprezami i wypijanym w pubie piwem. Zawsze stawiał córkę na pierwszym miejscu – żył przede wszystkim dla niej. Tak, jak kazała mu

matka.

Uwielbiał wspólnie spędzany czas i dokładał starań, aby było go jak najwięcej. Nie potrzebował najnowszego modelu mercedesa, nie musiał wyjeżdżać na Grand Canarię. Najważniejsze było, aby już nigdy więcej nie zawiódł najważniejszej kobiety w swoim życiu. O ile w podobnych przypadkach mówi się o „tatusiowych córeczkach”, tak on zdecydowanie był „córeczkowym tatusiem” – tak bardzo zawojowała jego serce ta maleńka, przebojowa istotka. Zawsze dotrzymywał składanych jej obietnic, ale nie rozpieszczał Iwonki. Potrafił wyperswadować małej wiele kaprysów i robił, co mógł, aby wychować ją na mądrą osobę. Czytał córce bajki na dobranoc, grał z nią w jej ulubione gry. Chodzili na długie spacery. Zabierał ją do zoo i do kina, i do Teatru Groteska na przedstawienia kukielkowe. Czasami, zazwyczaj w niedzielę, bo wtedy miał najwięcej wolnego czasu, sam organizował jakiś teatrzyk, co wzbudzało chyba największy entuzjazm dziewczynki.

– Tatutku? – W głosie Iwonki słychać było smutek.

– No, co tam, córcia? – zapytał mężczyzna, odkładając książkę, którą czytał dziecku na dobranoc.

– Opowiedz mi coś o mamusi – poprosiła.

Ostatnio takie prośby padały coraz częściej. Mężczyzna westchnął ciężko. Ten temat ranił mu serce i przysparzał niewyobrażalnych cierpień. Wciąż zadreślał się pytaniem, czy Agnieszka nadal by żyła i czy byłaby jego żoną, gdyby nie był takim potwornym egoistą w czasach przed jej odejściem.

Ponieważ jego milczenie przedłużało się, Iwonka zaczęła zadawać pytania pomocnicze:

– Gdzie ona teraz jest? Poszła do aniołków?

– Tak, kochanie. Twoja mamusia jest u aniołków – odpowiedział.

– Ale dlaczego? Po co tam poszła? Żle jej było z nami?

Tak! Żle jej było ze mną! Byłem tępym bucem i burakiem, a ona nie mogła już tego wytrzymać! – krzyczało serce mężczyzny.

– Czasami tak bywa, córeczko. Ona na pewno nie chciała cię zostawiać i bardzo za tobą tęskni.

– Ja też za nią tęsknię. Chciałabym, żeby tu była. Inne dziewczynki mają

mamusię, a ja mojej nawet nie pamiętam. Nie wiem, jak naprawdę wyglądała, bo zdjęcia nie oddają całej prawdy. Na zdjęciach zawsze jest nieruchoma i bez życia.

– Miała figlarne oczy koloru czekolady i niezbyt ciemne włosy do ramion. Była szczupła. – Naciągnął nieco fakty, ponieważ po porodzie nie wróciła do dawnej wagi, lecz właściwie nie miało to znaczenia. – Wciąż się śmiała i lubiła sprawiać innym przyjemność. Troszczyła się o tych, których kochała. Miała zwyczaj mówienia w pieszczotliwy sposób. – Przypomniał sobie z rozrzewaniem.

– Czyli jak? – drążyła temat Iwonka.

– Mówiąc do ciebie, na pewno użyłaby słów „kochanie moje najpiękniejsze”. – Jego głos nieznacznie się załamał.

– Ładnie. – Pokiwała głową. – Tatutku? A czy ty też za nią tęsknisz?

– Oczywiście, skarbie. Bez niej jestem bardzo samotny, ale na szczęście mam ciebie. – Trącił palcem lekko zadarty nosek córki.

– Kocham cię, tatutku – powiedziała, z trudem panując nad łzami.

– Ja też cię kocham.

– Ale chciałabym mieć też mamusię. Myślisz, że to możliwe, aby aniołki przysłały ją do nas?

Mężczyzna zagryzł drżące wargi. Dla córki zrobiłby naprawdę dużo. Poruszyłby niebo i ziemię, aby sprawić jej przyjemność. Sęk w tym, że aż takie poruszenie nieba nie było możliwe.

Ostatnio nachodziły go myśli o tym, że powinien powtórnie się ożenić. Bardzo szybko odpędzał je niczym roje natrętnych much – nie nadawał się do tego. Nie wyobrażał sobie, że miałby flirtować z jakąś kobietą, adorować ją i zwodzić iluzjami długiego i szczęśliwego życia, a potem tak po prostu obsadzić w roli kury domowej (lub prawie domowej, gdyby owa dama pracowała) i unieszczęśliwić tak, jak unieszczęśliwił Agnieszkę.

Bo w każdy związek prędzej czy później wkrada się rutyna, zniecierpliwienie i znużenie. Każda miłość z upływem czasu traci swój tęczy pióropusz.

Nie chodziło mu bynajmniej o to, że z góry zakładał uczynienie z żony udręczonej wyrobniczki. Po prostu bał się, że znowu nie sprosta roli męża.

Iwonka zdecydowanie potrzebowała damskiego towarzystwa. Coraz

częściej wałkowała ten temat w rozmowach. Póki jej potrzeby ograniczały się do zaplatania warkoczy, było dobrze. Dawał sobie radę z pomocą wujaszka Google. Ale co będzie, gdy zaczną się poważniejsze wyzwania? Miesiączkowanie, wybór pierwszego stanika, pierwsze porywy serca? Jak to ogarnąć?

Dla dobra dziecka powinien ruszyć tyłek, zanim zrobi się na to za późno.

Czy był gotowy, aby poszukać dla niej nowej mamy?

Czy znajdzie kobietę, która pokocha cudze dziecko?

[1] Fragment wiersza *Szczecin. Skarga* (10.05.1988 r.): Jacek Podsiadło, *Wiersze zebrane*, wyd. Lampa i Iskra Boża, Warszawa 2003.

Poszukiwacze szczęścia

Krystian Greń nie miał łatwego życia. Właściwie odkąd sięgał pamięcią, wiatr zawsze wiał mu w oczy, wciąż rzucono mu kłody pod nogi, a jako dziecko nawet do cholernej szkoły miał pod górkę.

Ludzie nie przychodzą na świat ponurzy. Krystian też się taki nie urodził. W ostatnich latach spadło jednak na niego tyle problemów, że uśmiech stał się wyjątkowo rzadkim gościem na jego ustach. Oblicze Grenia zastygało przeważnie zależnie od okoliczności: a to w wyraz skupienia (w pracy), a to powagi (wśród ludzi), a to melancholii (w samotności).

Ludzkość jest jednak przewrotna, ponieważ czym poważniejszy wyraz twarzy przybierał Krystian, tym większe pojawiały się naciski, aby rozweselić mężczyznę. Szczególnie w pracy zdominowanej (nie wiedzieć czemu) przez płęć piękną. Greń dobrze wiedział o tym, że zarówno lekarki, jak i pielęgniarki, ba! nawet recepcjonistki z upodobaniem oddawały się uszczypliwym ploteczkom na jego temat. Apogeum nastąpiło chyba wtedy, gdy przez kobiecą populację przepłynęła fala zachwyty nad niejakim Christianem Greyem, którego nazwisko (o zgrozo!) brzmiało łudzaco podobnie. Krystian dobrze wiedział, że za plecami, z perwersyjną przyjemnością, wszystkie panie przekręcają jego imię i nazwisko. Mało tego: one zachodziły w głowę, czy również jego życie erotyczne jest równie barwne i bogate.

Brr!

I jak się tu nie irytować?

Biedaczysko... Nie wiedział, że czym pilniej strzeże swojej prywatności i czym bardziej broni się przed nieszczęsną ksywą, tym większą ciekawość rozbudza wśród pań. W ich oczach był wyjątkowo tajemniczym (a więc fascynującym) człowiekiem. W rzeczywistości pragnął być postrzegany jako romantyk miotany przeciwnościami losu.

Do niedawna Romek Tyczny był najbardziej zapracowanym człowiekiem świata. Biuro korporacji stanowiło niemalże jego drugi dom. Poświęcał się pracy zawodowej tak bardzo, że na najważniejszym etapie życia zlekceważył sprawy rodzinne, co zaowocowało utratą żony, kubłem zimnej wody na łeb i samotnością. Po krótkotrwałym małżeństwie pozostała mu pamiątka w postaci dziecka, które samotnie wychowywał, oraz nauka na całe życie, że kobieta zajmująca się domem wcale nie ma mniej pracy niż mężczyzna zarabiający na utrzymanie tegoż domu.

Poważne perturbacje w życiu osobistym i zawodowym sprawiły, że musiał przewartościować cały swój sposób myślenia. Po nagłej i całkowicie niespodziewanej dezercji żony Roman zmuszony został do podjęcia męskiej decyzji. Rzucił doskonały etat w korporacji (nawiasem mówiąc, po kilkudniowej absencji związanej z ogarnianiem spraw rodzinnych i tak nie miałyby do czego wracać) i podjął mniej dochodową pracę w znacznie mniejszej firmie. Zmienił luksusowego lexusa na volkswagena, czyli prozaiczny samochód dla ludu. Na tej transakcji zyskał sporo pieniędzy, a na zmianie pracy dobro najcenniejsze: czas wolny.

Niestety, bardzo szybko odkrył, że jego mózg ma problem z przystosowaniem się do zmian, gdyż wciąż pracuje w trybie korporacyjnym.

– Ależ mam zryty beret – wzdychał, przyłapując się na kultywowaniu odruchów typowego korposzczurka: jedzeniu w biegu, niedosypianiu, nieustannym i nerwowym wyczekiwaniu na telefon z biura wtedy, gdy przebywał w domu.

Nie miał wyjścia – musiał coś z tym zrobić. Poszedł więc po rozum do głowy i udał się na konsultację do terapeutki poleconej mu przez Krystiana Grenia – kumpla z sąsiedztwa. W taki oto sposób Roman Tyczny wylądował na kozetce u Elwiry Mareckiej – drobnej szatynki o subtelnej urodzie elfa

i najpiękniejszych na świecie oczach. I zapalał do niej, biedaczysko, uczuciem głębokim, gorącym i ckliwym, lecz wrodzona nieśmiałość i wcześniejsze złe doświadczenia powstrzymywały go przed oficjalną adoracją obiektu westchnień.

Przed poczynieniem kroków w kierunku przeniesienia znajomości z doktor Marecką na grunt prywatny powstrzymywały go również dwie inne sprawy. Po pierwsze, naprawdę potrzebował terapii, aby w końcu usunąć ze swojej mentalnej szuflady służbowe bokserki z logo korporacji. Po drugie, bał się, że jako samotny ojciec nie ma najmniejszej szansy na umówienie się z tak wystrzałową kobietą.

No, bo na logikę: czy ustawiona zawodowo pani zechce wziąć sobie na głowę balast w postaci cudzego dziecka? Z całą pewnością nie! Taka będzie wolała hodować własne pisklęta, a nie poświęcać uwagę kukułczym jajom.

Sęk w tym, że jak wskazywało na to imię i nazwisko delikwenta, Roman rzeczywiście był romantykiem i do pełni szczęścia potrzebował damskiego towarzystwa. Ostatnimi czasy srodze doskwierała mu samotność. Tęsknił za ciepłem kobiecych oczu i ust. I już wiedział, że tym razem nie zaprzepaściłby szansy danej mu przez los. W pełni doceniałby biuściasty i biodrzasty skarb. Nie dopuściłby do tego, aby kariera zawodowa przesłoniła rodzinną sielankę.

Życie prywatne Marcina Podolskiego było wieczną zabawą. Wystarczało mu, że praca zawodowa wymagała nieustannego skupienia i powagi (co w pewnych przypadkach było technicznie niemożliwe do zrealizowania). Z natury wesołek, miał spore trudności z dostosowywaniem się do okoliczności. Cóż jednak – służba w policji to nie przelewki. Nie dość, że dawała jaką taką stabilizację materialną (nie czarujmy się, szalu nie było), to jeszcze stanowiła realizację powołania, bowiem Podolski kochał swoje szalone i momentami niebezpieczne zajęcie. Właściwie praca była jego największą miłością. Z bólem serca stwierdzał czasami, że chociaż wielokrotnie podejmował solenne zobowiązania, nie udawało mu się zmienić tego stanu rzeczy. Rodzina i przyjaciele zawsze schodzili na dalszy plan. Nawet ukochana kobieta nie miała palmy pierwszeństwa.

A przecież miał zobowiązania wobec swoich bliskich! Musiał w końcu pomyśleć o tym, co dobre dla rodziny i, poniekąd, również dla niego. Jeżeli

chciał zachować ciągłość rodu, potrzebował potomka: krwi ze swojej krwi i kości ze swojej kości. Syna, bo córka kiedyś odejdzie i zmieni nazwisko. Był to winny rodzicom za wsparcie, którego udzielali mu w każdej trudnej chwili. Sęk w tym, że brakowało mu zaangażowania. Spalał się dla pracy, potrafił poświęcać swój prywatny czas, gdy zachodziła taka potrzeba. Dla dobra śledztwa zaprzepaścił wiele nie mniej ważnych spraw osobistych.

Przed laty odeszła od niego żona. Podjęła tę decyzję, ponieważ nie potrafił ustalać priorytetów. Może nie była największą miłością jego życia, ale bardzo to przeżywał. Dość długo nosił w sercu poczucie winy. Przez jakiś czas nie chciał nawet myśleć o związku z inną kobietą. A gdy już dojrzał do tego, że mimo wszystko powinien się z kimś związać, to poprzysiągł sobie, że tym razem będzie inaczej.

Elwira Marecka stała niczym mityczna żona Lota zamieniona w słup soli. W dłoniach ścisnęła wiązanek weselną Patrycji, którą złapała przed momentem, spoglądając z niedowierzaniem to na kwiaty, to na ich *ofiarodawczynię*. Towarzyszący Elwirze Marcin Podolski zagwizdał przeciągle, po czym bez ostrzeżenia wziął kobietę na ręce i, ku jej zgrozie, podrzucił ją kilkakrotnie w górę. Z gardła drużny wydobył się pisk przerażenia, który wskrzesiłby niejednego nieboszczyka.

– Marcin! Puść mnie, ty wariacie! – zawołała, krztusząc się ze śmiechu i jednocześnie popiskując z przerażenia.

– Puszczę, jak umówisz się ze mną na randkę – oznajmił mężczyzna, udając, że ponownie chce ją podrzucić.

Do tej pory Elwirze udawało się wykręcać, mimo że Podolski nie raz proponował spotkania tu i ówdzie. Towarzyszył jej na weselu przyjaciółki wyłącznie z „braku laku”. Miała do wyboru jego, Korposzczurka albo Pana Gbura, czyli jedyne dostępne singli w odpowiednim wieku. Nie brała pod uwagę możliwości pójścia na uroczystość z cudzym mężem, narzeczoną albo (o zgrozo!) z jakimś wolnym małolatem. Nie czarujmy się, gdy kobieta przekracza magiczną trzydziestkę, w zasięgu wzroku jest coraz mniej wolnych dżentelmenów. Przeważnie są to już osobnicy przebrani, posiadający jakieś defekty lub po prostu zbyt młodzi. I niestety, z każdym następnym rokiem to grono staje się coraz bardziej przetrzebione.

Marecka już dawno porzuciła nadzieję, że spotka mężczyznę na całe życie. Przestała też katować się randkami – i tak nic z nich nie wychodziło. Zazwyczaj gdy kogoś poznawała, z góry potrafiła ocenić, czy jest to rokująca znajomość. Ostatnimi czasy żadna z nich nie była perspektywiczna. Elwira dobrze wiedziała, że jeśli między nią a potencjalnym partnerem nie zaiskrzy od pierwszej chwili, to od *drugiej i pół* tym bardziej. Po co więc miałyby się rozdrabniać? Była niepoprawną romantyczką i wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia. Sęk w tym, że lat przybywało, romantyzm jej nie opuszczał, malowały natomiast szanse na to, że założą rodzinę – czego ustawicznie i przy każdej okazji życzyli jej wszyscy krewni i znajomi.

Może było w tym trochę jej winy? Bała się zaangażowania, ponieważ za każdym razem, gdy zaczynało się coś głębszego – przynajmniej z jej strony – obiekt westchnień znikał jak kamfora lub deklarował uczucia do Patrycji.

Ech... Smutny losie singielki!

Czasami zaś było zgoła na odwrót: to absztyfikant wykazywał nadmierne zaangażowanie, zrażając Elwirę do siebie. Chwilami Marecka miała nieodparte wrażenie, że męska populacja dzieli się na osobników kochających za bardzo (zaborczych i nadmiernie zaangażowanych), panów kochających inaczej (ci w ogóle nie byli przez nią brani pod uwagę), dżentelmenów zakochanych w jej przyjaciółkach (też odpadali) oraz panów, których kochać po prostu się nie dało (brr!).

Wprawdzie jeszcze tego nie sprawdziła, ale wydawało jej się, że Podolski prawdopodobnie należy do pierwszej kategorii. Pan Gbur do ostatniej. Z kolei to, w której plasuje się Korposzczurek, trudno byłoby jednoznacznie ocenić.

Oczywiście Pan Gbur posiadał bardziej ludzką tożsamość – nazywał się Krystian Greń. (*Nie mylić z osławionym Greyem!* – podśmiewały się recepcjonistki w klinice, rejestrując doń pacjentów.) Dżentelmen ów był Elwiry kolegą po fachu, z tą różnicą, że zamiast parać się wysłuchiwaniami opowieści o cudzych problemach emocjonalnych, on wolał doradzać w kwestiach... płciowych. Ot po prostu: lekarz seksuolog, który dawno temu był stażystą u jej babci, o czym dowiedziała się przez czysty przypadek. Parę razy Marecka wpadła na niego przy okazji jakiegoś sympozjum czy konferencji. Później natomiast okazało się, że ów nieszczęśliwie

sympatyczny osobnik zaczął praktykować w tej samej klinice co ona, jednak w znacznie mniejszej liczbie godzin, więc do spotkań dochodziło rzadko.

O wiele częściej Elwira miała przyjemność spotykania się z Korposzczurkiem, czyli Romanem Tycznym, który był jej pacjentem i, leżąc na obciągniętej skórze kozetce, godzinami opowiadał o uzależnieniu od pracy zawodowej oraz o tym, jak złożył swoje szczęście rodzinne na korporacyjnym ołtarzu chciwości. Umawianie się z własnym pacjentem było nieetyczne i poniekąd niestosowne. Kobieta nie czułaby się komfortowo, gdyby miała spędzić czas w towarzystwie faceta mówiącego o swoim uzależnieniu od pracy z taką pasją, jakby rozprawiał o największych w życiu uniesieniach miłosnych. Ponadto jak tu wyjść dokądkolwiek z człowiekiem, którego rodzice ochrzcili w tak niefrasobliwy sposób? Zapewne w chwili, gdy miałyby go komukolwiek przedstawić, poległaby złożona paroksyzmem śmiechu. Oczyma wyobraźni widziała bowiem, jak mężczyzna ów kłania się lekko i wymienia uścisk dłoni z tym lub owym, mówiąc przy tym głębokim, aksamitnym głosem:

– Dzień dobry, Roman Tyczny. Cała przyjemność po mojej stronie.

O tak! Bez wątpienia cała przyjemność byłaby po jego stronie. Po stronie Elwiry byłyby niepoahomowane salwy śmiechu, ponieważ ona zdecydowanie nie należała do osób, które potrafiłyby zachować powagę w takich okolicznościach.

Tak więc, mając w podorędziu Podolskiego, Tycznego i hm... Grenia, Elwira wybrała pierwszego, gdyż ten ostatni był zbyt ponurym typem, aby mogła liczyć na dobrą zabawę. A drugiego dyskwalifikowały wspomniane wcześniej powody.

Marcin uwolnił Elwirę ze swoich ramion, ponieważ pan młody zwoływał delikwentów, którzy byli potencjalnie zainteresowani zmianą stanu cywilnego. Przyszła pora na jego rzut musznikiem. Drawicz także nie zamierzał pozostawiać przeznaczenia owego drobiazgu ślepemu losowi. Przesłał porozumiewawczy uśmiech swej świeżo upieczonej połowicy, później rozejrzał się z wyżyn swoich niemalże dwóch metrów wzrostu, aby wyłuskać z tłumu adresata przesyłki. Precyzyjnie wymierzonym ruchem rzucił musznik w stronę Marcina, lecz niewiele brakowało, a jego plan spaliłby na panewce. Panowie bowiem rzucili się na bij zabij po atrakcyjne

trofeum, będące niemalże gwarancją rychłej odmiany losu. Tratowali się więc, odpychając rywali i wyciągając dłonie po skarb. Na szczęście Podolski do niskich nie należał, więc dosłownie zmiażdżył konkurencję, nie pozwalając, aby obiekt pożądania śmignął mu koło nosa.

– No i co powiesz, Elwirka? Ha! Teraz to już *musisz* się ze mną umówić – oznajmił, ściskając w garści zdobycz.

Jakiś dowcipniś, uznając, że są parą (bądź co bądź przyszli na wesele razem), zaczął nawoływać *gorz-ko, gorz-ko!*

Ale kanał – jęknęła w duchu Elwira.

Lubiła Marcina, to prawda. Nawet był w jej typie: rośły, muskularny chłopak w stylu drwala. Pracował jako zastępca komendanta policji. Był elokwentny i sympatyczny. Może więc nie powinna kręcić nosem?

Zawahała się przez moment, gdyż przypomniała sobie najważniejszy powód, dla którego tak rzadko bywała na randkach. Wszak w tym wszystkim nie chodziło tylko i wyłącznie o walory potencjalnego partnera życiowego. Była jeszcze pewna bolesna sprawa z przeszłości, która rzuciła mroczny cień na całe życie Elwiry.

– No, to jak? Całujemy się publicznie czy idziemy razem na kawę? – zapytał Marcin.

– Okej, niech będzie kawa. Bez publicznego całowania. Bez całowania w ogóle – dodała asekuracyjnie z obawy, aby nie pomyślał, że pozwoli mu się pocałować na randce. Albo w ogóle kiedykolwiek.

Zatańczyli razem parę piosenek, lecz ten rodzaj wysiłku nieszczególnie służył dziewczynie.

– Masz ochotę coś zjeść? – zapytała partnera. Nie byli jeszcze na tyle dobrymi znajomymi, aby mogła bez zażenowania wyznać, że tak naprawdę nie może dalej tańczyć, gdyż odczuwa ból.

– Chętnie – odparł mężczyzna.

Odgadł, że Elwira musiała gorzej się poczuć. Chociaż usiłowała nad sobą zapanować, pod koniec ostatniego tańca zauważył, jak nieznacznie krzywi się z bólu, stając na nodze, na którą nieco utykała. Nie zagadywał jej o powód ledwo zauważalnego kalectwa. Uważał, że jest jeszcze za wcześnie, aby wypytywać o coś tak intymnego. Przypuszczał, że jeśli ich znajomość potoczy się w odpowiednim kierunku, dziewczyna sama mu o tym opowie.

O ile jest o czym mówić, ale zakładał, że tak. Jego detektywistyczny zmysł rzadko zawodził.

Wiedział, że został zaproszony na to wesele dlatego, że Marecka nie miała pod ręką innego partnera. Mimo wszystko i tak znalazłby się na uroczystości, gdyż panna młoda była jego kuzynką i kilka tygodni wcześniej otrzymał od niej zaproszenie. Ucieszył się jednak, gdy zadzwoniła do niego Elwira z zapytaniem, czy nie zechciałby jej towarzyszyć. Nie wspomniał o tym, że on także jest na liście gości, bo i po co? Jeszcze by się rozmyśliła i zaproponowała zabawę komuś innemu. A on bardzo chciał pójść na uroczystość razem z nią.

Elwirę poznał kilka miesięcy wcześniej, właśnie u Patrycji. Wstąpił z niezapowiedzianą wizytą do kuzynki, gdyż właśnie był w pobliżu. Filigranowa przyjaciółka pani domu od razu wpadła mu w oko. Była tak drobniutka i delikatna, że czuł się przy niej jak niedźwiedź. I chyba tak samo się zachowywał – jak zwierz z dziczy, gdyż w jej obecności zwyczajnie zapominał języka w gębie. On, nieustraszony i przenikliwy detektyw, który potrafił wycisnąć zeznania z najbardziej zatwardziałego przestępcy, tamtego popołudnia poległ z kretesem. Sklecenie kilku sensownych zdań było zadaniem ponad jego możliwości.

Co się dzieje? – zadawał sobie pytanie.

– Czym się zajmujesz? – zapytał, gdy w końcu zdołał wrzucić na luz.

– Jestem zawodową pocieszycielką strapionych. – Puściła do niego oko.

– Serio?

– Serio – odparła, podając mu wizytówkę, z której wynikało, że prowadzi gabinet psychoterapeutyczny.

Marcin oczywiście poczuł nagłą potrzebę konsultacji, gdyż praca rozkładała go na mikroelementy (blefował – zakładał, że nie stać by go było na to, aby wyciągnąć się na kozetce u Mareckiej i przez godzinę opowiadać o jakichś banialukach). Trochę go to ścięło z nóg i od razu nabrał do niej ogromnego szacunku: była nie tylko piękna, ale również inteligentna i zaradna.

Oczywiście wiedział, że uroda to kwestia względna. Koledzy Marcina lubili cyncate blond laski lub smukłe długowłose brunetki. Jego urzekła drobniutka, szczupła laleczka o subtelnym rysach twarzy i z włosami w bliżej

nieokreślonym kolorze, obciętymi w dość ekstrawaganckiego boba. Spodobał mu się niewielki, lekko zadarty nosek i kilkanaście zdobiących go piegów. Elwira miała także śliczne ciemnobrązowe oczy, okolone gęstwiną długich rzęs. W ich czekoladowej głębi kryła się jakaś nadzwyczajna moc. Bez wątpienia były jej największym atutem, podobnie jak szczery uśmiech, który niemalże nie znikał z ust. Wyglądała na niezwykle pogodną istotę. Zresztą zaraźliwy śmiech dziewczyny raz po raz wypełniał salon Patrycji.

Gdy wstała i przeszła parę kroków, zauważył, że lekko utyka. W pierwszej chwili pomyślał, że być może ścierpła jej noga od siedzenia w niezbyt wygodnej pozycji, jednak przy każdej następnej okazji zauważał ten drobny mankament. Nie przeszkadzało mu to w żaden sposób, poza tym zapewne nie każdy zwróciłby uwagę na taki szczegół. On jednak, z racji wykonywanego zawodu, był niezwykle spostrzegawczy.

Mimo że Elwira była niska (nie mogła mieć więcej niż metr sześćdziesiąt), miała wyjątkowo długie i bardzo zgrabne nogi. To także mu nie umknęło, chociaż nie dodawała sobie wzrostu wysokimi obcasami.

No i cóż... Od tamtej pory wciąż o niej myślał. Czasami rozmawiali przez telefon. Kilka razy spotkali się niezobowiązująco lub wpadli na siebie przez przypadek. Marcinowi to nie wystarczało, marzył o tym, aby poznać ją bliżej. Ona jednak wciąż robiła delikatne uniki. Może poddałby się znacznie wcześniej, gdyż do tej pory wciąż go spławiała, lecz wpadła mu w oko aż po samo dno. Wiedział od Pati, że jest singielką. Zdjęta litością kuzynka zdradziła mu kilka drobiazgów na temat Elwiry. I tak oto uzyskał informację, że obiekt jego westchnień to niepoprawna romantyczka, wielbicielka czekolady (w rozsądnych ilościach), miłośniczka komedii z czasów PRL-u oraz polskiego rocka i, ogólnie rzecz biorąc, dusza człowiek!

Jego zdaniem ta romantyczna natura usprawiedliwiała poniekąd niedostępność dziewczyny, która jawiła mu się teraz niczym, nie przymierzając, królewna w średniowiecznej twierdzy. A on, rycerz w srebrzystej zbroi (no dobra, policjant w cywilnych ciuchach – z racji piastowanego stanowiska nie musiał na co dzień paradować w mundurze) zamierzał ów zamek zdobyć.

Za oknem zapadał zmierzch. Ciaputek i Iwonka wrócili właśnie do domu.

– Kto pierwszy w kuchni, ten mistrz! – zawołał mężczyzna, gdy zdejmowali buty na ganku.

Dziewczynka uwielbiała wyścigi i różnego rodzaju zawody. Zazwyczaj Ciaputek unikał takich zabaw w domu, aby nie narażać małej na niebezpieczeństwo: zderzenie z ostrymi kantami mebli, poślizgnięcie na posadzce lub potknięcie na schodach, ale droga z ganku do kuchni była stosunkowo prosta i bezpieczna. Zresztą postanowił dać córce fory, udając, że nie może rozsypać sznurowadła. Fiona tylko pisnęła z uciechy i już jej nie było. Kiedy mężczyzna dotarł do celu, siedziała na stołku przy wyspie, układając piramidę z owoców.

– Byłam pierwsza! Wygrałam! Strasznie się guzdrałeś tatutku-Ciaputku!

– Ja ci dam Ciaputka – żartobliwie pogroził jej palcem.

W rzeczywistości wcale nie przeszkadzało mu bycie Ciaputkiem. Przywykł do tej ksywy tak bardzo, że nic sobie nie robił z jej ironicznego wydzwiku. Bywały zdecydowanie gorsze przydomki.

– A babcia Wandzia ciągle tak do ciebie mówi!

– A babci Wandzi wolno, bo to moja mama. A mamy i tatusiowie mogą zwracać się do swoich małych potworków w najpotworniejszy sposób.

– Hahah! A ty nie jesteś małym potworkiem, tylko ogromniastym potworem jak już. Jesteś większy nawet od dziadka Bronka.

– Bo piłem dużo mleka, gdy byłem takim małym potworkiem jak ty.

– Ble! – Dziewczynka skrzywiła się z obrzydzeniem. – Mleko to najpotworniejsza potworność świata.

To był zdecydowanie dzień potwora. Prawdopodobnie dlatego, że godzinę wcześniej obejrżeli w niepołomickim Kinie Za Rogiem bajkę *Potwory i Spółka*, a później zjedli potwornie dobre rurki z kremem w potwornej kawiarni Alter Ego. I wypili potwornie dobry sok. A potem stwierdzili zgodnie, że są już potwornie zmęczeni i czas wracać do domu. Na kolację. Niekoniecznie potworną.

– Jeżeli małe potwory chcą zwiększyć gabaryty, to powinny pić dużo mleka.

– Ale małe potwory nie lubią mleka. Bo w mleku są kożuchy. – Fiona zmarszczyła zabawnie nos.

Mężczyzna westchnął i pokręcił głową. Wciąż to samo: codziennie musiał

toczyć bitwy z małą, aby spożyła mleko pod jakąkolwiek postacią. Przecież nie mogła żyć tylko frytkami i czekoladą.

– A co wasza potworność powie na pyszniętke, słodziutkie kakałko?

Propozycja została przyjęta z entuzjazmem. Ciaputek dziarsko zabrał się za przyrządzanie mlecznego napoju. Prócz niego przygotował dla córeczki bułkę z dżemem.

Po kolacji dotaszczył senną dziewczynkę do łazienki, gdzie raz-dwa załatwili sprawę kąpieli. Zmęczona nadmiarem wrażeń, pozwalała mu, niczym lalka, aby włożył na nią piżamkę i uczesał jasne włoski.

– No, to do spania – powiedział, gdy już była gotowa.

– Na rączki – powiedziała, ziewając przeciągle.

Ciaputek wziął córkę na ręce i zaniósł do pokoju dziecięcego. Dziewczynka objęła go ramionami za szyję, a gdy układał ją na tapczanie, wycisnęła na jego policzku siarczystego całusa.

– Kocham cię, tatutku – wymamrotała.

Jej słowa rozlały się ciepłem w okolicy ojcowskiego serca. Mężczyzna otulił Iwonkę kołdrą i wyjątkowo zrezygnował z czytania bajki na dobranoc. Po cichutku opuścił pokój.

Wrócił do kuchni, aby posprzątać po kolacji. Załadował zmywarę, schował jedzenie, przetrął blat. Z zadowoleniem rozejrzał się po lśniącym czystością pomieszczeniu.

Dawał sobie radę. Kosztowało go to sporo pracy, zatrudnienie niani i rezygnację z dodatkowych godzin pracy, ale czuł satysfakcję. Dobra materialne już od lat nie stanowiły priorytetu. Najważniejsze było, że miał cudowną córeczkę, zadbany dom i nieźle ogarniał wszystkie obowiązki. Znajdował czas nawet na to, aby dwa razy w tygodniu poćwiczyć na siłowni, a w weekendy posiedzieć dłużej przed telewizorem.

I tylko czasami nachodziły go myśli, że dobrze byłoby dzielić ten piękny dom i spokojne wieczory z jakąś miłą, łagodnie usposobioną kobietą, którą, podobnie jak Iwonkę, mógłby nosić na rękach, lecz do własnej sypialni, a nie do pokoju z różową tapetą i filigranowymi mebelkami.

Przed pójściem na spoczynek zajrzał jeszcze do córeczki. Dziewczynka spała słodko, leżąc na brzuszku. Jak zwykle odkopała spod kołdry jedną nóżkę. Ciaputek podkradł się na palcach. Chętnie połaskotałby tę bosą

stópkę, lecz nie chciał budzić Iwonki. Delikatnie poprawił kołdrę.

Marcin pragnął, aby pierwsza randka z Elwirą była niezapomniana i niebanalna. Zważywszy na niezbyt zachęcającą porę roku – był początek stycznia – zadanie do łatwych nie należało. Szybko poszedł po rozum do głowy i postanowił wykorzystać atuty przyrodnicze. Poprosił więc swą wybranekę, aby na spotkanie włożyła coś ciepłego i wygodnego zarazem. Wyraziła zdziwienie, więc wyjaśnił, że zamierza ją zaskoczyć.

We wczesne sobotnie popołudnie wbiegł na piętro bloku, w którym mieszkała Elwira. Energicznie zastukał do drzwi.

– No, jak? Gotowa do wyjścia? – zapytał, gdy otworzyła.

– Nie napijesz się kawy? – wyraziła zdziwienie, ponieważ wyraźnie zależało mu na czasie.

– Nie mogę. Zaparkowałem pojazd na chodniku, więc musimy szybko się zwijać.

Obrzucił Elwirę uważnym spojrzeniem, aby sprawdzić, czy jest solidnie ubrana. Dziewczyna miała na sobie legginsy oraz długi sweter z golfem. Włożyła kozaki na grubej podeszwie. Sięgnęła do szafy po puchową kurtkę, czapkę i szalik.

– A rękawiczki? – przypomniał, pomagając jej przy wkładaniu okrycia wierzchniego.

– Są i rękawiczki – odparła.

– Świetnie. Dobra, pędzimy!

Trzymając się za ręce, zbiegli po schodach.

Przystanęli przed klatką schodową. Elwira wytrzeszczyła oczy. Nie zobaczyła nic prócz jakiegoś malca z gilem zwisającym u nosa, trzymającego sznurek od sanek. Na chodniku nie było żadnego samochodu.

– Nie chciałabym cię martwić, panie władzo, ale chyba ktoś podprowadził twoją furę – stwierdziła.

– Eee... – Mężczyzna podrapał się po głowie, udając konsternację.

– Przykro mi, ale zamiast na randkę powinieneś wybrać się do kumpli na posterunek i zgłosić kradzież. No, chyba że sam poprowadzisz dochodzenie. Może ten mały coś widział. – Wskazała na dzieciaka.

– Yyy... – Marcin sięgnął do kieszeni i wyjął z niej dziesięciozłotówkę.

Podszedł do zasmarkanego chłopca i wręczył mu banknot ze słowami: – Dobra, Kubuś, dzięki za popilnowanie pojazdu. Jakby co, zatrudnię cię jako parkingowego. Proszę – zwrócił się do Elwiry. – Oto mój środek lokomocji. Zechcesz zająć miejsce?

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Znaczy, że co? Będziesz mnie ciągnął? – zapytała, robiąc głupią minę.

– Owszem. Dzisiaj robię za rumaka. – Chciał powiedzieć, że za ogiera, lecz w porę ugryzł się w język.

– Jesteś pokręcony, wiesz?

Elwira zajęła miejsce na sporych, drewnianych sankach wyposażonych w oparcie pod plecy. Było jej całkiem wygodnie, ponieważ Marcin przezornie wyłożył pojazd kraciastym kocem. Znowu poczuła się jak za starych dobrych czasów, gdy jeszcze żyli jej rodzice i zimową porą wozili ją na saneczkach do przedszkola lub do babci.

– Wio, koniku! – pokrzykiwała wówczas na tatkę, który parskał jak pełnokrwisty arab (a przynajmniej tak mu się pewnie wydawało) i galopował, na ile tylko starczało mu siły.

Cóż, teraz raczej nie wypadało krzyżeć *Wio, koniku!* Marcinowi niekoniecznie musiałyby się to spodobać. Chociaż... kto wie? Z zapalem ciągnął sanki, raz po raz oglądając się za siebie i zagadując. Elwira nie czuła skrępowania, chociaż zdawała sobie sprawę z tego, że niektórzy mogliby uznać za dziwne, że kobieta po trzydziestce (no dobra, bliżej czterdziestki niż trzydziestki) jest ciągnięta na sankach przez miejscowego gliniarza. Marecka była tak rozbawiona absurdalnością tej sytuacji, że zanosila się śmiechem.

– Pasażerka pojazdu dwuśladowego płożowego proszona jest o zachowanie powagi i niestwarzanie zagrożenia w ruchu drogowym.

– Marcin, wariacie! – piszczała z radości, gdy brał ostre zakręty.

Mężczyzna kierował się w stronę Puszczy Niepołomickiej. Z nieba sypały wielkie płaty śniegu, osiadając na puchowej kurtce oraz kraciastym kocyku.

– Dokąd mnie wiesz? – zapytała zaintrygowana dziewczyna.

– Pomyślałem, że szkoda byłoby zmarnować taki piękny dzień na siedzenie w kawiarni lub kinie. Na tego rodzaju rozrywki zawsze znajdzie się czas. Postanowiłem zabrać cię na romantyczną przejażdżkę po puszczy. Jak już znudzi nam się sanna, to ulepimy bałwana albo stoczymy bitwę na śnieżki,

albo zrobimy orły na świeżym śniegu. Później możemy zagrać się czymś gorącym w barze U Dzika. Co ty na to?

– Brzmi fantastycznie. Pod warunkiem, że nie oznajmisz w którymś momencie, że przyszedł czas na zmianę i to ja mam cię ciągnąć.

– Spokojna głowa.

– Serio chce ci się lepić bałwana? – wyraziła zdziwienie.

– Ależ oczywiście! Mam nawet marchewkę na nochal i węgielki, żeby zrobić uśmiech. Może nawet znajdzie się jakaś czapka, aby biedaczek nie zmarł.

To była najbardziej niezwykła randka, na jakiej Elwira była w całym swoim życiu. Podolski konsekwentnie zrealizował wszystkie punkty, łącznie z bitwą na śnieżki. Wprawdzie kobieta odnosiła przyjemne wrażenie, że Marcin daje jej fory, lecz i tak nieźle od niego oberwała. Ponieważ nie mogli jednoznacznie stwierdzić, kto wyszedł z potyczki zwycięsko, postanowili omówić problem szerzej nad kubkiem gorącego cappuccino.

Mężczyzna zaparkował sanki przy płocie ogradzającym bar U Dzika.

– No jak? Bardzo zmarznięta? – zapytał, obejmując Elwirę.

Wyglądała bajecznie w puchowej kurtce. Na głowę, mimo czapki, naciągnęła kaptur obszyty futerkiem. Była drobniutka i szczupła, o dziewczęcej budowie ciała. Czuł się przy niej wielki i zwalisty. Czy zdawała sobie sprawę z tego, jak wielką tkliwość w nim budziła? Pragnął otoczyć ją opieką, gdyż momentami sprawiała wrażenie kruchej i bezradnej.

Przysunął się i potarł nosem o jej nos.

– Ciepłutki – stwierdził.

Nie pocałował jej. Nie żeby nie chciał! Marzył o tym już od dawna, lecz czy pierwszy pocałunek na takim zimnie pozostałby przyjemnym wspomnieniem? Na pewno byłby niezapomniany, lecz raczej nie w tym sensie, na którym zależało Marcinowi.

Elwira spędziła w domu samotną niedzielę. Snuła się po pustych kątach dwupokojowego mieszkania, które nabyła przed paroma laty. Wcześniej mieszkała z babcią, Hanną Biedrzycką, ekscentryczną staruszką, w przestronnej willi na obrzeżach Puszczy Niepołomickiej. Było jej tam dobrze, lecz pewnego dnia kobieta zwróciła uwagę na to, że wnuczka jest już

za stara, aby mieszkać z własną babcią.

– Jesteś za młoda, aby przebywać ze zramolałą zrzędą – oświadczyła dyplomatycznie, wychodząc z założenia, że wypominanie Elwirze upływającego wieku byłoby nieeleganckie. – To destrukcyjne.

– Babciu! Co ty wygadujesz! – oburzyła się wówczas, gdyż Hania zdecydowanie nie była zrzędą, nie była także zramolałą.

Koleżanki zazdrościły jej takiej babci-równiachy, jak ją określały. Jako nastoletnie pannice często zaglądały do okazałej, przedwojennej willi przy ulicy Dębowej, gdzie chętnie poddawały się demoralizującemu wpływowi wyzwolonej wdowy. Hanna przymykała oko, gdy wymykały się na „dymka”, pomagała przy przerabianiu ciuchów, tej czy owej doradzała nawet w sprawie antykoncepcji, gdyż była z zawodu lekarzem-ginekologiem. Miała nowoczesne podejście do życia, więc to jej przyjaciółki Elwiry zwierzały się ze swoich podbojów miłosnych, pierwszych pocałunków, a następnie „pierwszych razów”.

W domu przy ulicy Dębowej zawsze tętniło życie. Roiło się od młodzieży, gdyż za dziewczętami ciągnęli tam również i chłopcy. Nieraz do późnych godzin słyhać było młodzieżową muzykę i głośne śmiechy. I myliłby się ten, kto powiedziałby, że to sprawka zamieszkującej tam Elwiry. Bardziej empatyczne sąsiadki współczuły Hannie, że trzyma u siebie tego raroga, który ściąga hałaśliwą zgraję, podczas gdy biedna, sterana życiem Hania na pewno potrzebowała świętego spokoju. O naiwności ludzka! Wszak ta uciemężona staruszka była głównym prowodyrem wszelkiego rodzaju młodzieżowych uciech.

Zabawa zabawą, przyszedł jednak w końcu czas na to, aby wypuścić podopieczną spod kwoczych skrzydeł. Pewnego dnia Hanna uznała po prostu, że wnuczce należy się pełna niezależność i swoboda. Może chłopcy, stremowani obecnością starszej pani, nie chcieli zostawać na noc u Elwirki? Wypadało, aby w końcu dziewczyna przygruchała sobie odpowiedniego partnera i uwiła z nim rodzinne gniazdko.

Tak więc od kilku lat Elwira mieszkała sama. Ponieważ z natury była znacznie mniej rozrywkowa od babci, pod jej dachem przez większość czasu panowała względna cisza i spokój. Marecka mogła do woli oddawać się uprawianiu kontemplacji oraz ćwiczeniom jogi. Te ostatnie szły jej nieco

opornie z uwagi na obrażenia, których doznała wiele lat wcześniej.

Miała czternaście lat, gdy jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym – spowodował go kierowca będący pod wpływem alkoholu. Od tamtej pory wychowywała ją babcia. Z perspektywy czasu Elwira myślała o tym, że właściwie miała bardzo dużo szczęścia. Mimo wszystko.

Ona także jechała tym samochodem. Siedziała na tylnym siedzeniu, przypięta pasami bezpieczeństwa. To uratowało jej życie podczas czołowego zderzenia. Odniosła sporo obrażeń, lecz przeżyła. Bardzo długo nie wiedziała, że mama i tato nie żyją. Przez pierwsze tygodnie po wypadku była w stanie śpiączki. Może nawet lepiej, gdyż nie odczuwała bólu zrastających się kości oraz gojących się ran pooperacyjnych. Gdy została wybudzona, przy jej łóżku czuwała babcia, która wyglądała na dobre dziesięć lat starszą niż w rzeczywistości.

– Ptaszynko moja – załkała.

Suchą, drżącą dłonią uścisnęła rączkę dziewczynki.

– Gdzie mama? – zapytała z wysiłkiem Elwira, zdziwiona swoją niezwykle słabością.

Próbowała się poruszyć, lecz jej ciało było nieposłuszne.

– Mamusia nie może teraz przyjść – odparła babcia. – Dzieciąteczko, czy ty pamiętasz, co się stało?

Nie pamiętała. Wtedy nikt nie chciał z nią o tym rozmawiać. Poznawanie prawdy następowało jakimiś strasznymi etapami i nawet teraz, po upływie ponad dwudziestu lat, Elwira nie potrafiłaby jasno ocenić, która z tych prawd była najgorsza i najbardziej zaważyła na jej dalszym życiu.

Marecka otrząsnęła się z ponurych rozmyślań. Nie lubiła wspominać przeszłości. To niczemu nie służyło. Stosowała klasyczny mechanizm wyparcia.

Zaparzyła sobie kubek kawy i z ulubionym napojem skuliła się na kanapie w salonie. Ponownie popadła w zadumę, lecz tym razem jej myśli oscylowały wokół Marcina. Musiała oddać mu sprawiedliwość: nie tylko zafundował jej najbardziej niezwykłą randkę, ale jeszcze mocno ją zaintrygował.

Zazwyczaj mężczyźni, z którymi się spotykała, proponowali kino (niezbyt często) lub kawiarnię (na ogół). Bardzo szybko przechodzili do fazy trzymania się za ręce i spoglądania głęboko w oczy. Jeszcze szybciej

rozpoczynali etap namiętnych pocałunków, których finałem miał być seks. Ponieważ Elwira nie była entuzjastką skakania z kwiatka na kwiatek, nie interesowały jej także szybkie numerki bez zobowiązań, zazwyczaj znajomość z tym czy owym kończyła się, zanim weszła w fazę większej zażyłości.

Czy Marcin rokował jako partner na dłużej?

Uznała, że jest za wcześnie, aby to roztrząsać. Miał w sobie coś – nie ulegało wątpliwości. Aż dziw brał, że taki okaz – troskliwy i opiekuńczy – uchował się niezaobrączkowany. Znając życie, Złotousta Jola oraz Iza, czyli przyjaciółki z pseudofeministycznej bandy, na pewno dorobiłyby do tego stosowną teorię, uznając go za osobnika wybrakowanego lub aspołecznego. A najlepiej zarówno wybrakowanego, jak i aspołecznego. Obydwie bowiem zionęły głęboką nienawiścią do niemalże całej męskiej populacji, uważając płęć przeciwną za wybryk natury, dzielący się na egzemplarze znośne (na przykład doktora Drawicza), nieznośne (męża Ani, jeszcze jednej członkini nieformalnego klubu feministek) oraz do niczego (zazwyczaj określały to w dosadniejszy sposób). Przy czym ostatnia kategoria była ich zdaniem zdecydowanie najliczniejsza. Co więcej, nieustannie zasilali ją osobnicy, którzy przestawali być znośni bądź nieznośni. Ot, zawiłości ich quasi-feministycznej logiki.

Elwira trochę żałowała, że zamiast kisać w dziwacznych przemyśleniach, nie wybrała się z wizytą do babci. Kochana staruszka na pewno wyglądała jej dzisiaj. Trzeba było ją odwiedzić i sprawdzić, czy nie potrzebuje jakichś większych zakupów albo pomocy w domu. Chociaż Hania dziarsko się trzymała, osiemdziesiąt pięć lat to wiek, który budzi respekt. Babcia nie znosiła, gdy ktoś próbował ją niańczyć. Lubiła samodzielność i niezależność, więc wszelkie próby ulżenia jej w czymkolwiek wymagały prawdziwie dyplomatycznych podchodów.

– Jeszczem zdatna do życia – mawiała zazwyczaj, dodając: – A jak mi już sił braknie, to po prostu położę się do trumny i tyle!

Hanna Dominika Biedrzycka *de domo* Orłowa – półkrwi Rosjanka, półkrwi Polka, była cokolwiek nietypową przedstawicielką przedwojennej generacji. Cieszyła się niemalże legendarnym zdrowiem i krzepkością. Zachowała

całkowicie sprawny umysł, bez śladów sklerozy czy zdziecinnienia. Fantazję także miała przednią, bowiem wciąż wpadała na jakieś szatańskie pomysły, które ochoczo realizowała. Znana była między innymi z tego, że niezależnie od warunków atmosferycznych, codziennie rano biegała po Puszczy Niepołomickiej w gustownym czarno-zielonym trykocie. W tych eskapadach nieodmiennie towarzyszył jej Pablo IV, jej ukochany dog niemiecki, godny następcą Pablów III, II oraz I.

Babcia Hania kochała olbrzymie psiska tej rasy. Ponieważ nie lubiła zaprzętać sobie głowy zbędnymi bzdurami, gdy kolejny pupil przekraczał tęczowy most, ona sprawiała sobie następnego, nadając mu imię noszone przez poprzednika. Pablo to skrócona wersja pełnego imienia, które brzmiało Pablo Diego José Francisco de Paula Juan Nepomuceno María de los Remedios Cipriano de la Santísima Trinidad Ruiz y Picasso, i odzwierciedlało malarskie sympatie starszej pani.

Pewnego dnia, zapytana przez wnuczkę o to, dlaczego akurat Pablo, odparła:

– A wyobrażasz sobie, że miałabym mówić do psa Georges Baraque albo Jean Metzinger? Czy on w ogóle wygląda jak Jean Metzinger? – Wskazała potężnego psa, który spoczywał grzeczniutko u jej stóp, opierając olbrzymi pysk o przednie łapy.

– No... Nie bardzo.

– No widzisz?! Na Georgesa też nie wygląda – kontynuowała amatorka kubizmu.

Elwira nigdy nie próbowała przekonywać babci, że nie wyglądał również na Picassa. Bo i po co? Dyskusowanie z nią na ten temat nie miało najmniejszego sensu.

Zadziwiające było to, że sportowe ciągoty (przebiegała średnio 10 kilometrów dziennie, na co poświęcała niewiele ponad godzinę) nie przeszkadzały jej w paleniu papierosów zwanych przez nią cygaretkami (obowiązkowo przez długą, staromodną lufkę) oraz popijaniu absyntu w ilościach wykraczających poza granice zdrowego rozsądku. Szczęściem zielony trunek już dawno uznano za bezpieczny dla zdrowia i nieuzależniający.

Elwira podejrzewała, że owo upodobanie do absyntu wiązało się,

przynajmniej po trosze, z sympatią żywioną do Pabla Picassa, który rzekomo był ogromnym amatorem wzmiankowanego alkoholu.

O ile poranne eskapady z psem pozwalały dziarskiej kobiecie na odrobinę luzu, tak po powrocie do domu Hania brała lodowato zimny prysznic, a następnie przechodziła metamorfozę w dostojną, choć barwną damę. Nosiła się bowiem dość ekstrawagancko, nie stroniąc od żywych kolorów, które zdaniem jej rówieśnic nie przystawały kobiecie w tak słusznym wieku. Biedrzycka nic sobie nie robiła z konwenansów, zresztą o jakich konwenansach może być mowa w XXI wieku?

Coraz mniej liczne rówieśnice Hanny nosiły moherowe berety lub kropisiate chuściny przetykane błyszczącą nicią, ona miała w swej garderobie kilkadziesiąt toczków i kapeluszy we wszystkich odcieniach tęczy. Podobnie jak jej ukochana imienniczka, idolka i ikona dobrego smaku – Hanka Bielicka – kochała nakrycia głowy, zwłaszcza zdobne w woalki i piórka. Wciąż miała długie, choć siwiuteńkie włosy, które zawijała w zgrabnego koka i najczęściej przykrywała ulubionym liliowym toczkiem. Do tego wkładała niezwykle kobiece garsonki w stylu Coco Chanel lub wręcz wzorowane na strojach Jacqueline Kennedy Onassis. Różnica polegała na tym, że jej odzież – szytą na miarę w renomowanym zakładzie krawieckim (takich adresów nie ujawnia się koleżankom, można go zdradzić co najwyżej ukochanej wnusi) – charakteryzowała istna feeria barw. Hanna bez wątpienia była przykładem dobrego smaku. Cóż jednak, skoro w małej mieścinie przyciągała wzrok tak bardzo, że jej rówieśnice traktowały ją jak jakiegoś cudacznego stwora. I podczas gdy one szemrały cichutkie pacierze, przetaczając w pomarszczonych palcach paciorki różańca, Hania do kościoła szła głównie po to, aby po nabożeństwie zboczyć na plebanię i tam, w towarzystwie leciwego proboszcza, dyskutować zawzięcie o polityce i gospodarce.

Dodatkowym powodem zgorszenia wśród okolicznych dewotek był fakt, że Hanna nie tylko klęła siarczyście w języku rosyjskim, ale również zachowywała sporą swobodę obyczajową, wdając się w liczne i niedyskretne romanse.

Z tymi romansami było tak, że po wczesnej śmierci swego ukochanego męża Teofila, młoda, bo zaledwie trzydziestoletnia wdowa wciąż

potrzebowała męskiego towarzystwa, i co tu dużo kryć, również sypialnianych figli. A ponieważ leżącemu na łożu śmierci Teofilowi złożyła nieopatrznie przysięgę, że pozostanie w stanie niezamężnym aż po kres swoich dni, trzeba było w jakiś inny sposób dać upust ognistemu temperamentowi oraz porywom serca. Romantyczna z natury kobieta potrzebowała stałej adoracji ze strony płci zwanej umownie brzydką. Na szczęście nie ślubowała denatowi wierności do grobowej deski, gdyż w takim przypadku dostałaby zapewne jakiejś strasznej fiksacji, i kto wie, czy w związku z tym nie wylądowałyby na kozetce u własnej wnuczki, Elwiry Hanny Mareckiej.

Nic więc dziwnego, że tak ekscentryczna osoba wychowała nie mniej ekscentryczną wnuczkę. Elwira, wzorem babci, lubiła dobrą zabawę, nie stroniła od mężczyzn, aczkolwiek trzymała ich na znacznie większy dystans niż antenatka. Także do ubrań miała swobodniejszy stosunek, nosząc barwne koszule lub tuniki. W przeciwieństwie do babci stawiała jednakże na wygodę i, zamiast katować się garsonkami (przecież są okrutnie niewygodne, sztywne i na dodatek *passé!*), wybierała miękkie legginsy lub rurki. Wprawdzie, jak mawiała, z modą było jej bardzo nie po drodze (a kto by się tam zastanawiał nad każdorazową zmianą garderoby, gdy projektantom strzeli do głowy jakiś nowy trend?), lecz jakimś cudem zawsze była w miarę na bieżąco lub po prostu idealnie wpasowywała się w otoczenie. A może z racji swej niepozornej figurki wyglądała dobrze w absolutnie każdej kreacji, niezależnie od tego, czy była to zwiewna sukienka sięgająca kostek czy ukochane spodnie?

Z bogatej osobowości Hani wnuczka przejęła wybujały romantyzm oraz jeszcze większy optymizm. I całe szczęście, gdyż bez tego ostatniego stałaby się zapewne zgorzkniałą starą panną. Wiodła więc życie szczęśliwej, pozornie beztroskiej singielki, niosąc swym przyjaciółkom radość, a w razie potrzeby również i przysłowiowe serce na dłoni.

Ciszę wieczoru zakłócił dzwonek telefonu. Elwira zerknęła na wyświetlacz: *Marcin dzwoni*. Z uśmiechem przyjęła połączenie. Mężczyzna zaproponował wspólne wyjście do kina, na które ochoczo przystała. Lepsze to niż samotne tkwienie w domu.

Dobra, nie takie znowu samotne, gdyż Marecka, jak przystało na silną i niezależną kobietę, mieszkała w towarzystwie trzech kotów rasy europejskiej. Pierwszym, Przemysławem Srebrzystym, obdarowała ją babcia Hania. Staruszce zrobiło się żal wnuczki, gdy ta, zapytana o to, jak jej się mieszka na swoim, chlapnęła nieopatrznie, że nie ma do kogo otworzyć gęby. Ponieważ była wiosna i kocia populacja gwałtownie wzrosła o efekty intensywnego marcowania pod oknami udęczonych niepołomiczan, znalezienie towarzysza życia dla Elwiry nie nastęczyło trudności. W głębi duszy *madame* Biedrzycka liczyła na to, że wkrótce kot będzie stanowił li tylko i wyłącznie dopełnienie gospodarstwa domowego dziewczyny. Niestety, jej nadzieje okazały się płonne, gdyż w mieszkaniu wnuczki bardzo szybko przybyli dwaj następni lokatorzy, lecz żaden z nich nie był mężczyzną.

Przemysław Srebrzysty, jak przystało na posiadacza tak niezwyklego imienia, miał szare futerko w nieco ciemniejsze pręgi oraz cętki. Jego pyszczek zdobiły nieprawdopodobnie długie wąsy, a cała kocia postura od najwcześniejszych lat tchnęła wielkim majestatem.

Drugi kot, zwany Cottonem Białym, został przygarnięty przez targaną poczuciem winy Elwirę w ramach dokocenia mieszkania. Śnieżnobiały dachowiec z różowiutkim noskiem i takimiż poduszczkami miał zapewnić towarzystwo Przemciowi wówczas, gdy gospodyni przebywała poza domem.

Poczucie winy wynikało z faktu, że do mieszkania zaglądała głównie po to, aby złapać odrobinę snu, więc biedny futrzak przez większość czasu snuł się samotnie po dwóch pokojach, kuchni i łazience – tak przynajmniej wydawało się Elwirze. W rzeczywistości bowiem Srebrzysty był wielkim amatorem drzemki i za nic miał jej nieobecność, o ile przed opuszczeniem mieszkania zatroszczyła się o to, żeby jego miski były pełne.

Cotton wniósł pod sufit Elwiry nową jakość życia (trzy rozbite flakony, podarte firany, oberwany karnisz i przewrócona lampka nocna). W porównaniu ze statecznym i niemalże nieruchomym Przemysławem poruszał się z prędkością światła, tratując wszystko, co napotkał na swojej drodze. O ile wcześniej Elwira była zdania, że kot to stworzenie bezobsługowe i niemalże bezszelestne, tak po adoptowaniu Białego zweryfikowała opinię na ten temat. Cotton miał bowiem w chwilach napadu

głupawki tendencję do galopowania po całym mieszkaniu, z ewidentnym upodobaniem do włożenia pod nogi swej opiekunki. Niezadowolony, potrafił nader głośno wyrażać dezaprobatę (Hania kwitowała to dosadnie, twierdząc, że *drze japę*). Z równym zaangażowaniem walczył o dodatkową porcję jedzenia w misce czy wypuszczenie na zabezpieczony siatką balkon, co o drapanie za uszami i pod pyszczkiem. Obdarzony był przy tym iście ułańską fantazją, bowiem najbardziej spragniony pieszczot i jedzenia był w nocy (w okolicach trzeciej), a wyjść na balkon w zimie. I nie daj Boże, aby mu odciąć swobodny dostęp do mieszkania! Niezależnie od panującej na zewnątrz temperatury, gdy Cotton wyraził chęć przewietrzenia futra, drzwi miały stać otworem, aby mógł bez ograniczeń przemieszczać się w tę i we w tę.

Co do koegzystencji zwierzaków, trudno byłoby mówić o symbiozie. Przemysław traktował nowego kota jak mało uciążliwego intruza i nadal drzemał sobie w najlepsze. Cotton natomiast od czasu do czasu przypuszczał atak na ogon Srebrzystego, jednak przyprowadzony do porządku poprzez pacnięcie łapą z wysuniętymi pazurkami, szybko przechodził do defensywy.

Równowagę w kocim świecie przywróciła Czarna Mamba, czyli kotka o smoliście czarnej sierści, która pewnego dnia w sobie tylko wiadomy sposób (przez dziurę w siatce, którą Elwira zlokalizowała kilka dni później) dostała się na balkon. Z miejsca spacyfikowała Cottona broniącego swego przyczółku i przedarła się w głąb obcego terytorium, podbijając je niemalże bez wysiłku. Przemysław bowiem, zamiast walczyć, łypnął na nią okiem i zapadł w sen. Ponieważ kotka nie wyrażała chęci opuszczenia mieszkania (wpakowała od razu łeb do Cottonowej miski z jedzeniem, a najadłszy się do syta, umościła sobie legowisko w centralnym punkcie łóżka Elwiry), właścicielka mieszkania i dwóch kotów przyjęła do wiadomości fakt posiadania kolejnego zwierzaka.

Cała trójka czworonogów prezentowała się nader zjawiskowo, gdyż koty były jednolicie umaszczone. Patrycja, która także była wielką miłośniczką mruzków, pokpiwała, że następną fazą dokocenia powinien być kot o burej albo rudej sierści. A najlepiej i rudy, i bury, bowiem od przybytku głowa nie boli, a cóż może dać człowiekowi więcej szczęścia niż posiadanie puchatych, mrużących zwierzątek?

Elwira podchodziła do tego projektu nieco sceptycznie. Uważała bowiem, że trzy koty w domu to wystarczająca ilość. Zastanawiała się ponadto, czy aby na pewno nadal jest właścicielką mieszkania i żyjącego w nim inwentarza.

Często dopadała ją refleksja, że tak naprawdę to ona przemieszkuje kątem u swoich kotów i zasadniczo robi za służbę dla wiecznie głodnego i spragnionego pieszczoł towarzystwa. Cotton traktował ją jak dostarczyciela posiłków, Przemysław w łaskawości swojej od czasu do czasu wyrażał chęć pomiziania się, natomiast Mamba z pełną premedytacją włąziła na nią i owijała się wokół jej szyi za każdym razem, gdy Elwira zasiadała w ulubionym fotelu. Ponadto cała trójka wybitnie upodobała sobie spanie w jej łóżku, rozpychając się niemiłosiernie i pozostawiając dla niej jedynie wąski skrawek posłania. A niechby tylko spróbowała ten zwierzyniec przechytryć i położyć się do snu na kanapie! Miauczeniu, drapaniu i trącaniu łbami nie byłoby końca!

Elwira nie była zdziwiona, gdy zaproszenie na seans filmowy okazało się wyjściem do lokalnego przybytku kultury. O tym, że w Niepołomicach działa Kino za Rogiem, wiedziała od bardzo dawna, lecz podobnie jak większość mieszkańców małego miasteczka preferowała repertuar krakowskich sieciówek, gdzie mogła oglądać nowości, nie zaś *odgrzewane kotlety*, jak mawiały przyjaciółki.

Ku jej przyjemnemu zaskoczeniu, w kameralnej salce wyświetlano intrygujący i dość ambitny film produkcji francuskiej, który przeoczyła dwa lata wcześniej w Multikinie. A może tam go po prostu nie wyświetlano? Seans uznała za porywający. Jej zdaniem kino, samo w sobie, także zasługiwało na odrobinę uznania ze strony lokalnej społeczności. Początkowo pokpiwała, że Marcin wynajął dla nich dwojga całą salę – byli jedynymi widzami podczas projekcji. Później naszała ją przykra refleksja, że ludzie dzielą się na dwie kategorie: zblazowanych, czyli takich, którzy muszą mieć wszystko *trendy* i w najlepszym gatunku, oraz tych, którzy mają w nosie, że za półdarmo można obejrzyć bardzo dobry film.

– Tak to już jest – stwierdził Marcin, gdy wyraziła zdumienie, że są w kinie sami. – Niektórzy wolą ściągnąć film za darmo z Internetu. Oglądają coś

tam na ekranie laptopa, w najlepszym razie na kinie domowym. Sęk w tym, że to nie oddaje jego wartości, gdyż taki przekaz nijak ma się do kinowego. W telewizji seans jest niszczone przez przerwy reklamowe, w Internecie przycina się lub ma słabą jakość. No i przede wszystkim to nie ta atmosfera! W domu siedzi się w kapciach i dresie, pożerając chipsy albo golonkę. Niektórzy na okrasę puszczają baki w fotel i ziewają z nudów. Wyjście do kina wiąże się z koniecznością zachowania choćby minimum kultury.

Fotele nie należały do najwygodniejszych, lecz to był detal, który w najmniejszym stopniu nie popsuł im przyjemności ze wspólnego spędzania czasu. W ciemnym kinie Marcin po raz pierwszy splótł swoje palce z palcami Elwiry, a następnie przycisnął wierzch jej dłoni do ust. I tym razem także jej nie pocałował, chociaż pragnienie to wzrastało z każdą chwilą. W porę jednak powściągnął zachciankę. Zamierzał bowiem nadać temu wydarzeniu odpowiednią rangę, aby pamięć o ich pierwszym pocałunku przetrwała na zawsze. Wiedział od Patrycji, że Elwira jest niepoprawną romantyczką. On pod policyjnym mundurem miał gorące serce, lecz, jak przystało na przedstawiciela służb mundurowych, był pragmatykiem twardo stąpającym po ziemi.

Po seansie postawił Elwirze cappuccino w przylegającej do kina kawiarni.

Siedzieli w przytulnym półmroku, dzieląc się spostrzeżeniami na temat filmu. W pewnym momencie Marecka wyczuła szóstym zmysłem czyjeś świdrujące spojrzenie. Rozejrzała się po lokalu, lecz nie zauważyła nikogo znajomego. Przez chwilę odniosła wrażenie, że za drzwiami majaczy jakaś drobna postać. Próbowwała wyostrzyć wzrok, co nie było łatwe, gdyż na zewnątrz panowały ciemności, lecz nagle osóbką obserwująca ich zza szyby zniknęła. Marecka otrząsnęła się, jakby przez jej plecy przeszedł nieprzyjemny dreszcz.

Zazwyczaj w piątki Elwira kończyła pracę znacznie wcześniej niż w pozostałe dni tygodnia. Wtedy, gdy rzeczywiście miała w planach wcześniejszy powrót do domu, pozostawiała samochód na parkingu przed blokiem i pieszo pokonywała drogę do i z pracy. W przeciwieństwie do babci Hani nie mogła sobie pozwolić na zbyt dużą aktywność fizyczną. Jej prawa noga, która dawno temu ucierpiała w wypadku i cudem została uratowana

przez najlepszego chirurga w Krakowie, nigdy nie wróciła do pełnej sprawności. Marecka wiedziała, że i tak ma bardzo dużo szczęścia, ponieważ może poruszać się o własnych siłach, dokładała więc starań, aby nie roztkliwiać się nad sztywnym kolanem i zdeformowaną stopą. Bieganie po Puszczy Niepołomickiej pozostawiała innym amatorom czynnego relaksu, sama zadowalała się spacerami i przeważnie pozwalała sobie na nie właśnie w piątki.

Z kliniki, w której pracowała, miała do domu zaledwie dwa kilometry. Ani dużo, ani mało, dla niej w sam raz. Dłuższe dreptanie mogłoby skończyć się dokuczliwymi bólami spastycznymi.

Tego dnia pogoda wyjątkowo sprzyjała przechadzkom. Poprzedniego popołudnia sypnęło świeżym śniegiem. Biały puch pokrył miejski kurz cienką, miękką pierzynką. Panował niewielki, zaledwie trzystopniowy mróz. W olśniewających promieniach słońca skrzyły się zamrożone drobiny, a sople lśniły niczym diamenty. Niewielka podkrakowska miejscina wyglądała bajecznie.

Elwira, ubrana w ciepłą puchową kurtkę i wygodne kozaki, dziarsko maszerowała niepołomiczki uliczkami. Nagle z pobliskiej szkoły wysypała się garstka hałaśliwych dzieciaków, robiąc ruch na chodniku i niemalże przetrącając Marecką. Kobieta przez chwilę usiłowała złapać równowagę, kręcąc w powietrzu młynka rękami, lecz siła grawitacji oraz śliski chodnik odniosły zwycięstwo w tej nierównej walce. Elwira klapnęła pupą wprost w niewielką zaspę (Cóż, trzeba było włożyć sporo zachodu w usypanie tego niewielkiego kopczyka będącego ewidentnym dowodem, że w Niepołomicach zapanowała dwudniowa zima. Zapewne właściciel posesji z przylegającą doń kupką białego puchu zagarnął pod swój płot śnieg z całej ulicy), a następnie padła jak żuk na grzbiet i uderzyła potylicą w parkan. Z poruszonego płotu wprost na jej twarz pacnął kopczyk zmarzniętego śniegu. Marecka leżała nieruchomo na plecach, usiłując nadażyć wzrokiem za rojem gwiazd, które, mimo słonecznego dnia, zawirowały nad jej głową.

– Żyjesz? – usłyszała nad sobą dziewczęcy głosik.

– Jeszcze nie wiem – stwierdziła, unosząc jedną powiekę. Drugiej nie mogła podnieść, ponieważ połowę jej twarzy przysypał śnieg. Mimo to zobaczyła pochylającą się nad nią dziewczynkę, na oko sześciolatkę, ubraną

w błękitną kurtkę z kapiszonem, spod którego wystawały złociste pukle. – Jesteś aniołem? – zapytała.

– Eee... Nie – oznajmiła niebieska panienska. – No, to żyjesz czy nie? – zapytała rzeczowo.

– Chyba jednak żyję. Skoro nie jesteś aniołkiem i z tobą gadam, to znaczy, że nie znalazłam się w niebie. Ponadto boli mnie tyłek i głowa – stwierdziła Marecka – a to, niestety, są niezaprzeczalne dowody mojej ziemskiej egzystencji.

– Skoro żyjesz, to wstawaj, bo złapiesz wilka – powiedziała poważnym tonem dziewczynka i wyciągnęła rękę do Elwiry. – Dawaj łapę, pomogę ci.

Młoda kobieta parsknęła śmiechem.

– Łapę? Dobrze sobie!

Mimo to wyciągnęła dłoń do dziecka.

– Auć! – jęknęła, wstając.

Zabrała się za strzepywanie śniegu z kurtki. Z wysiłkiem wykręciła szyję najbardziej, jak tylko mogła, aby ocenić rozmiar szkód. Uznała, że nie jest tak źle: nie odnotowała ani dziur, ani plam.

– Dzięki za pomoc. – Odwróciła się w stronę, gdzie jeszcze dziesięć sekund wcześniej stała złotowłosa dziewczynka, lecz zamiast niej zobaczyła chwiejącego się niepewnie Bartka Koczare, miejscowego moczymordę.

– Nie ma sprawy, szanowna pani – czknął w odpowiedzi, chociaż słowa Elwiry nie były skierowane do niego.

A ponieważ wypity wcześniej alkohol niekorzystnie wpływał na koordynację jego ruchów, mężczyzna zarył głową w tę samą zaspę, z której przed chwilą wygrzebała się Marecka.

Elwira, nie zawracając sobie głowy pijaczkiem, rozejrzała się w poszukiwaniu dziewczynki. Ku zaskoczeniu kobiety, błękitna kurteczka oraz jej właścicielka zniknęły tak szybko, jakby rozplynęły się w powietrzu. Było to dosyć dziwne, gdyż ulicę z obydwu stron okalały ogrodzenia posesji, a do jej wylotu było tak daleko, że mała musiałaby mknąć z prędkością światła, aby pokonać całą długość w tak krótkim czasie. Marecka potarła się dłonią po nieco obolałej potylicy.

– Kurczę. Chyba coś mi się przywidziało – stwierdziła i natychmiast zamilkła z obawy, aby Bartek nie posądził jej o to, że gada jak potłuczona:

sama do siebie.

Elwira zerknęła dyskretnie na zegarek. Czas Romana Tycznego dobiegał końca. Należało już wyciszyć rozgadane go pacjenta, co nie było łatwym zadaniem, bowiem mężczyzna mógł bez końca opowiadać o traumie, jakiej doznał w związku ze zmianą pracy. Był to skrajnie trudny przypadek, ponieważ mimo terapii trwającej ładnych parę lat, nie rokował na uleczenie i twierdził, że wciąż potrzebuje konsultacji.

Czasami lekarka myślała, że chyba nie do końca chodzi o traumę zawodową. Szczególnie że zadziwiająco często otrzymywała od pacjenta a to kwiaty, a to czekoladki, a to jakąś wyjątkowo dobrą kawę. No i często przyłapywała go na tym, że się na nią gapi. Oczywiście nigdy go nie zachęcała ani do znoszenia wzmiankowanych darów przyjaźni, ani do nieustannego gapienia się na nią. Nie mogła go, niestety, całkowicie zniechęcać do patrzenia, gdyż to mogłoby przeszkodzić w skutecznej terapii. Bądź co bądź, na linii pacjent–lekarz musiało istnieć porozumienie.

Robiła więc, co mogła, aby nie zachęcać Tycznego do śmielszych poczynań. Nie była zainteresowana wspólnym wyjściem do teatru, chociaż bilet na *Wariata i zakonnicę* zwróciła mu z ledwo skrywanym żalem. Nie zgodziła się na wypicie „małej kawki w przytulnym miejscu”. Nie zaprosiła go także na wesele Patrycji, mimo że przez krótką chwilę brała pod uwagę taką możliwość. Myślała o tym głównie dlatego, że chociaż sporo wiedziała o jego nie do końca pogrzebanej karierze zawodowej, jako człowiek wciąż stanowił dla niej tajemnicę.

Był zupełnie przeciętnym mężczyzną: dosyć wysoki blondyn o nieprawdopodobnie niebieskich oczach. Nieszczególnie jej się podobał, gdyż miał zdecydowanie za długi nos. Mimo to przypuszczała, że niejedna dziewczyna mogłaby być nim zainteresowana, pod warunkiem, że wcześniej nie zesłaby śmiertelnie na atak śmiechu, słysząc jego imię i nazwisko. Elwira miała to szczęście, że najpierw przeczytała je w rejestrze pacjentów wzrokiem, potem szeptem, a następnie – walcząc z salwami śmiechu – na głos. Nic nie mogła poradzić na to, że godność tego człowieka budziła w niej aż takie rozbawienie. W każdym razie zdołała wychichrać się na zapas i gdy ów pacjent przyszedł na wizytę, zachowała niemalże stoicki spokój.

Niemalże.

Tak czy inaczej pan Roman Tyczny mocno utkwiał w jej pamięci i, jak się okazało, również w kartotece. Nie przerażały go rachunki za kolejne sesje, bywał u Mareckiej regularnie co tydzień od ładnych paru lat.

Elwira szybko otrząsnęła się z zamyślenia.

– Dobrze, panie Romku. Na dzisiaj koniec – powiedziała, uzupełniając kartotekę.

– Ach, to już? – zmartwił się mężczyzna. Spojrzał na nią tym maślanym spojrzeniem, po którym zawsze padało zaproszenie do kawiarni.

– Niestety tak. Za chwilę mam następnego pacjenta – skłamała gładko, gdyż w perspektywie miała krótką przerwę.

– Jaka szkoda – westchnął Roman Tyczny. – A już miałem nadzieję, że uda mi się porwać panią na filiżankę aromatycznej kawy.

– Dziękuję, ale muszę odmówić – odparła Elwira.

– Szkoda – powtórzył, otwierając drzwi na korytarz. – Do widzenia pani.

– Do widzenia. Proszę pamiętać o kolejnej wizycie – przypomniała wychodzącemu mężczyźnie.

Z grafika wynikało, że następna osoba przyjdzie za pół godziny. Za mało czasu, aby dokądś wyskoczyć, za dużo, aby siedzieć beczynn timer i rozmyślać nad tym, czy warto angażować się w nowy związek. Marecka pomyślała, że z przyjemnością wypiłaby filiżankę kawy. Wzmianka Tycznego tak bardzo podrażniła jej kubki smakowe, że Elwira nie wzgardziłaby nawet tą kawopodobną cieczą, którą można było nabyć w automacie ustawionym w poczekalni. Wysupłała drobne z portfela, a potem poszła po upragniony napój. Nie była smakoszem, nie znała się na poszczególnych gatunkach. Jej przyjaciółka, Pati, robiła najlepsze na świecie cappuccino z cynamonem i Elwira je uwielbiała. Ale nie pogardzała również cieczą, po którą właśnie zmierzała, choć wiedziała, że na samą myśl o wypiciu czegoś takiego Patrycja skrzywiłaby się z odrazą.

Pamiętaj, żeby wziąć bez cukru – napominała samą siebie, idąc korytarzem. *Bez cukru! Bez cukru! Bez cukru!*

Było to ważne, ponieważ w swoim roztrzepaniu z reguły podczas wybierania napoju zapominała o zaznaczeniu, że nie chce, aby był słodki. Nie lubiła słodzonej kawy.

– Elwirka, masz może zamiary na jakiegoś solidnego posadzkarza? – zagadnęła ją doktor Małgorzata Osikowicz.

Ostatnio cała klinika żyła remontem jej domu, bowiem sympatyczna internistka była nadzwyczaj towarzyska i wylewna, więc z ochotą opowiadała o swoich sprawach każdemu, kto zechciał słuchać.

– Niestety nie – odparła Marecka, zatrzymując się przy automacie i wybierając lurowate cappuccino. – Zapytaj w recepcji, może Stasia Do Rany Przyłóż słyszała o kimś takim.

– Dzięki. Tak właśnie zrobię.

Elwira wcisnęła przycisk „Start”. We wnętrzu maszyny coś zabulgotało.

– Psiakość! Miałam wziąć bez cukru! – jęknęła kobieta, lecz było już za późno na zmianę.

Nie chciało jej się wracać po drobne na kolejną kawę. Miała nadzieję, że napój nie będzie ulepkowaty. Odczekała, aż urządzenie zakończy procedurę przyrządzania kawy, po czym zabrała tekturowy kubeczek i ruszyła do siebie. Po drodze postanowiła zahaczyć o recepcję, aby sprawdzić, czy nie ma dla niej jakiejś poczty. Pociągnęła maleńki łyk gorącego naparu i skrzywiła się z niesmakiem. Osoba, która kupowała kawę przed nią, zostawiła automat ustawiony na maksymalne słodzenie.

– Trzeba było powiedzieć, że ma pani ochotę na kawę, przyniosłabym do gabinetu – powiedziała na jej widok Stasia, zwana przez resztę personelu Do Rany Przyłóż, bowiem była niestrudzona w swoich chęciach niesienia pomocy.

– Ależ dziękuję, pani Stasiu, nie trzeba – odparła Marecka.

Tylko raz dała się namówić recepcjonistce na wypicie kawy zrobionej przez nią, i było to przeżycie na tyle traumatyczne, że postanowiła nigdy więcej go nie powtarzać. W życzliwości swojej Stasia zaparzyła kawę o mocy zdolnej do wskrzeszenia nieboszczyka. A ponieważ biedna Elwira nie miała dość asertywności, pod czujnym okiem kobiety wypła cały napój. Do ostatniej, szatańskiej kropelki. Cud, że nie wyrosły jej później diabelskie różki.

– No i jak? – zagadnęła stojącą tam koleżankę. – Masz już tego fachowca?

– Nie – westchnęła. – Pani Stasia przestrzegła mnie tylko przed ekipą, która rok temu spartaczyła jej łazienkę.

– A to pech!

– No pech, pech. – Pokiwała głową Do Rany Przyłóż. – Do tej pory nie mogę patrzeć na chałturę, którą mi odwalili. Wiem! Może Christian Grey będzie miał zamiary! – stwierdziła odkrywczco. – Jak mu się pożaliłam, co tamte gamonie zrobiły, to wspomniał, że miał ekipę, która wykonała robotę bez zarzutu.

– Bo była bez zarzutu.

Trzy zaskoczone kobiety obejrzały się w stronę, z której dobiegał głos. Elwira zrobiła to na tyle energicznie, że zawartość jej tekturowego kubeczka chlusnęła wprost na tors Krystiana. Brązowawa ciecz spłynęła lepкими zaciekami po nienagannie wyprasowanej koszuli w jasną kratkę oraz ciemnych jeansach doktora.

– Auć! – krzyknął, nie tyle poparzony, co wystraszony nieprzyjemnym doznaniem mężczyzna.

– Ojej! – pisnęła Elwira. – Najmocniej przepraszam! Powinien pan to zdjąć. – Ujęła w dwa palce mokry materiał przylegający do skóry doktora.

Greń posłał jej mordercze spojrzenie i cofnął się o krok.

– Poradzę sobie – burknął. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby ta mała chuda z wielkimi oczami zaczęła go rozbierać w miejscu publicznym. – Powinna pani bardziej uważać.

– Zawsze mówiłam, że kofeina jest szkodliwa – zachichotała Małgorzata.

– Bardzo mi przykro. Pokryję rachunek za pranie – zadeklarowała winowajczynie.

– Nie ma potrzeby – powiedział mężczyzna, odklejając lepki materiał od ciała. – Pani Stasiu, czy dostanę jakiś czysty kitel? – zwrócił się do recepcjonistki.

Przecież nie mógł przyjmować wizyt w brudnej koszuli. Własnym fartuchem nie dysponował, charakter jego pracy tego nie wymagał. Ponadto doktor odnosił wrażenie, że schludny, zwyczajny ubiór pozwala jego pacjentom na swobodniejsze zachowanie.

Stanisława, czerwieniąc się po czubki uszu, wręczyła mu czysty fartuch. Doktor odszedł, aby się przebrać.

Trzy kobiety spojrzały po sobie.

– Myślicie, że słyszał? – zapytała przejęta recepcjonistka.

– To o Greyu?

- Mhm.
- Pewnie tak – stwierdziła Gosia.
- Ojej – zmartwiła się Do Rany Przyłóż. – I co teraz?
- Wychodzi na to, że obydwie jesteśmy pod kreską – stwierdziła Elwira, która po wpadce z kawą czuła się niekomfortowo.
- Nie ma się czym przejmować. – Doktor Osikowicz wzruszyła ramionami.
- Nawet jeśli usłyszał, to i tak pewnie nie zrozumiał. Być może nie zwrócił uwagi na drobne przekręcenie.
- A jeśli wyłapał? – zamartwiała się Stanisława. – Nie wiem, czy zachwyciło go porównanie do perwersyjnego amanta.
- Kochaniutka, nie ma się czym martwić. Wątpię, czy nasz kolega ma w ogóle pojęcie, z kim go utożsamiamy. Faceci nie czytują babskiej literatury. O ile w ogóle czytują cokolwiek poza rubryką sportową w gazecie.
- I sprośnymi komentarzami pod postami na wiocha.pl – dodała Elwira, kombinując w duchu, kto bardziej naraził się jednemu z nielicznych kolegów z pracy.
- A poza tym myślę, że dla mężczyzny to nobilitacja, gdy porównuje się go do takiego jurnego skurczybyka – zachichotała Gosia.
- No przecież! A widziałyście jak odskoczył, gdy Elwira złapała go za koszulę?
- Owszem. Zupełnie, jakby się bał, że go rozbiore – parsknęła Marecka.
- Nigdy w życiu nie chciałyby rozbierać doktora Grenia. Dla niej był to obiekt totalnie aseksualny. Wizualnie nie wyróżniał się niczym szczególnym. Szatyn z piwnymi oczami o pociągłej twarzy i przeciętnej posturze. Ot po prostu: zwyczajny mężczyzna około czterdziestki. Zadbany w granicach rozsądku. Dobrze ubrany. Kulturalny i szarmancki, ale jednocześnie tak zdystansowany i nieprzystępny, że chociaż absolutnie na to nie zasługiwał, wśród współpracowników uchodził za gbura. Właściwie Elwira nigdy nie określała go w myślach inaczej niż Pan Gbur.
- Mimo wszystko odczuwała wyrzuty sumienia, że skazała go na chodzenie w sztywno wykrochmalonym kitlu. Postanowiła, że przy najbliższej okazji postara się zatrzeć nieprzyjemne wrażenie. Może postawi mu kawę?
- Ha! Wszak Christian też nie znosił, gdy go dotykano! – zauważyła odkrywczo Stasia. – Dewiant, ja wam to mówię – powiedziała

konspiracyjnym szeptem, co wywołało ryk śmiechu całej zgromadzonej trójki.

Krystian Greń drżącą ze zdenerwowania dłonią zapinał guziki kitla. Przejrzał się krytycznie w lustrze wiszącym w męskiej toalecie. Uznał, że obnażona szyja wygląda rażąco. Może lepiej by zrobił, gdyby nie wkładał fartucha na gołe ciało? Przecież miał tylko zasłonić poplamioną, lepką koszulę. Zdecydowanie nie wypadało, aby świecił dekoltem – wszak nie był panną na wydaniu.

– Niech diabli wezmą Elwirę Marecką i tę cholerną ciecz, którą pije! – zirytował się, poprawiając kołnierzyk.

Zaraz potem przypomniał sobie o okropnej zniewadze, jaka padła z ust recepcjonistki. Bo czymże innym było prześmiewcze przekręcanie jego nazwiska?

– Niech diabli wezmą Erikę Leonard i te cholerne powieści, które pisze! – pomstował.

To oczywiste, że jakiś czas temu pofatygował się, żeby sprawdzić, komu zawdzięcza nagły wzrost popularności wśród personelu kliniki w Niepołomicach oraz w kilku innych miejscach, gdzie praktykował jako lekarz seksuolog. Ba! Zadał sobie również trud, aby owo sławetne dzieło przeczytać. Po zaliczeniu lektury poczuł się wykpiony w przeokropny sposób. Wszak to była jakaś podła ironia losu: nie dość, że nazywał się podobnie (no przecież, że nie tak samo!) jak główny bohater tego... hm... dzieła, to jeszcze wykonywał zawód przyprawiający ludzi o kosmate myśli!

Iluzja

Chociaż Marcin sprawiał wrażenie zaangażowanego w związek z Elwirą, czuł się w tym nieco poplątany. Tak naprawdę pragnął, aby wszystko biegło znacznie szybciej, lecz pech chciał, że natrafił na wyjątkowo oporną sztukę. On zdecydowanie wolałby mieć już z głowy ten okropnie męczący czas pierwszych uniesień oraz niepewności. Był racjonalistą, więc lubił wiedzieć, na czym stoi. Gra w podchody z kobietami nie należała do przyjemnych. *Kocha? Nie kocha? Kocha? Nie kocha?* – takie zabawy były dobre dla romantyków oraz dziewczyn. Dla mężczyzny białe zawsze było białe, a czarne – czarne, chociaż oczywiście przyjmował do wiadomości to, że pomiędzy tymi dwoma kolorami istnieje cała paleta szarości. Problem w tym, że on nie uznawał takich niuansów.

Oczywiście bardzo zależało mu na Elwirze. Nie wyobrażał sobie związku z inną kobietą. Można było rzec, że Marecka na swój sposób zawojowała jego serce i zapewne byłaby niepodzielną panią i władczynią tego istotnego organu, gdyby nie to, że palmę pierwszeństwa wciąż dzierżyła praca w policji.

W ramach zwalczania wyrzutów sumienia spotykał się z Elwirą tak często, jak tylko pozwalały mu obowiązki służbowe. Zabierał ją to do Kina za Rogiem (zdecydowanie taniej niż w którymś z modnych krakowskich multipleksów, a przy tym jaki klimat!), to do pobliskiego pubu, to znowu na długie romantyczne spacerunki, podczas których mogli liczyć gwiazdy i słuchać koncertów smyczkowych w wykonaniu koników polnych. Dokładał starań,

aby ukochana kobieta była z nim szczęśliwa. To prawda, że kilkakrotnie randki zostały przerwane przez telefony w sprawie pilnych interwencji, lecz i tak miłość kwitła w najlepsze.

Marcin w pełni doceniał zaangażowanie Elwiry w ich związek. Cieszył się, że miała tyle zrozumienia dla jego pracy. Nie narzekała na to, że często musi spędzać czas samotnie, albo że Podolski, zamiast zabrać ją na kawę, znowu zajmuje się światkiem przestępczym działającym na terenie miasta i gminy Niepołomice.

Odkąd przed dwoma laty Iwonka wyraziła chęć uczęszczania na lekcje gimnastyki artystycznej (chodziły na nie Gabi i Wiki, najlepsze przedszkolne przyjaciółki dziewczynki), Ciaputek zyskał okazję do tego, aby zadbać o swoją formę fizyczną. Zapisując córkę na zajęcia, zauważył, że w tym samym budynku znajduje się doskonale wyposażona siłownia. Ha! Cóż to był za raj dla niego! Zamiast jeździć tam i z powrotem lub siedzieć z gromadką znudzonych mam i przyglądać się wygibasom pociech, sam mógł wyczyniać różne wygibasy pod okiem fachowego trenera.

Początkowo żywił obawy, że sprawa gimnastyki okaże się słomianym zapalem. Zaczął szybko obmyślać plan B, aby zająć czymś swoją pociechę w czasie, gdy on będzie wyciskał z siebie siódme poty na ławeczce treningowej. Na szczęście w ośrodku, do którego uczęszczali z takim entuzjazmem, oferowano całą gamę zajęć dla dzieci: począwszy od śpiewu, poprzez prace manualne, a skończywszy na zajęciach kulinarnych.

Iwonka okazała się jednak zadziwiająco wytrwała w swoim upodobaniu do wymachiwania wstążką, robienia szpagatów i innych karkołomnych wyczynów. Co więcej, to ona czuwała nad tym, aby ojciec nie zapomniał, że we wtorki i czwartki mają zajęcia. Z uwagi na dyspozycję tatutka w tych dniach przymykała oko na to, że w poniedziałki i środy pracował do bardzo późna. Mężczyzna wracał wtedy do domu po wieczorynce, przez pół godziny czytał jej bajkę, a następnie całował ją w główkę na dobranoc. Czasami spędzała te popołudnia u swojej opiekunki, pani Janeczki, i tato odbierał ją od niej po pracy. To też jej się podobało, bo niekiedy udawało jej się namówić ojca na lody (opcja letnia) albo rurkę z kremem (gdy było chłodno) w niepołomickiej kawiarni Alter Ego.

Ciaputek odprowadził córkę na zajęcia.

– Do zobaczenia za półtorej godziny, Fionka – pożegnał ją pieśczośliwym zdrobieniem zapożyczonym ze znanej bajki.

– Pa, supertatutku! – Pomachała mu ręką i, nucąc dość głośno: *Wyginam śmiało ciało! Wyginam śmiało ciało!*, weszła na salę ćwiczeń.

We wtorki i czwartki Ciaputek zawsze był określany mianem supertatutka. Zapewne miało to związek z ciężarkami, którymi energicznie wymachiwał, gdy pewnego dnia Fionka skończyła zajęcia wcześniej niż zwykle i przyszła zobaczyć, co porabia tatuś. Najpierw przysiadła grzecznie na ławce, obserwując jego zmagania z hantlami, a później, gdy je odłożył, sama próbowała podnieść dziesięciokilogramowy ciężar.

Tego dnia machanie hantlami szło mu równie sprawnie co zwykle. Robił to bez większego wysiłku, spoglądając z nieco znudzoną miną na ćwiczących wokół ludzi. W pewnym momencie jego wzrok spoczął na dwóch dziewczynach, na oko dwudziestoparoletnich. Panie owe, zamiast korzystać z dobrodziejstw dobrze wyposażonej sali gimnastycznej, intensywnie gapiły się na niego, dzieląc się w dość niedyskretny sposób uwagami na temat Ciaputkowej muskulatury.

Trzeba było oddać mu sprawiedliwość: w opiętej koszulce wyglądał nadzwyczaj dobrze. Chociaż nie był typem osiłka o nalany karku (został genetycznie zaprogramowany jako zbyt smukły do osiągnięcia takiego wyglądu), przyciągał spojrzenia. Szczególnie zwracała uwagę lekkość, z jaką wykonywał poszczególne ćwiczenia.

Chociaż mężczyzna świadom był tego, że może wydawać się atrakcyjnym kąskiem dla tych dzierlatek (bądź co bądź młodszych od niego o jakąś dekadę), poczuł zażenowanie bezpardonowymi komentarzami. Zerknął na zegar wiszący nad drzwiami i z ulgą stwierdził, że Iwonka kończyła już zajęcia. Przemknął więc szybko do szatni. Odprowadziły go powłóczyście spojrzenia oraz zaczepne uwagi dziewczyn.

Wykapany i przebrany ruszył w stronę sali, gdzie odbywały się zajęcia gimnastyki artystycznej. Niestety, na korytarzu ponownie dopadły go te dwie okropne kobiety.

– Hej, złotko! Może pójdziesz z nami na drinka? – zaproponowała bez ogródek jedna z nich.

– Dziękuję za zaproszenie, ale nie skorzystam. Jestem już umówiony z pewną młodą damą – odparł bardzo kulturalnie, chociaż miał szczere chęci, aby posłać nachalne dziewczuchy do diabła.

To prawda, że obydwie były całkiem ładne i bardzo atrakcyjne (aczkolwiek on nie gustował w buziach spalonych lampami solarnymi). To prawda, że czasami brakowało mu miłego, damskiego towarzystwa (no dobra: był drastycznie wyposzczony). Ale, do cholery, jako mężczyzna był myśliwym – to odwieczne prawo natury. A żaden myśliwy świata nie lubi, gdy zwierzyna pcha mu się na muszkę. Gdzie przyjemność z polowania? Gdzie dreszczyk emocji?

On już raz pozwolił, aby zwierzyna wzięła nad nim górę. I co z tego wyniknęło? Przede wszystkim katastrofa małżeńska z efektem ubocznym w postaci osieroconego dziecka. W ostatecznym rozrachunku musiał przyznać, że rezultat tamtego polowania był doskonały, ale jakim kosztem go uzyskał?! – rozmyślał mężczyzna, gdy tenże właśnie wynik zmaterializował się w podwójnych drzwiach sali gimnastycznej.

– Tatutku! Super, że już jesteś! – wykrzyknęła entuzjastycznie Iwonka i zawisła na jego szyi. – Nauczyłam się nowego tańca ze wstążką! To brrrrdzo trudny układ – pochwaliła się mała trzpiotka.

Znajome-nieznajome z siłowni obrzuciły dziewczynkę niechętnym spojrzeniem, potem spojrzały po sobie, wzruszyły ramionami i, ku radości Ciaputka, bez dalszych nagabywań pomachały do niego rękami i odeszły.

– Co to za babsztylę? – zainteresowała się dziewczynka.

– Takie tam. Ćwiczyły dzisiaj obok mnie – odparł lekceważąco ojciec.

– Zaczepiały cię?

– Eee... No.

– A nie wiesz, że nie powinno się gadać z nieznajomymi? – skarciła go córka, której te dwie panie wybitnie nie przypadły do gustu.

– Wiem, wasza przemądrzość.

– No, żeby mi to było ostatni raz! – Fiona pogroziła ojcu palcem. – Jak już chcesz mieć narzeczoną, to nie taką, która wygląda jak indiaminka.

– Jak kto?

– No przecież mówię ci, że indiaminka. No, taka z czerwoną twarzą i piórami na głowie, i co robi tak: ła-ła-ła-ła-ła! – Zaczęła naśladować okrzyk

indiański, zasłaniając usta dłonią.

– A! Chodzi ci o Indiankę – domyślił się Ciaputek i mimo woli parsknął śmiechem.

Jego koleżanki z siłowni zdecydowanie za często korzystały z solarium.

– No tak. A poza tym mój anioł od spełnionych marzeń już wybrał panią tatutkową – oznajmiła dziewczynka.

– Że co?! – zdziwił się mężczyzna.

– No, chodzi o to, że przyśniła mi się bardzo miła pani, która kiedyś będzie moją drugą mamusią – powiedziała poważnie. – I nawet wiem, że istnieje, bo już ją widziałam. Tylko na razie trzeba cierpliwie czekać, tak mi podpowiedział aniołek.

– Iwonka! Co ty kombinujesz?! – W głosie ojca słychać było zdenerwowanie.

– Nic, tatutku. Absolutnie nic. Pani Janeczka mówi, że jak coś ma się wydarzyć, to się wydarzy i już!

Nie uspokoiło go to ani trochę, lecz z drugiej strony co mogła zdziałać sześćioletnia dziewczynka? Chyba nie powinien aż tak bardzo przejmować się jej paplaniną. To oczywiste, że mała pragnęła mieć matkę i wciąż wracała do tego tematu. Sęk w tym, że takie marzenia nie spełniają się na pstryknięcie palcami.

Iwonka zerknęła z ukosa na ojca. Jego wyraz twarzy złagodniał.

Szczęściu trzeba pomagać – pomyślała zadziornie.

Ślub Patrycji i Klaudiusza jeszcze przez długi czas stanowił pożywkę dla Złotoustej Joli oraz Izabeli. Koleżanki z upodobaniem dawały młodej mężatce dobre rady na temat roli mężczyzny i kobiety w małżeństwie.

– Pamiętaj, złotko – przestrzegająca Złotousta – żeby uwiązać doktorka na krótkiej smyczy. Wiesz, że on ma duży dostęp do kobiet, a ty małe możliwości inwigilacji!

– Inwigilacji?! – oburzyła się Pati. – Po jaką cholerę mam szpiegować męża?!

– A choćby po taką – Iza z miejsca poparła Jolkę – że szanowny mąż może się zakręcić koło co ładniejszych pacjentek. Wiesz, jak jest: to facet, który wszedł niedawno w wiek średni. Tylko patrzeć, jak dopadnie go

kryzys, a wtedy będzie płacz i zgrzytanie zębów.

– Bez przesady – prychnęła pogardliwie Patrycja, ponieważ już od dawna pozostawała nieczuła na wywody koleżanek.

– No właśnie – wtrąciła Elwira, jak zawsze, gdy ktoś próbował atakować jej ukochaną przyjaciółkę. – Bredzicie jak potłuczone. Jakbyście nie znały Klaudiusza!

– Oj tam, oj tam! A co można powiedzieć o facecie, który sprowadził się tutaj przed zaledwie dwoma laty?

– Czasami tak już jest, że można ocenić człowieka równie szybko, co trafnie. Wcale nie trzeba z kimś zjeść beczki soli, aby tego dokonać. I wiecie co? Za Klaudiusza dam sobie uciąć rękę! O!

– Dobra, dobra. Tylko nie bądź zdziwiona, jeśli za jakiś czas zaczniemy na ciebie mówić *madame Hak*. To od kapitana Haka – wyjaśniła Jola.

– Do tego na pewno nie dojdzie. – Elwira wzruszyła ramionami.

– Dojdzie, nie dojdzie... – wtrąciła się Iza. – Znasz powiedzenie: strzeżonego Pan Bóg strzeże? Zawsze lepiej zapobiegać niż leczyć. Bo z facetem tak już jest, że jak mu raz popuścisz, to koniec! Znam mnóstwo kobiet, które wybaczą zbyt łatwo. Ot, taka Basia Cieślik chociażby. Mąż notorycznie robi ją w bambuko, zdradza bidulę na prawo i lewo. Ona krzyczy, próbuje wyrzucić go z domu, a potem i tak mu odpuszcza. I jeszcze wybiela go przed innymi, że niby to nie jego wina, bo baby same mu się pchają do łóżka! Phi! – prychnęła z pogardą.

– O właśnie! Kobieta powinna mieć godność. Jak już facet raz nadużyje zaufania, to koniec! – drążyła temat Jola.

Całej rozmowy słuchała w milczeniu Anna Marzec. Z piątki przyjaciółek, zbierających się regularnie w *Alter Ego*, to ona miała najdłuższy staż małżeński. Na jakimś etapie była nawet jedyną mężatką w ich gronie. Sęk w tym, że nikt nie miał pojęcia, ile tak naprawdę kosztowało ją utrzymanie tego stanu rzeczy. Zaliczała się do tych nieszczęsnych kobiet, o których wspominała Izabela. Nigdy nie mówiła tego na głos, lecz zdecydowanie należała do pań wybaczących zbyt łatwo, a później wyszukujących usprawiedliwień dla męża.

Wprawdzie nigdy nie zdarzyło się, aby ewidentnie przyłapała Roberta na zdradzie, ale wciąż dręczyły ją podejrzenia. Doskonale pamiętała dzień,

w którym on po raz pierwszy nadużył jej zaufania.

To było jeszcze przed ślubem. Poszli razem na dwudzieste pierwsze urodziny Izabeli. Przybyło mnóstwo osób w różnym wieku. Głównie była to młodzież, ale nie zabrakło również kilku młodych małżeństw. Impreza szybko nabrała rozpędu. Alkohol rozluźniał zgromadzonych gości. W salonie pogasty światła i kilkanaście par tańczyło w rytmie nastrojowej muzyki. Ania i Robert także kołysali się w delikatnym blasku świec.

Zasady dobrej zabawy, jakie wyznawał Robert, stanowiły o tym, że nie mogli kisić się wyłącznie we własnym towarzystwie. Spędzali więc mnóstwo czasu z pewnym małżeństwem o kilkuletnim stażu. On był kuzynem jubilatki, ona zahukaną kurą domową. Aśka należała do tych kobiet, które po ślubie zaczynają zanikać i schodzić w cień, pozwalając, aby to mąż grywał pierwsze skrzypce w każdym koncercie. Niegdyś bardzo ładna i promienna, wraz ze zmianą stanu cywilnego straciła cały swój blask. Jej oczy wciąż przepełniał smutek, a usta bardzo rzadko składały się w uśmiech.

Ania pamiętała, że Aśka wciąż wodziła wzrokiem za swoim mężem, a on, pochłonięty podnoszeniem kolejnych kieliszków, po prostu nie zwracał na nią uwagi.

Zauważył ją za to Robert, który szybko pozbył się balastu w postaci Anki, wypychając narzeczoną w ramiona jednego ze swoich kolegów. Podszedł do melancholijnej mężatki i poprosił ją do tańca.

Partner Ani był kiepskim tancerzem, więc już po pierwszym utworze podziękowała mu za wspólną zabawę i wyruszyła na poszukiwanie Izabeli, gdyż zamierzała pogadać z przyjaciółką.

Poszukiwania zakończyły się odnalezieniem... Roberta, który rozmawiał w Joanną, stojąc zdecydowanie zbyt blisko niej. Nachylał się nad kobietą tak, że ze swojego miejsca Anna nie mogła stwierdzić, czy tylko mówi coś do ucha młodej mężatki czy dotyka ustami jej skóry.

Nie mogła na to patrzeć. Odwróciła się i wybiegła na zewnątrz.

Z powodu pocałunku – urojonego czy też nie – płakała rzewnie, targana ogromną zazdrością. Pech chciał, że właśnie wtedy nasza ją Izabela i zaraz zaczęła wypytywać o powód rozpacz. Od słowa do słowa wyciągnęła z niej przyczynę łez. Oczywiście Iza nie odpuściła sobie kąśliwych uwag pod adresem wiarołomnych samców. Już wtedy słynęła z ciętego jęzora

i poglądów, które, choć uważała za feministyczne, nijak miały się do feminizmu jako takiego.

– Nie bądź głupia – perswadowała. – Zerwij z tym draniem, póki nie jest za późno. Skoro już teraz nadużywa twojego zaufania, to bądź pewna, że po ślubie będzie o wiele gorzej. Nic go wtedy nie powstrzyma.

– Tak, chyba masz rację. – Ania pociągnęła żałośnie nosem.

– Żadne „chyba”, kotku złoty. Zapamiętaj sobie raz na zawsze: mężczyzna, który doprowadza kobietę do łez, jest zwykłym burakiem, ot co! Odpuść go sobie. Tego kwiatu jest pół świata.

Ania nie mogła odmówić racji Izoldzie, jednak gdy Robert porzucił w końcu towarzystwo sfrustrowanej mężatki, wszystkie argumenty kładzione do jej głowy przez Izę po prostu wyparowały.

– No, co jest? – zapytał mężczyzna, obrzucając zniecierpliwionym spojrzeniem zaciętą minę i zaschnięte ślady łez na policzkach narzeczonej.

– Musiałeś tak się do niej kleić? – W jej głosie zamiast wściekłości dominowała rozpacz.

– Nie rozumiem. – Wzruszył ramionami.

– Czego nie rozumiesz? Tylko na moment spuściłam cię z oczu, a ty od razu flirtujesz z inną.

– Nie flirtuję.

– Nie? A niby co to miało być? To przedtem, gdy staliście sami na tarasie... – tłumaczyła nieskładnie.

– Po prostu gadaliśmy ze sobą.

– Tak? A o czym?

– Nie pamiętam już. To nieważne.

– Tak? A czemu ją ścisakałeś? Całowaliście się... – dodała nieco niepewnie.

– Och, Anka! Daj spokój z tą małostkową zazdrością. – Mężczyzna był oburzony. – O co chodzi? Dziewczyna jest nieszczęśliwa. Mąż nie okazuje jej czułości. Jestem po prostu miły i tyle. Nie dorabiaj sobie do tego żadnej nadinterpretacji. I przestań zachowywać się jak rozhisteryzowana idiotka, bo to jest męczące – warknął.

– Ty jesteś męczący!

Nie wytrzymała. Odwróciła się i odeszła, a raczej próbowała to zrobić, bo narzeczoney złapał ją za ramię.

– Ej, no! Anka, nie bądź zła – powiedział, przyciągając ją do siebie. – W gruncie rzeczy to dobrze, że jesteś zazdrosna, bo przynajmniej wiem, że ci na mnie zależy. – Roześmiał się i musnął wargami gniewnie zaciśnięte usta dziewczyny.

Nawet nie mrugnęła powieką, a już obejmowała Roberta, podczas gdy on całował ją do utraty tchu.

Wtedy wybaczyła mu po raz pierwszy.

Oczywiście musiała usprawiedliwić Roberta przed Izabelą. Wytłumaczyła przyjaciółce, że zaszło nieporozumienie i oni wcale się nie całowali.

– Poniosła mnie wyobraźnia. Zobaczyłam to, co chciałam widzieć. To znaczy: nie chciałam widzieć, że się całują, ale tak to wyglądało, bo stali blisko i rozmawiali. A ja, głupia, myślałam, że się całują. Ale się nie całowali – mówiła chaotycznie.

– Nie wybielaj go – powiedziała szorstko Iza. – Jeszcze się przekonasz, ile jest wart.

– Uwzięłaś się na niego! Robert nie zasłużył na to, abyś tak źle go oceniała.

– Zasłużył, zasłużył. Ale to nic. To moja ocena i wiem, że masz ją gdzieś. Jak znam życie, to jeszcze nie raz się posprzeczacie. A potem będziecie się godzić. I znowu kłócić. I tak w kółko, aż do momentu, gdy któreś z was oprzytomnieje. Albo gdy uznacie, że lepiej kłócić się z obrączką na palcu. – Przyjaciółka jak zwykle nie omieszkała snuć swoich czarnych wizji.

Z perspektywy lat Anna z bólem serca musiała stwierdzić, że Izolda miała cholerną rację. Po ponad dwudziestu latach małżeństwa osiągnęła mistrzostwo w dyplomacji i wyszukiwaniu usprawiedliwień dla różnych wyskoków męża. Niejeden raz podejrzewała go o zdradę. Nieskończoną ilość razy puszczała mimo uszu jego grubiańskie odzywki, wręcz chamstwo. Najpierw pozwalała się upokarzać, później zbyt łatwo wybaczała. A on nieustannie to wykorzystywał.

Teraz, siedząc z przyjaciółkami w ulubionej kawiarni, w milczeniu słuchała dyskusji na temat facetów i kryzysu wieku średniego. Irytowały ją docinki, których Iza i Jola nie szczędziły Patrycji. Podziwiała tę ostatnią, że tak dzielnie odpierała ich ataki.

Najbardziej jednak zazdrościła Elwirze. Ta to się dopiero ustawiła w życiu: singielka z dobrym etatem i facetem na dochodne! Nie musiała znosić

mężowskiego grubiaństwa ani wyskoków. Nie była niczyją służącą. Seks zawsze miała odświętny i uprawiała go wyłącznie wtedy, gdy miała na to ochotę. Nie musiała wysłuchiwać utyskiwań typu: *Czy twój okres nigdy się nie skończy? Albo: No jak to: znowu boli cię głowa?*

Ech, szczęściara!

Na początku, gdy Ania poznała Elwirę, wybitnie nie znosiła o dekadę młodszej smarkuli. Z perspektywy czasu musiała jednak przyznać, że powodowała nią przede wszystkim zawiść, gdyż Marecka była wszystkim tym, czym pragnęła być ona, gdy jeszcze miała odwagę marzyć.

Teraz nawet marzenia podporządkowane były Robertowi. To on decydował, o czym wolno jej było fantazjować, a o czym nie.

Elwira zdjęła z automatu kubek z kawą. Przezornie rozejrzała się, czy nie ma gdzieś w pobliżu Pana Gbura i jego nienagannie wyprasowanej koszuli w kratkę. Upewniwszy się, że droga jest wolna, podeszła do lady recepcyjnej, aby tam wypić w spokoju podwójne cappuccino i uciąć sobie jakąś przyjemną pogawędkę ze Stasią Do Rany Przyłóż. Piętnaście minut później, gdy opróżniła z napoju tekturowy kubeczek i poznała najświeższe plotki z kliniki, zdecydowała, że czas wracać do gabinetu. Za chwilę miała następnego pacjenta. Zamierzała zerknąć jeszcze do jego kartoteki, aby odświeżyć sobie pamięć. Dochodziła niemalże na miejsce, gdy dobiegł ją okrzyk Stanisławy.

– Pani Elwirko!

– O co chodzi? – zapytała, odwracając się w jej stronę.

– Zapomniała pani wziąć ofertę od przedstawicielki farmaceutycznej, tej, co to była tutaj z samego rana.

– Nie ma problemu, wezmę później – odparła Elwira, spoglądając na Stasię i jednocześnie wciąż zmierzając w kierunku gabinetu.

Nagle uderzyła łokciem w coś nieszczególnie twardego.

– Matko Boska! – usłyszała okrzyk doktora Grenia. – Gdzie ma pani oczy?!

Elwira natychmiast odwróciła się w stronę mężczyzny i zamarła. Jej pierwsza myśl dotyczyła dramatycznego dylematu: śmiać się czy płakać? Doktor dzierżył w dłoni pustą szklankę oblepioną resztkami fusów. Nienagannie wyprasowany gors białej koszuli w jasnoniebieską kratkę

zdobiła okazałych rozmiarów plama z kawy po turecku. Fusy oblepiały nie tylko bawełniany materiał, ale również górną część spodni doktora, z tendencją do przemieszczania się w dół i skapywania brunatnymi kleksami na perfekcyjnie wypastowane buty oraz nieco mniej starannie umytą posadzkę. Dziewczyna na ułamek sekundy zrobiła wielkie oczy i zasłoniła usta dłonią. W następnym odruchu zerwała z szyi swój ulubiony szal z kaszmiru i rzuciła się na ratunek Greniowi.

– Najmocniej pana przepraszam, doktorze – powiedziała, czerwieniejąc po czubki uszu. – Czy ta kawa była gorąca? Poparzyłam pana?

– Na szczęście nie – burknął Krystian i cofnął się o dwa kroki, gdyż żywił niebezpieczne obawy, że interwencja tej niezdary może przynieść więcej szkody niż pożytku. – Została w gabinecie po wyjściu mojego poprzednika. Miałem zamiar wylać to paskudztwo.

– Panie Krystianie, ja pokryję te straty – zadeklarowała Elwira. – Zniszczyłam panu już dwie koszule i dwie pary spodni. Jest mi bardzo przykro.

Greń walczył z chęcią posłania Elwiry do diabła. Z drugiej jednak strony dobrze wiedział, jak wrażliwe są kobiety. W gruncie rzeczy to małe, chude i wiecznie zakręcone stworzenie nie zrobiło tego naumyślnie. Poza tym poprzednia plama została usunięta, więc może i tym razem się uda?

– Dziękuję pani, ale naprawdę nie trzeba – odpowiedział. *Wystarczy, że będziesz trzymała się ode mnie z daleka*, dodał w myślach.

Na głos wolał nie wypowiadać takich kwestii. Bądź co bądź kobiecie należał się szacunek. Każdej, nawet tak irytującej jak ta – tego nauczyła go matka.

Zanim Elwira zdążyła zareagować, Krystian umknął do swojego gabinetu. Na szczęście po ostatniej kawowej katastrofie wciąż jeszcze był w posiadaniu białego fartucha, więc po prostu zdjął koszulę i narzucił kitel. Spodniami nie zawracał sobie głowy, plamy nie były aż tak rozległe.

– Kobiety! – westchnął, przewracając oczami.

Ze strony piękniejszej części populacji często spotykały go przykre niespodzianki.

Elwira i Marcin spotykali się w każdej wolnej chwili, a tych, niestety, było

niewiele. Zarówno ją, jak i jego pochłaniała intensywna praca zawodowa, której godziny często wykluczały spotkania w normalnych porach. Czasami bywało tak, że mężczyzna umawiał się z Marecką na randkę o północy, a ona, mimo że o ósmej rano miała umówionych pacjentów, nie odmawiała. Odsypiała schadzki popołudniami, usiłując zignorować napierające na nią kociarstwo, jak nazywała swoich podopiecznych.

Nawet się nie obejrzała, jak nastał maj. W ciągu minionych miesięcy Marcin dał się jej poznać przede wszystkim jako równy kumpel, z którym można zabawnie spędzić wolny czas. Wybacziała mu brak romantyzmu i nadmierną wesołkowatość. W gruncie rzeczy jego poczucie humoru było niczym miód na serce, bowiem ostatnimi czasy kobieta coraz częściej popadała w stany głębokiej melancholii, a tkwiąc w nich, snuła rozważania nad sensem życia.

Zasadniczo na znajomość z Podolskim nie było powodów do narzekania.

A jednak Marcin, chociaż bardzo się starał, daleki był od jej wymarzonego ideału. Być może z racji wykonywanego zawodu miewał ciągoty do despotycznego podejmowania decyzji. To on decydował o tym, jak spędzą czas, jaki film obejrzą lub co zjedzą na kolację. Często przyłapywała go na tym, że tak naprawdę wcale nie słuchał tego, co ona ma do powiedzenia. Czasami mu o czymś opowiadała, a on wpuszczał to jednym uchem, a następnie wypuszczał drugim. A po kilku dniach wyrażał zdziwienie, że była mowa o czymś takim. To ostatnie składała na karb jego roztargnienia, wszak w pracy miał do ogarnięcia mnóstwo spraw i musiał być bardzo zorganizowany, więc nic dziwnego, że cała reszta mu umykała.

Podolski nie przepadał także za jej koleżankami, co poniekąd wcale jej nie dziwiło. Iza i Jola bywały wyjątkowo jadowite i nie raz założyły mu za skórę swoimi docinkami. Elwira zaczęła więc unikać sytuacji, w których Marcin i dziewczyny mogliby się ze sobą spotykać. Tłumaczyła samej sobie, że chodzi o dogodzenie obu stronom i unikanie nieprzyjemnych momentów, bowiem mężczyzna nigdy nie pozostawał dłużny tym złościcom. Problem w tym, że to oznaczało mniej czasu, który mogłaby wygospodarować dla przyjaciółek.

Kolejną chmurą na tym pozornie lazurowym niebie było to, że Elwira wciąż nosiła się z zamiarem zdradzenia mężczyźnie swojego największego

i najbardziej bolesnego sekretu. Zawsze jednak, gdy usiłowała to zrobić, on mówił lub robił coś zabawnego. Na ogół nie było odpowiedniej atmosfery do tak intymnej rozmowy. A czasami ona po prostu nie mogła się zdecydować lub nie była w odpowiednim nastroju. Odkładała więc temat na później, szukając pretekstu, dla którego nie powinna zawracać głowy Marcinowi swoim problemem.

Na głos nigdy by się do tego nie przyznała, lecz żywiła obawy, czy to, co ma do powiedzenia, nie zniszczy ich związku. Czuła się na tyle spełniona, na ile było to możliwe w jej sytuacji. Nie chciała tracić tej namiastki szczęścia, mimo że rękami i nogami broniła się przed nadmiernym zaangażowaniem i wciąż dokładała starań, aby trzymać Marcina na jak największy dystans.

Dzień mijał za dniem. Wzajemne przywiązanie nabierało siły. Iza i Jolka przestały pokpiwać z przyjaciółki, która straciła głowę dla mężczyzny. Elwirze coraz bardziej ciążyło niedopowiedzenie, o którym wiedziała tylko ona. Chociaż Podolski wciąż pozostawał w nieświadomości, ją dręczyła myśl o tym, że nie jest z nim całkowicie szczerą.

Tymczasem on snuł już blisko- i dalekosiężne plany, w których, otoczeni gromadką dzieci, urządzają rodzinne przyjęcia w ogrodzie, wyjeżdżają na wakacje nad morze lub w góry. Lepią razem, stosownie do pory roku, bałwany lub babki z piasku.

Elwira milczała z coraz większym poczuciem winy. Wiedziała, że nie powinna pozwalać Marcinowi na to, aby dawał się ponieść fantazji. Ona traktowała ich znajomość jako nieco bliższe koleżeństwo, niemalże przyjaźń. Nie potrafiła wykrzesać w sercu silniejszych uczuć ani żaru namiętności. Czasami słysząc, jak Podolski tworzy wizje przyszłości, łykała w milczeniu gorzkie łzy, przyoblekając twarz w wymuszony grymas.

– A czemu jesteś dzisiaj taka smutna? – dociekał, gdy jakimś cudem zdołał zauważyć, że kobieta układa usta w sztuczny uśmiech, a w jej oczach brakuje radosnych iskierek.

– Nic, nic, panie władzo – starała się wykręcić od odpowiedzi.

Gorszy nastrój tłumaczyła migreną, zadumą nad jakąś wyjątkowo trudną pacjentką, nawałem pracy. W gruncie rzeczy nie kłamała. Poza tym jednym niedopowiedzeniem zawsze była z nim szczerą.

W ciągu swojego długiego, osiemdziesięcioletniego życia Hanna wielokrotnie przeżywała dramatyczne momenty. Trudno byłoby jednoznacznie powiedzieć, który z nich wywarł na kobietę największy wpływ lub wstrząsnął nią najbardziej.

Bez wątpienia II wojna światowa, widziana oczami dziecka, odcisnęła trwałe piętno na dziewczynce dorastającej w tamtych realiach. Niemożliwym jest bowiem, aby zapomnieć o głodzie tak wielkim, że palił nie tylko trzewia, ale również i mózg. Ten głód, skręcający kiszkę, powodujący drżenie rąk i omdlenia – nierozzerwalny element wojny – na zawsze pozostał w pamięci Hani. Towarzyszył jej życiu i snom. Podczas wojny i w powojennych wspomnieniach. Wymuszał przezorność i nieustanne gromadzenie zapasów.

Elwira pokpiwała czasami, że babcia jest typem chomika – byłaby bardzo nieszczęśliwa, gdyby spiżarnia w jej domu świeciła pustkami.

Biedrzycka nic nie mogła na to poradzić. Ona po prostu musiała robić weki, w których zamykała skarby z ogrodu: dorodne płody drzew, krzewów oraz grządek. Ta sama przezorność nakazywała, aby w lnianych workach zawsze były orzechy, gdyż w razie czego potrafiły doskonale oszukać głód. Nieustanne, acz niezłośliwe docinki wnuczki wzbudzały również mięsiwa zmagazynowane w zamrażarce, liczne pudełka z bigosem, gołąbkami i innymi daniami, które w razie potrzeby raz-dwa można było odmrozić i podgrzać. Zresztą Hania nie poprzestawała wyłącznie na domowych przetworach. Gromadziła również, w rozsądnych ilościach, konserwy, suchary, suszone warzywa, owoce i grzyby. W piwniczce trzymała beczki kiszzonej kapusty (udeptanej własnymi siłami), ogórków, a także worki wypełnione ziemniakami, marchwią czy cebulą.

Oczywiście te zapasy nie były gromadzone po wsze czasy i podlegały konsumpcji w sezonie jesienno-zimowo-wiosennym. Nie raz i nie dwa Hania wspomagała zawartością swej piwniczki lub spiżarki a to Elwirę, a to któregoś ze znajomych, jak nie swoich, to cudzych. Do pani Biedrzyckiej garnęli się wszelkiej maści potrzebujący: czy to ojciec rodziny, który stracił pracę, czy to zgłodniały stróż z pobliskiej budowy, czy to nieszczęsna kobiecina – żona pijaka i utracjusza, obarczona kilkorgiem wiecznie głodnych dzieci. Miała bowiem Hanna serce o niespotykanej dobroci i o ile potrafiła jakiegoś łachudrę nieroba skłąć siarczyście w języku swego ojca, tak

równie ochoczo wspierała później tegoż samego nieszczęśnika jakimś dobrem spożywczym. Ponieważ była osobą z natury towarzyską, zazwyczaj poza słoikami czy rozmrożonym kawałkiem schabu wspomagała delikwenta także informacją, dokąd mógłby ruszyć się za pracą.

Nic więc dziwnego, że szybko zyskała renome osoby szlachetnej i dobrodusznej, choć dosyć surowej. Niejednemu pijaczkowi zmyła głowę, gdy widziała, jak stojąc na chwiejnych nogach pod sklepem monopolowym, odliczał ostatnie monety na butelkę taniego wina.

– Dzieciom byś cukierki kupił, gamoniu! – grzmiała. – Żona sobie żyły wypruwa, od ust odejmuje, byle związać koniec z końcem, a ty co? Wszystko musisz przechlać?

Co ciekawsze, żulik, któremu wymyślała, nigdy nie dyskutował ani tym bardziej nie stawiał się zadziornej staruszce. Niechby spróbował! Po tym, jak Hania połamała ulubiony parasol na kościstym grzbiecie Bartka Koczary, świadomie nikt nie narażał się na atak. Hanna wzbudzała niekłamany postrach wśród wszystkich okolicznych moczymord i w swym zapale zwalczania alkoholizmu była znacznie skuteczniejsza niż niejedna sekcja AA. Na jej widok czereda pijaczków pierzchała we wszystkie strony – najczęściej zaś w kierunku swoich domów, albowiem zdecydowanie lepszy był wrzask własnej ślubnej niż obelgi w języku rosyjskim padające z ust eleganckiej paniusi (tej samej, która czasami dawała litościwie w celach leczniczych wodę spod ogórków). No bo przecież ileż można wysłuchiwać od obcej kobiety? Na dodatek znacznie starszej i, co gorsza, tej, której zawdzięczało się worek ziemniaków albo ciepłą posadkę.

Wspomnienie własnego pustego żołądka wyzwalalo w Hannie ogromne, niewyczerpywalne pokłady empatii. Mówi się, że syty nie zrozumie głodnego, i jest w tym stwierdzeniu bezsprzeczna prawda. Prawdą jest także to, że kto raz doświadczył głodu, ten nigdy go nie zapomni. Tak więc pani Biedrzycka, która z jednej strony była postrachem pijaczków, z drugiej strony hojnie wspierała potrzebujących. Nic nie pobudzało jej wyobraźni i nie otwierało serca równie efektywnie, co głodne dziecko. A że ojciec malca był nieudacznikiem, wałkoniem czy utracjuszem? Cóż maleństwo temu winne?

Ona sama i tak nie dałaby rady tym wszystkim pieczołowicie

gromadzonym zapasom. Ponadto uważała, że przeżycie nawet najstraszliwego głodu nie usprawiedliwia braku wstrzemięźliwości w jedzeniu i piciu. Był w tym zarówno pragmatyzm (tylko pies ogrodnika sam nie zeżre i z drugim się nie podzieli), ale również i próżność. Nie było mowy, aby Hanna obrosła w tłuszcz, tłumacząc się przed własnym sumieniem, że rekompensuje sobie czasy wojny. Wszak wojna dobiegła końca siedemdziesiąt lat temu!

Dobry Boże! Siedemdziesiąt? – myślała Hania. Zdawać by się mogło, jakby to było zaledwie wczoraj. Niemożliwe, abym była aż taka stara!

Spoglądała w lustro, szukając potwierdzenia lub zaprzeczenia tego stanu rzeczy, i znajdowała się w próżni, gdyż z jednej strony nie dowierzała siwym włosom oraz zmarszczkom pod oczami, z drugiej – wyglądała nadspodziewanie dobrze, zważywszy na wiek. Takie chwile uświadamiały jej jednak, że ona także ulega temu straszemu zjawisku, jakim było przemijanie.

Przemijała – pomału, lecz konsekwentnie. Nie miała na to wpływu.

Przemijała, chociaż nie było jej wolno.

Przemijała, i to właśnie był najgorszy aspekt upływającego czasu. Ona i wnuczka – otoczone gwarnym rojem przyjaciół – w rzeczywistości były zupełnie same. Nie miały na świecie absolutnie nikogo równie bliskiego: Hanna miała Elwirę, Elwira miała Hannę. Oczywiście gdzieś w Polsce mieszkali jej krewni z dalszej linii, a także rodzina Mareckich (Hania niespecjalnie przepadała za rodziną swojego świętej pamięci zięcia, lecz nie utrudniała wnuczce kontaktów z nimi). Ojca oraz wszystkich braci Hania zabrała okrutna wojna. Gdzieś w dalekiej Rosji żyli ostatni Orłowowie, lecz byli daleko. Krewniacy zmarłego męża uważali *madame* Biedrzycką za zbyt wielką ekscentryczkę i nie mogli jej darować, że zamiast przez przepisowy rok nosić żałobę po mężu (najlepiej zaś aż po grobową deskę), nazajutrz po pogrzebie zrzuciła kir z solennym postanowieniem, że nigdy więcej nie włoży tego przygnębiającego czarnego kapelusza z woalką.

Niestety, okropna przemijalność życia sprawiła, że Hanna jeszcze nie raz musiała ów kapelusz wyciągnąć z najdalszego zakamarka garderoby. Zdmuchiwała z niego niewidoczny kurz, wytrzępywała delikatnie woalkę i z westchnieniem wkładała go na głowę. Czas, ten okrutny tyran, coraz

częściej wymuszał na Biedrzyckiej sięgnięcie po najbardziej nielubiane nakrycie głowy. I to właśnie czas zmusił Hanię do podjęcia najtrudniejszej decyzji w życiu: musiała pchnąć wnuczkę do przodu, aby się usamodzielniała. Należało odciąć w końcu ten przeszczep pępownicy, jak zwykła określać więź łączącą ją z Elwirką. W przeciwnym razie, gdy już nadejdzie czas, aby wybrać się w ostatnią podróż, będzie ją dręczyło okrutne poczucie winy, że zostawia biedulkę samusieńką jak palec i nieszczęśliwą. Ufała, że gdy młoda kobieta zamieszka sama, to zaraz zapragnie poszukać sobie jakiegoś miłego towarzysza życia, który jej tę samotność umili albo wręcz wypełni swoją obecnością.

Cóż, póki co nic nie wskazywało na to, że jej nadzieje się ziszczą. Elwira z uporem tkwiła w staropanieństwie kolejny rok, z upodobaniem określając samą siebie jako singielkę. Gdy Hania próbowała ją zmotywować do założenia rodziny, ta uporczywie przywoływała *argument ostateczny*, który boleśnie ranił serce zarówno jednej, jak i drugiej.

O tym, że w życiu wnuczki pojawił się jakiś dochodzący przyjaciel, Hania wiedziała nieoficjalnie z plotek podrzucanych usłużnie przez tego i owego. Oficjalnie odpytywana delikwentka jak zwykle upierała się, że to nic poważnego. Hania przeprowadziła więc szybkie dochodzenie, w toku którego ustaliła, że mężczyzna widywany ostatnio z Elwirką to przyjemny w obyciu (doskonale!) kawaler z odzysku (nieźle!), miły dla oka (zalecana ostrożność – taki może być babiarzem), zatrudniony w charakterze policjanta (oj tam, zawód jak każdy inny. A że mało płatny? A czy pieniądze są gwarancją szczęścia? Przecież Elwirce ich nie brakuje, dobrze zarabia moja ptaszynka i cóż jej z tego, skoro samotna?) i zapatrzony w Elwirę, że ho, ho, ho!

– No widzisz? I po co było mnie straszyć, że zbyt przystojny? – pokpiwała Hania z Franciszki Melesiuk, swojej nieocenionej, lecz docenionej informatorki.

Docenionej zacnym słojem ogórków małosolnych, mrożonymi truskawkami i kilkoma rodzajami konfitur.

– A, bo wiesz, Haneczko, jak to z tymi chłopami bywa. Może być jak z moją Izunią – wspomniała o swojej rozwiedzionej córce, lat czterdzieści z okładem (no dobra, nie czarujmy się: ten okład to niemalże siedem lat). – Jej były mąż niby też był taki porządnicki i patrzył w nią jak w obrazek, a jak

przyszło co do czego, to poszedł za młodszą. Pies na baby!

Zaskakujące w tym wszystkim było, że gdyby posłuchać podobnych rozmów pomiędzy Elwirą a Izabelą, nie wiedzieć czemu zwaną przez koleżanki Izoldą, to nie sposób byłoby oprzeć się wrażeniu, że Iza i Frania głosiły ten sam pogląd – kubek w kubek. A ponieważ Elwira miała przyjemność znać matkę Izoldy, gdyż w tak małym mieście to po prostu nieuniknione, zderzyła się również z poglądami starszej pani.

– Ciekawe, po kim Izka ma ten cały pseudofeminizm? – dociekała kąśliwie za każdym razem, gdy koleżanka wylewała na jej głowę kubły zimnej wody, strasząc konsekwencjami związanymi z nadmiernym zaangażowaniem w związku damsko-męskie.

Tak czy owak, Hanna chciwie przechwytywała wszystkie plotki, jakie krążyły po Niepołomicach w związku z jej wnuczką. Niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, badając i przygotowując grunt pod atak frontalny. W końcu pewnego pięknego majowego dnia doszła do wniosku, że czas najwyższy, aby wytoczyć ciężkie działa.

– Słuchaj no, kochaniutka: doszły mnie słuchy, że twój inwentarz się powiększył – zagadnęła jakby nigdy nic.

– Aa! Chodzi ci o Marcepana?! – zdziwiła się Elwira, gdyż miała już okazję zaprezentować babci wściekle rudego sierściucha, którym, z okazji wielkanocnego króliczka, uszczęśliwiły ją przyjaciółki.

Widać, taki był jej los, że miała skończyć jako kolekcjonerka kocich futer.

– Ty mi tu nie wykręcaj kota ogonem. Dobrze wiesz, że nie chodzi o czworonoga.

– Ach tak! Chyba dużo przestajesz ostatnio z Franią Melesiuk, skoro ludzi zaliczasz do inwentarza – zauważyła Elwira, czerwieniejąc przy tym po czubki uszu, gdyż tym samym zdradziła się przed babcią, że dobrze wie, o co chodzi.

Celowo nie puściła wcześniej pary z ust. Wiedziała, jak rozpaczliwie babcia usiłuje jeśli nie wydać ją za męża, to przynajmniej zaprzyjaźnić z jakimś miłym panem. Czasami umawiała ją z tym albo owym, lecz Elwira wciąż robiła uniki. Nie chciała wzbudzać w Hani złudnych nadziei, gdyż od randek do miłości aż po grobową deskę wiodła długa i wyboista ścieżka.

– Dobra, dobra. Mam nadzieję, że szanowny Marcin Podolski nie ma

służby w niedzielę. Widzę was na obiedzie – zakomunikowała babcia w trybie oznajmującym, choć brzmiącym raczej jak rozkazujący.

– Ależ babciu! – oburzyła się Elwira.

– Żadne *ależ babciu* – zmitygowała ją Biedrzycka. – Nie uważasz, że najwyższa pora, abym poznała twojego nowego przyjaciela? Pół Niepołomic donosi mi skwapliwie, a to o wyprawie na sanki, a to do Kina za Rogiem, a to do Alter Ego. Czy koniecznie muszę fatygować się w któreś z tych miejsc? He?

– Nawet ty nie byłabyś do tego zdolna – prychnęła wnuczka, urągając w duchu pod adresem przebrzydłych i wścibskich donosicieli, którzy nazbyt intensywnie przyglądali się jej prywatnemu życiu.

– Chcesz się przekonać? Przecież kawiarnia i kino są miejscami publicznymi. Mogłabym pójść tam *przez przypadek*. Najlepiej z Franią.

– O nie, nie! To nie w porządku!

– Owszem, nie w porządku – przytaknęła starsza pani – że o twoim życiu osobistym dowiaduję się z plotek. No, nie rób takiej miny! Nie narobię ci wiochy. Nie zamierzam cię z nim swatać. Chcę go tylko trochę lepiej poznać.

– Jak to? – zdziwiła się Elwira.

– A tak to! – Hania wzruszyła ramionami, robiąc przy tym niewinną minę.

– A co myślałaś, że nie sprawdzę, który to zastępca komendanta?

Dziewczyna wydała z siebie długie i bolesne jęknięcie. Aż strach pomyśleć, w jakich okolicznościach babcia zawierała znajomość z Marcinem. Znając swą ekscentryczną krewną, spodziewała się niemałych sensacji.

– Jak? – pisnęła cichutko, lecz Hania nie zareagowała.

Biedrzycka zbyła również głośniejsze domaganie się przedstawienia relacji z poczynionych przez nią kroków. Robiła uniki na wszelkie nagabywania ze strony Elwiry. W końcu zrezygnowana wnuczka westchnęła:

– Okej, wpadniemy do ciebie w niedzielę. O ile Marcin nie będzie zajęty – dodała asekuracyjnie.

Nawiasem mówiąc, marzyła o tym, aby mężczyzna odmówił. Niechby wczepił się kurczowo w futrynę, krzesło lub cokolwiek innego i stanowczo odmówił wizyty. Albo – jeszcze lepiej – aby wypadło mu coś niezwykle pilnego. On i Hania to byłaby mieszanka zdecydowanie zbyt wybuchowa.

Ku zgrozie Elwiry, Marcin z prawdziwym entuzjazmem przyjął wieść o zaproszeniu do Biedrzyckiej.

– Fantastycznie! W końcu poznam kogoś z twojej rodziny – ucieszył się mężczyzna.

– Wiesz, powinnam cię chyba uprzedzić, że moja babcia...

– Spokojnie, kurczaczku, babcia mnie nie przeraża. Zakładam, że nakarmi nas do syta, a później zapyta o datę ślubu. – Uśmiechnął się wyrozumiale. – Bez obaw. Dobrze wiem, że starsze panie tak mają. Zapewne po wizycie u niej poczuję się jak słoń.

– To też – stwierdziła Elwira. – Chodzi mi jednak o to, że ona jest... Eee... Tego... Trochę ekscentryczna. To, że nas nie wypuści od siebie, nim wszystkiego nie pochłoniemy, jest pewne, ale poza tym zapewne różni się od innych babć, które znasz.

– Dobra, nie opowiadaj. Pozwól, że sam to ocenię, okej?

– Jasne. Tylko żeby nie było później gadania, że cię nie uprzedzałam – westchnęła.

– Aż taki z niej potwór? Nie zapominaj, że jestem policjantem – stwierdził z dumą – i niegroźne mi nawet najbardziej bojowe staruszki.

Dlaczego założył akurat, że Hania będzie nastawiono wojowniczo? Elwira wolała o tym nie myśleć. A ponieważ Marcin w żaden sposób nie zdradził, aby poznał osobiście jej babcię, wychodziła z założenia, że działania rozpoznawcze krewnej ograniczyły się jedynie do sprawdzenia, kim jest i jak wygląda Podolski. Ufała, że przyjaciel nie uzna seniorki za postrzeloną wariatkę, a jej barwny wizerunek potraktuje z przymrużeniem oka.

Następnego dnia Elwira była umówiona w kawiarni Alter Ego na spotkanie z gronem przyjaciółek. Troszkę się ociągała, ponieważ odkąd randkowała z Marcinem, pseudo-feministyczne wywody wybitnie działały jej na nerwy. Nie potrafiła jednak całkowicie zrezygnować z regularnych spotkań – dziewczyny widywały się zazwyczaj w piątki co dwa tygodnie, zawsze w tym samym, ścisłym gronie.

Prym w towarzystwie wiodły dwie rozwódki: Iza oraz Złotousta Jola. Obydwie słynęły ze swoich radykalnych poglądów na związki damsko-męskie. Prócz nich można było liczyć na obecność Ani, sfrustrowanej

mężatki, która chętnie powiększyłaby grono singielek, gdyby nie wiążący ją z mężem niemalże po grobową deskę gigantyczny kredyt bankowy, zaciągnięty na domiar złego we frankach. Prawdziwą osłodą tego złośliwego, acz zabawnego towarzystwa była Pati Drawicz.

Odkąd Patrycja zaczęła się spotykać ze swoim obecnym mężem (poprzedni poszedł w siną dal, wywołując konsternację wśród znajomych, gdyż Janasowie stanowili wyjątkowo udane małżeństwo), sprzeczki z Izą, Anią i Jolką zdawały się sprawiać jej niekłamaną przyjemność. Przy kawiarnianym stoliku często wybuchały zabawne i absurdalne kłótnie, wieńczone zazwyczaj pokojową lampką wina i stwierdzeniem, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Pati okazała się niekwestionowaną gwiazdą tego wieczoru. Zanim koleżanki osiągnęły fazę upojenia alkoholowego, stuknęła parę razy łyżeczką w filiżankę swojego ulubionego cappuccino z cynamonem. Dziewczyny zamilkły. Cztery pary oczu spoczęły na pani Drawicz.

– Chciałabym wam coś powiedzieć – zaczęła i dla osiągnięcia lepszego efektu zrobiła krótką pauzę.

– Bierzesz rozwód! – Złotousta triumfalnie wstrzeliła się w jej wypowiedź.

Patrycja pokręciła głową z politowaniem.

– Pudło!

– Dostałaś awans! – zaryzykowała Iza.

– Nie. W pracy osiągnęłam już wszystko, co było możliwe.

– Zmieniasz pracę? – pisała Ania, lecz i tym razem Pati zaprzeczyła ruchem głowy.

– Tylko mi nie mów, że wyprowadzasz się do Sieradza – jęknęła Elwira, przypominając sobie rodzinne miasto Klaudiusza.

– Nie, złotko, zostajemy w Niepołomicach. Całą, powiększającą się zgrają! – zachichotała.

– Że co? – wykrzyknęły jednocześnie Jola i Iza.

– Powiększającą się zgrają? – powtórzyła Ania.

– Jestem w ciąży – wyjaśniła w końcu Patrycja, która uznała, że dalsze trzymanie koleżanek w niewiedzy jest zbędne.

Dziewczyny zamarły, jakby oznajmiła im coś całkowicie absurdalnego.

– Gratuluję, skarbie! – Elwira zawisła przyjaciółce na szyi.

To był pierwszy pomysł, jaki przyszedł jej do głowy, musiała bowiem za wszelką cenę ukryć łzy, które nagle napłynęły do jej oczu. Wiedziała, że koleżanki mogłyby błędnie zinterpretować tę reakcję. Nie zamierzała wysłuchiwać docinków o ekscentrycznych romantyczkach. Tak naprawdę odczuła przykrość, gdyż przyjaciółka nie wspomniała wcześniej ani słowem o tym, że oczekuje dziecka. Odnosiła wrażenie, że jest z Pati na tyle blisko, aby ta podzieliła się z nią swoim sekretem, zanim poda go do publicznej wiadomości. Z drugiej jednak strony powiększanie rodziny było sprawą intymną i nie wymagało informowania o tym osób postronnych.

Może Patrycja nic nie wspomniała wcześniej, gdyż z racji wieku (skończyła trzydzieści siedem lat) obawiała się, że będzie odwodzona od pomysłu? Albo że jej starania spełzną na niczym. Elwira gorączkowo szukała w myślach usprawiedliwień dla braku zaufania ze strony swej najlepszej przyjaciółki.

Zresztą żywiła obawy, że już za chwilę, zamiast powinszowań, Pati nasłucha się na temat naiwnych kobiet, które samotnie muszą nieść na swych ramionach ciężar w postaci rodziny wielodzietnej, podczas gdy pan i władca (czyli mąż) buja się z kumplami po świecie, podziwiając lub wręcz podrywając młode laski. Drawiczowie wychowywali bowiem wspólnie trójkę pociech: córkę Pati z pierwszego małżeństwa oraz parę nastolatków – potomstwo Klaudiusza. Elwiry wcale nie dziwiło, że małżonkowie zapragnęli wspólnego dziecka, które scalałoby tę patchworkową rodzinę w najpiękniejszy możliwy sposób. Ta nowa istotka, którą Patrycja nosiła pod sercem, będzie bowiem spokrewniona z absolutnie wszystkimi mieszkańcami uroczej willi przy ulicy Bocheńskiej.

– To cudowne wieści! – mówiła, tłumiąc westchnienie. – Naprawdę bardzo się cieszę!

Zgodnie z jej przewidywaniami przez resztę wieczoru koleżanki wygłaszały swoje kretyńskie teorie. Dawały przyszłej matce mnóstwo życzliwych rad na temat narzucenia Klaudiuszowi roli ojca i ograniczenia jego swobody w godzinach, gdy nie zajmuje się pracą zawodową. Patrycja, która była już osobą zaprawioną w bojach, ze śmiechem odpierała ataki dziewczyn snujących pesymistyczne wizje jej małżeństwa i życia jako takiego. Elwira dzielnie ją wspierała, póki zrezygnowana Iza nie złożyła broni, mówiąc:

– No cóż, przynajmniej masz taką korzyść, że nie zostaniesz sama na stare

lata. Zanim dziecko urośnie, cała reszta wyfrunie z rodzinnego gniazdka, a ty wciąż będziesz mogła się odmładzać, goniąc na zebrania do podstawówki. Poniekąd to ja cię rozumiem. Wyglądasz jeszcze wystarczająco dobrze, żeby nie obawiać się, czy ktoś nie nazwie cię babcią twojego rodzzonego dziecka.

Nie tylko Elwira była zniesmaczona całą tą wymianą zdań. Również siedząca obok niej Anna zdawała się nie podzielać poglądów Izabeli, gdyż, odkąd dziewczyny wszczęły dyskusję na temat macierzyństwa, wyraźnie przycichła, a jej twarz sposepniała. Nie próbowała bronić Patrycji, co poniekąd było do niej niepodobne, gdyż zazwyczaj stawiała po stronie koleżanki poddawanej niesłusznym, krzywdzącym atakom. Teraz w milczeniu słuchała wymiany zdań, kręcąc głową z dezaprobatą. Widocznie uznała, że dyskutowanie z Izoldą oraz Złotoustą jest równie skuteczne, co walka z wiatrakami.

Elwira podchwyciła spojrzenie Ani i przesłała koleżance porozumiewawczy uśmiech. Ta westchnęła ciężko, jakby docinki dziewczyn sypały się na jej głowę, a nie Patrycji.

W końcu kobiety zaczęły zbierać się do wyjścia. W drzwiach kawiarni Pati złapała Elwirę za rękę.

– Elwirka, poczekaj chwilę – poprosiła.

Odczekały, aż Iza, Jola i Ania znikną z ich pola widzenia.

– Coś się stało? – zapytała Marecka, siląc się na pogodny ton. Tak naprawdę wciąż było jej przykro.

– Nie. Ale chciałam cię przeprosić za to, że dowiedziałas się o mojej ciąży w taki sposób.

– Nic nie szkodzi. Nie musisz przeproszać.

– Muszę. Widziałam, jak posmutniałaś. Przepraszam, skarbie. Chciałam ci powiedzieć wcześniej, ale ostatnio byłaś taka zaaferowana, że nie miałam sumienia, aby zwracać ci głowę moimi problemami.

– Problemami? – podłapała Elwira, spoglądając przenikliwie w oczy przyjaciółki.

– Początek był bardzo trudny. Musiałam wziąć zwolnienie chorobowe. Wciąż pojawiały się plamienia i skurcze. Byłam w szpitalu na podtrzymaniu ciąży.

– Ale jak to? – Marecka nie posiadała się ze zdumienia. – Przecież byłam

u ciebie kilka razy na kawie – przypomniała sobie.

– Owszem. Wtedy, gdy wracałam do domu.

– Dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś? Przecież odwiedziłabym cię w szpitalu! Może babcia poleciłaby ci jakiegoś specjalistę...

– Trafiłam do bardzo dobrego lekarza – uspokoila ją Pati. – Poza tym nie chciałam obarczać cię moimi sprawami.

– A od czego są przyjaciele?

– Kochanie, zrobiłaś dla mnie bardzo dużo. Uratowałaś nasz związek. Wiem, że zawsze i chętnie każdemu pomagasz, wciąż zamartwiasz się problemami innych. Nic chciałam, abyś przejmowała się tym, że mogę poronić – chlipnęła Drawiczowa.

Elwira przytuliła ją ze wszystkich sił.

– Głuptasie! Nie sądzisz, że byłoby ci lżej, gdybyś zwierzyła się komuś? Mogę sobie wyobrazić, co przeżywalicie razem z Klaudiuszem! Czy teraz jest już wszystko dobrze?

– Tak. Czuję się świetnie. W tamtym tygodniu lekarz powiedział, że zagrożenie minęło. Muszę tylko uważać na siebie.

– Całe szczęście. – Marecka odetchnęła z ulgą.

– W ostatnich dniach chciałam ci o wszystkim powiedzieć, ale jakoś tak się nie składało. Brakowało klimatu.

Elwira pomyślała, że przyjaciółka ma rację: faktycznie w minionych kilku dniach (a może tygodniach) była zbyt pochłonięta swoimi sprawami, aby zwrócić uwagę na cokolwiek innego. Ze zdumieniem odkryła, że jej związek z Marcinem stał się niezwykle absorbujący. Zaczynali wchodzić w fazę, gdy przyjaciele schodzą na dalszy plan, a wszelkie zaproszenia do znajomych obejmują liczbę mnogą. Zbyt często zachowywali się jak jeden, połączony w całość organizm. Ostatnimi czasy, gdy odwiedzała przyjaciółkę, zawsze towarzyszył jej Podolski. Nic więc dziwnego, że Pati nie pokusiła się o zwierzenia. To na pewno nie był dobry temat do rozmowy w towarzystwie mężczyzny, który wszystko obraca w żart.

– Nigdy więcej nie zostawaj sama z problemami – poprosiła Elwira. – Wystarczy, że zadzwonisz, a zawsze do ciebie przyjdę na babskie pogaduchy. Sama – zaakcentowała.

Marecka z ulgą zatrzasnęła drzwi mieszkania. Dłuższe panowanie nad emocjami było niemożliwe. Nie mogła rozkleić się w kawiarni ani na ulicy. Nie chciała też robić tego na schodach, gdyż zawsze istniało ryzyko, że natknie się na jakiegoś wścibskiego sąsiada, który później puści na jej temat plotkę. A plotka, jak to plotka, prędzej czy później dotrze do babci Hani, ubarwiona po drodze nieistniejącymi detalami.

Teraz mogła dać upust łzom. Wypłakać się w poduszkę, wyrzucić z siebie cały żal na wszystkie niesprawiedliwości świata, które, nie wiedzieć czemu, spadały właśnie na nią.

Umknęła do sypialni przed atakującym ją zewsząd stadem kotów. Zamknęła drzwi, uważając, aby nie przyciąć łapki Marcepanowi lub nie zgilotynować Mamby. Potem rzuciła się na łóżko, gdzie przez dziesięć minut rozpaczała nad swoją niedolą. W jedenastej minucie uznała, że dłużej nie wytrzyma kociego koncertu dobiegającego z korytarza.

– Zamknijcie się choć na pięć minut! – zażądała, rzucając poduszką w stronę drzwi.

Jej głos najwyraźniej pobudził towarzystwo do działania, gdyż kociarstwo przypuściło szturm na pozycję Elwiry. Już po chwili któryś bardziej rozgarnięty kot (dziewczyna domyślała się, że Cotton) zaczął podskakiwać, obierając za cel ataku klamkę.

– *Paszoł won, durak!* – ryknęła młoda kobieta w języku swoich przodków. Jak widać, w sytuacji stresu przypominała ukochaną babcię.

Na nic zdały się krzyki. W domu, gdzie mieszkają cztery koty, pragnienie samotności musi uwzględniać czworonogi. Po kolejnym skoku Białemu udało się nacisnąć klamkę wystarczająco mocno, aby drzwi, z cichym piskiem dawno nieoliwionych zawiasów, stanęły otworem. Lecące z prędkością światła cztery pociski kolorowej sierści wylądowały odpowiednio: Marcepan i Mamba na plecach, Cotton na pośladku, a Przemysław Srebrzysty na karku Elwiry.

– O nie! – jęknęła, gramoląc się spod sterty podopiecznych. – Człowiek nie ma przy was nawet chwili spokoju. Kwadransa ciszy i intymności! Prawa do nienaruszalności terytorialnej! Słowo daję, że pewnego dnia ja po prostu zwariuję. Chyba że zdążę wcześniej oddać was do azylu! Nie! Nie! Nie! Nie słyszałyście tego! Nie było mowy o żadnym azylu – wycofała się szybko

z ostatnich słów. – Jesteście moją zwariowaną rodziną i czasami żałuję, że nie mam aż czterech rąk, bo głaskanie was wszystkich naraz jest technicznie niemożliwe.

Usiłowała równo obdzielić podopiecznych pieścizkami, lecz stęsknione koty przepychały się między sobą i każdy z nich musiał być pogłaskany zaraz, teraz, natychmiast! Nie przeszkadzały im nawet łzy, które kapały na starannie wypielęgnowane futerka.

– Macie rację – westchnęła Elwira. – Niepotrzebnie się roztkliwiam. Na pewne sprawy człowiek po prostu nie ma wpływu, ot co.

Próbowała nie popadać w przygnębienie. A jednak, mimo usilnych starań, świadomość, że ukochana przyjaciółka urodzi Klaudiuszowi dziecko, wciąż wywoływała kolejną falę łez.

– Myślałam, że już zdołałam się z tego wyleczyć. Że nigdy więcej nie pocuję zazdrości o cudze szczęście – stwierdziła z rezygnacją kilka godzin później. – Zazdrość jest płytka i ohydna. Tak nie można! Przecież chodzi o Pati! Powinnam cieszyć się razem z nią. Zawsze pragnęła drugiego dziecka. Własnego. Krwi ze swojej krwi i kości ze swojej kości. Wyszła za męża nie tylko dlatego, aby mieć w domu Klaudiusza, ale również po to, żeby spełnić swoje marzenie. Czyli jednak dla przyjemności. Boże! Gadam jak potłuczona. Gadam sama do siebie. Nawet nie do kotów i nie do lustra. Jestem żalowaną, sfiksowaną starą panną.

Następnego dnia do Elwiry zadzwoniła Ania Marzec. Było to o tyle zaskakujące, że dziewczyny widziały się dzień wcześniej w kawiarni Alter Ego. Anka sprawiała wtedy wrażenie przygnębionej. Marecka pomyślała, że pewnie coś się stało, stąd ten nagły telefon. Ku jej zaskoczeniu i uldze okazało się, że u przyjaciółki wszystko jest w jak najlepszym porządku, aczkolwiek Anna faktycznie potrzebowała pomocy.

– Jesteś moją ostatnią deską ratunku. Jak nie ty, to chyba nikt inny – mówiła. – Nie znam nikogo więcej z wykształceniem pedagogicznym, a to warunek niezbędny.

– Niezbędny do czego? – zdziwiła się Elwira, gdyż koleżanka wciąż błędziła okrężnymi drogami, nie mówiąc, o co tak naprawdę chodzi.

– Ja wiem, że ty nie masz wiele wolnego czasu, wciąż pracujesz

i prowadzisz gabinet. I że moja prośba pewnie cię nie zachwyci, bo kasy z tego niewiele... Ale proszę cię, zgódź się. Bardzo mi na tym zależy.

– Okej. Z góry zakładasz, że odmówię, choć nawet nie wiem, o co chodzi. Możesz jaśniej, Aneczko?

– No, bo ja wiem, że ty z dziećmi raczej nie współpracujesz, ale pomyślałam, że w drodze wyjątku...

– Anka! – W głos Elwiry wkradła się niepodobna do niej nuta ostrzegawcza. – Konkrety.

– Konkretnie chodzi o udział w koloniach letnich. Obóz dla dzieciaków z domu dziecka oraz rodzin z problemami. Potrzebujemy solidnej kadry, bo część z podopiecznych to tak zwana trudna młodzież. Dzieciaki są w różnym wieku, na ogół poszkodowane przez los. Bardzo liczą na ten wyjazd. Proszę cię, Elwirka, zgódź się na chociaż jeden turnus. Żywcem nie mam się do kogo zwrócić. Plis – pisnęła cichutko jak myszka. – Miałam już chętną na to miejsce, ale okazało się, że w terminie wyjazdu wyskoczyło jej coś pilnego. Jakieś ważne sprawy rodzinne. Wiem, że to niemalże na ostatnią chwilę, bo turnus zaczyna się już za dwa miesiące. Naprawdę jestem w kropce.

Anna pracowała w fundacji zajmującej się pozyskiwaniem środków i organizowaniem czasu wolnego dla młodzieży z problemami. Podopiecznymi instytucji byli wychowankowie domów dziecka, ale również dzieci z rodzin niepełnych lub patologicznych. Praca nie przynosiła kokosów, ale kobieta bardzo ją lubiła i wkładała w nią mnóstwo serca oraz energii. Mocno angażowała się w swoje zajęcie i często opowiadała o nim swoim przyjaciółkom. Niejeden raz zamożne koleżanki udzielały fundacji wsparcia materialnego, gdy w ostatniej chwili okazywało się, że brakuje środków na taki czy inny cel. Iza i Złotousta Jola z dziką rozkoszą wyciągały ręce do swoich eksmężów po pieniądze. Także Elwira ratowała kilkakrotnie jakieś ważne przedsięwzięcia, dorzucając parę złotych ze swojego portfela lub urządzając kwestę wśród współpracowników.

Nigdy jednak Ania nie prosiła koleżanek o czynne zaangażowanie w pracę fundacji, bo mniej więcej tym była jej ostatnia misja.

– Elwirka, proszę... – Marecka usłyszała delikatne ponaglenie. – Powiedz mi przynajmniej, że przemyślisz temat. Albo że zdołasz wygospodarować chociaż tydzień. Może na drugi zdołałabym znaleźć kogoś jeszcze.

– Okej. Daj mi ze dwa dni na ogarnięcie tematu – odparła wymijająco.

O ile Elwira chętnie wspierała fundację finansami własnymi bądź cudzymi, tak perspektywa wyjazdu wpędziła ją w lekki popłoch. Nie żeby bała się pracy z trudną młodzieżą! Miała ku temu odpowiednie przygotowanie zawodowe. Na studiach skończyła psychiatrię. Później kształciła się podyplomowo, robiąc dodatkowo specjalizację z resocjalizacji. Skończyła studium pedagogiczne. Właściwie wciąż się doksztalała.

Jej pierwotnym planem na życie była praca z dziećmi. Myślała, że takie zajęcie da jej spełnienie, lecz okazało się, że to błędna decyzja. Trzy lata na etacie psychologa w domu dziecka złamały jej serce. Zbyt mocno się angażowała. Cierpiała, odchorowywała wszystkie problemy wychowanków. Mizerniała przez to w oczach, przysparzając zmartwień Hani. W końcu, po długich naleganiach ze strony babci, musiała uznać porażkę. Zrezygnowała z pracy z dziećmi. Odkurzyła zalegające na półce podręczniki oraz publikacje z dziedziny psychiatrii i psychoterapii. Podjęła pracę na etacie w ośrodku zdrowia, a następnie dołączyła do powstającego właśnie stowarzyszenia terapeutów, którzy postanowili otworzyć prywatną klinikę. I tak oto znalazła swoje miejsce w życiu, czyli przytulny gabinet z wygodną, skórzaną kozetką, na której wylegiwali się różni nieszczęśnicy, płacący jej za wysłuchiwanie historii o swoich problemach.

A teraz znowu miała zająć się dziećmi dotkniętymi przez los.

Wiedziała, że nie odmówi, bo nie odmawia się przyjaciółce w potrzebie.

Bo nie odmawia się dzieciom, które tego potrzebują.

Nie i już.

Nawet, jeśli później trzeba to odchorować, ponieważ nie wchodziło w grę żadne „będę ponad tym” albo „nie będę się angażować”. Elwira tak nie potrafiła.

Kiedy pojawiają się damskie smuteczki, najlepszą receptą jest filiżanka wybornej kawy wypita w towarzystwie przyjaciółki. Elwira całe życie wyznawała tę dewizę i zalecała ją absolutnie każdej koleżance. W związku z tym przez jej mieszkanie (a wcześniej dom babci Hani) często przewijały się nieszczęśliwe duszyczki, które potrzebowały wsparcia dobrym słowem. Widać, powołaniem życiowym zarówno Mareckiej, jak i Biedrzyckiej, było

niesienie pomocy innym.

Tym razem sprawy miały się zgoła inaczej: to Elwira potrzebowała wtulenia się w czyjś rękaw i uronienia choć paru gorzkich łez. Przez dłuższą chwilę dziewczyna zastanawiała się nad tym, komu lepiej byłoby powierzyć ciężar trosk: babci, która zna jej najsmutniejsze sekrety, czy przyjaciółce, której do tej pory oszczędziła rzewnych opowieści.

I nie, nie była to żadna obłuda, że nawet Patrycji Drawicz – swojej bratniej duszy – nie wyznała wszystkiego. Bo to, co trapiło Elwirę, nie miało absolutnie żadnego wpływu na ich przyjaźń. Zasadniczo nie miało wpływu na nic, poza dobrym samopoczuciem Mareckiej oraz Biedrzyckiej. Prócz tego niedopowiedzenia pomiędzy dziewczynami nie było żadnych kłamstw ani zatrważających sekretów. Elwira zakładała, że być może kiedyś, w godzinie najczarniejszej rozpacz, wyzna Pati absolutnie wszystko. Ta myśl była dla niej bardzo ważna. Trzymała się jej kurczowo, bowiem stanowiła pewnego rodzaju gwarancję, że gdy będzie pogrążona w cierpieniu, to znajdzie się jeszcze ktoś, kto na pewno zechce podzielić jej ból na połowę.

– Mogę się domyśleć wszystkich słów, które padną z ust babci – westchnęła Elwira, głaszcząc Mambę.

Póki co tylko ta przedstawicielka kociej populacji dopominała się o pieśczoły. Było jednak oczywiste, że jak pozostała część kociarstwa wywęszy, że Elwira siedzi w ulubionym fotelu, to zaraz rozgorzeje wojna o najlepsze miejsce na jej szczupłutkich udach. Kobieta postanowiła zapobiec konfliktowi. Zdjęła czarną kotkę z kolan i położyła na fotelu obok. Następnie wstała, przeciągnęła się i zadecydowała:

– Pójdę do Patrycji. A wy – zwróciła się do nadciągających współlokatorów – macie grzecznie tutaj siedzieć. Żadnych imprez i awantur.

Zadzwoiła do przyjaciółki, aby zapytać, czy może ją odwiedzić. Ta oczywiście bardzo się ucieszyła i zaprosiła Elwirę na filiżankę kawy. Ponieważ pogoda była ładna, Marecka postanowiła urządzić sobie przechadzkę. Włożyła wygodne tenisówki i bez pośpiechu wyruszyła na ulicę Bocheńską. Szła spacerowym krokiem, rozmyślając o swoich troskach, gdy nagle odniosła wrażenie, że pomiędzy samochodami zaparkowanymi wzdłuż ulicy mignęły jasne włosy niezbyt dużej dziewczynki.

– Co jest? Nie, to niemożliwe, aby tak małe dziecko goniło samotnie po

ulicy – stwierdziła kobieta i przetarła oczy. Okolica świeciła pustkami. – Znowu te cholerne przywidzenia? Czyżbym za mocno palnęła się w łeb parę miesięcy temu?

Pół godziny później Marecka siedziała w przytulnym salonie Drawiczów. Patrycja zaproponowała swoje słynne cappuccino z cynamonem, a następnie zniknęła w kuchni. Jeśli nie liczyć jej krzątania, w domu panowała niczym niezmacona cisza. Trójka nastolatków, czyli córka oraz pasierbowie Patrycji, bawiła się w najlepsze na urodzinach jednej ze wspólnych koleżanek, natomiast Klaudiusz pojechał na automyjnię. Tylko kot Owidiusz dotrzymał towarzystwa Elwirze, lecz robił to absolutnie bezszelestnie. Na początku obwąchał intruza (zawsze to robił, chociaż dziewczyna bywała w tym domu częstym gościem), a następnie fuknął nieuprzejmie, wyczuwając zapach czterech sierściuchów mieszkających z Elwirą.

Do salonu wróciła gospodyni, przynosząc ze sobą aromatyczną kawę oraz ciasteczka domowego wypieku.

– Ach, jak one pięknie pachną! – Elwira oblizła się wymownie i wpackowała do buzi kruchy przysmak szcudrze oblane lukrem. – Mm! Niebo w gębie! – powiedziała z pełnymi ustami.

– Częstuj się – zachęcała Pati. – To już marne resztki. Upiekłam dzisiaj rano kilka blach, lecz moja trójka żarłoków pochłonęła niemalże wszystko. Ledwo udało mi się ocalić parę ciasteczek dla Klaudiusza oraz do naszej kawki.

Oczywiście Elwirze nie trzeba było dwa razy powtarzać i już po chwili konsumowała kolejne.

– Co słyhać w eleganckim świecie? – zapytała Pati.

– Nie wiem – powiedział Elwira, chrupiąc trzecie ciastko. – Nie bywam. W mniej eleganckim też nie. Natomiast mnie dopadła okropna melancholia – wyznała prosto z mostu. – Nie mogłam usiedzieć w domu, musiałam do ciebie wpaść.

– Bardzo dobrze, że przyszłaś. Nie ma nic gorszego niż samotne zmaganie się ze smuteczkami. A skąd ta melancholia?

– Ech... W sumie to nic poważnego. Zadzwoiła do mnie Ania i poprosiła o pomoc w zorganizowaniu wyjazdu jej podopiecznych na obóz.

– Jaką pomoc?

– Mam jechać z dziećmiakami jako opiekun. Z *tymi* dziećmiakami – zaakcentowała.

– I to cię tak rozstroiło – domyśliła się Pati.

– Owszem. Wiesz, jaki jest mój stosunek do dzieci z problemami.

– Wiem. Podchodzisz do tego wyjątkowo emocjonalnie.

– A da się inaczej?

Patrycja pokręciła głową z powątpieniem.

– Chyba nie – przyznała, popijając łyk cappuccino. Spojrzała uważnie na przyjaciółkę. Odnosiła wrażenie, że w jej kiepskim nastroju jest jeszcze jakieś drugie dno, sięgające znacznie głębiej, niż mogłoby się wydawać. Znała jednak Elwirę wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że jeśli sama nie zacznie mówić, to nikt nie wyciągnie z niej zwierzeń. – Nie będę próbowała odwozić cię od pomysłu wyjeżdżania na ten obóz, bo wiem, że to na nic. Ty zawsze dotrzymujesz słowa i nie cofasz się przed wyzwaniem. Chyba za to tak bardzo cię podziwiam.

– Jesteś kochana.

– Oj tam. Po prostu wierzę, że sobie poradzisz. Poza tym wydaje mi się, że na takim wyjeździe wychowawcom jest trochę łatwiej. Z dala od problemów dzieciaki powinny być zrelaksowane i wrzucić na luz.

– Tak myślisz?

– No. Chociaż nie dam sobie uciąć głowy. To ty jesteś psychiatrą, kotku złoty. Swoją drogą to zadziwiające, że przy swojej emocjonalności wybrałaś tak trudny zawód – powiedziała Pati, głaszcząc się po delikatnie uwypuklonym brzuszku.

Elwira uporczywie patrzyła na miękkie ruchy jej dłoni. Chciała odwrócić wzrok, lecz nie była w stanie tego zrobić. Przełknęła ślinę. Już wiedziała, że najlepsza przyjaciółka nie jest w stanie jej pomóc.

– Z dorosłymi pracuje się zupełnie inaczej – stwierdziła wymijająco.

– Mam wrażenie, że nie chodzi o budowanie relacji pomiędzy pacjentem a lekarzem – zauważyła czujna Patrycja.

– Ano nie. Chodzi o to, że problemy dzieciaków boją o wiele bardziej. W miążdżącej ilości przypadków maluchy cierpią niezasłużenie: rozwód lub śmierć rodziców, traumatyczne przeżycia, brak poczucia bezpieczeństwa... W większości są to sytuacje, na które nie mają najmniejszego wpływu,

a mimo to zbierają żniwo tych zdarzeń. Kiedy podejmowałam decyzję o wyborze kierunku studiów podyplomowych, babcia powiedziała mi, że nie zmienię całego świata. A później dodała, że mimo wszystko warto podążać w tym kierunku, ponieważ może udać mi się zmienić cały świat jakiegoś dzieciaka. Albo kilku.

– No widzisz? – ucieszyła się Pati, wciąż głaszcząc swoją wypukłość.

Elwira siłą odwróciła wzrok i wbiła spojrzenie w talerz z ciastkami.

– Będę wieprzkiem, jak zeżrę jeszcze jedno? – zapytała.

– Nie, nie będziesz. Częstoś się do woli. Masz piękny zawód – wróciła do tematu.

– Niby tak, ale nie realizuję założeń. Miałam pracować z trudnymi dzieciakami, lecz wymiękłam. Czasami czuję się tak, jakbym zdradziła swoje ideały.

– Elwirka, nie gadaj głupot. To co robisz, jest bardzo ważne. Pomagasz ludziom. O ile dobrze wiem, zawsze tego pragnęłaś. A że pracujesz z dorosłymi? Cóż. Tak wyszło. Przecież zawsze możesz wrócić do zajęć z dziećmi, skoro to dla ciebie takie ważne.

– Często o tym myślę. Sęk w tym, że nie wiem, czy podołam. Nie potrafię tak po prostu odcinać się od tych wszystkich nieszczęść.

– Kto, jeśli nie ty? Dasz radę, o ile podejdziesz do tematu racjonalnie. Musisz tylko zacisnąć zęby i nie dopuścić, aby ponosiła cię nadmierna empatia. Czasami powinnaś dopuścić do głosu odrobinę egoizmu. I nie mówię tego bynajmniej w kontekście pomagania dzieciom, lecz bardziej ogólnie. Czasami odnoszę wrażenie, że chciałabyś nieść na ramionach cały świat.

– Pewnie masz rację, ale to nie takie proste. Kiedy byłam małą dziewczynką, moim największym zmartwieniem było, że jestem najmniejsza najpierw w przedszkolnej grupie, a później w szkolnej klasie. Miałam z tym poważny problem. – Zrobiła dłońmi cudzysłów. – Wydawało mi się, że nikt nie ma większych zmartwień, a duzi mają w życiu łatwiej. Cholera, nadal uważam, że wysocy radzą sobie lepiej. Ja muszę przystawiać drabinkę, aby sięgnąć do wyższej półki w szafie, ty zapewne robisz to bez problemu. Jak się ma metr sześćdziesiąt w kapeluszu, to tak niestety jest. I uwierz mi, że mimo trzydziestu sześciu lat na karku nadal wśród moich marzeń nie-do-

spełnienia jest dodatkowe dziesięć centymetrów wzrostu. Mniejsza o to. Życie bardzo szybko dostarczyło mi prawdziwych problemów. Mam świadomość, przynajmniej po części, co mogą czuć tamte dzieciaki, ponieważ wiem, jak to jest, gdy świat nagle tępnie. Straciłam w koszmarnym wypadku obydwój rodziców. Czy może być dla dziecka coś gorszego? – Spojrzała na Patrycję. – Owszem, może. – Sama sobie odpowiedziała na zadane pytanie. – Staram się nie użalać nad sobą, gdyż wiem, że moje życie i tak ułożyło się bardzo dobrze. Ale czasami dobija mnie poczucie, że wszystko mogło być inaczej. Kilka niefortunnych sekund sprawiło, że zostałam sierotą oraz kaleką na całe życie. Nie tylko fizycznie, mentalnie również.

Pati odłożyła filiżankę. Wyciągnęła dłoń i pogłaskała przyjaciółkę po ramieniu.

– Nie jesteś kaleką, kochanie. Jesteś wspaniałym człowiekiem.

Elwira wysiliła się na uśmiech. Przez chwilę w jej oczach zamigotały łzy.

Nie była w stanie mówić na głos o wszystkim.

Po powrocie do mieszkania Marecka wciąż czuła się rozbita. W gruncie rzeczy była istotą bardzo kruchą i podatną na zranienia. Czasami kaleczyły ją słowa, innym razem jakieś gesty, choćby nieopatrzny ruch dłonią.

Pomyślała, jakie to szczęście, że Patrycji udało się z Klaudiuszem. Ciepła i opiekuńcza przyjaciółka stworzona była do tego, aby mieć wspaniałą, liczną rodzinę. Ludzie garnęli się do niej. Należała do nielicznych macoch, które są wręcz uwielbiane przez swoich pasierbów. Nie! Ona nie była dla nich macochą! Ona była mamą i przyjaciółką.

Nagle Elwira poczuła rozpaczliwą samotność. Stała przed lustrem i odwróciła się bokiem do swojego odbicia. W przeciwieństwie do Pati, która nawet przed ciążą miała piękne kobiece kształty, była wyjątkowo szczupła.

Jak to jest być w ciąży? – przemknęło jej przez myśl.

Naciągnęła dłonią bluzkę, lecz to nic nie dało. Nie takiego efektu oczekiwała. Lekko utykając, podeszła do sofy i ujęła w dłoń leżącą tam poduszkę. Wróciła przed lustro. Wcisnęła poduszkę pod kraciastą koszulę. Gestem podpatrzonym u przyjaciółki pogłaskała swoją sztuczną wypukłość.

– Tak bardzo chciałabym mieć dzieci – westchnęła.

Patrzyła na figurę zniekształconą przez poduszkę. Przez chwilę usiłowała wmówić sobie, że wszystko jest jak należy. Nie było. Pozorny spokój kobiety był równie iluzoryczny, co prezentujące się oczom lustrzane odbicie.

Po jej policzkach popłynęły łzy. Nawet nie próbowała z nimi walczyć.

Presja

W poniedziałkowy poranek Elwira pojechała do pracy w wyjątkowo podłym nastroju. Wciąż słyszała uporczywe tykanie zegara biologicznego, który, nawiasem mówiąc, wcale nie miał prawa do odzywania się w jej głowie.

Marecka była głęboko przekonana, że generalnie nie powinna narzekać na jakość swojego życia. Dzięki nieprawdopodobnemu wysiłkowi i uporowi babci stanęła o własnych siłach. Nie jeździła na wózku, nie spędzała czasu w pozycji leżącej. Chodziła, tańczyła, mogła nawet biegać – oczywiście w granicach rozsądku. A że trochę utykała? Trudno, to drobiazg w porównaniu z perspektywami, które przedstawiali lekarze, gdy leżała w śpiączce.

Babcia bardzo długo nic nie mówiła na ten temat. Robiła za to wszystko, co było w jej mocy, aby postawić wnuczkę na nogi. Elwira dobrze pamiętała dzień, w którym zrobiła swój pierwszy, bardzo chwiejny krok.

– Wiedziałam! – wykrzyknęła Hania, ocierając łzy z oczu. – Oni się po prostu pomylili! Przynajmniej w tej sprawie – dodała z goryczą.

Elwira nie rozumiała, o co chodzi, lecz zapamiętała ostatnie słowa babci. Niejeden raz wracała do tego tematu, lecz ukochana opiekunka wykręcała się od odpowiedzi. Dopiero jakiś czas później usłyszała od niej to najbardziej wstrząsające wyznanie.

Świat już nigdy nie miał być taki sam.

Początkowo dziewczyna nie do końca rozumiała znaczenie słów

Biedrzyckiej. Jednak z biegiem czasu okrutna prawda docierała do niej ze swoim smutnym wydźwiękiem. Podczas studiów Elwira przeżyła załamanie. Na długie miesiące straciła chęci do życia. Nie widziała jego sensu ani celu. Zaczęła unikać przyjaciół. Zaniedbała naukę i niewiele brakło, a straciłaby rok. Wpadła w depresję. Gdyby nie kolejna interwencja oraz rozległe znajomości babci, mogłoby być z nią bardzo źle. W końcu jednak pozbierała się, otrząsnęła i zaczęła w miarę normalnie funkcjonować. Na nowo nauczyła się cieszyć tym, co ma, gdyż bez wątpienia nie brakowało osób, które los doświadczył jeszcze ciężiej.

Tego ostatniego stwierdzenia trzymała się kurczowo, gdy w poniedziałkowy poranek wpadła w wir obowiązków. Przyjmowała kolejnych pacjentów, pilnując się, aby nie uciekać myślami poza gabinet. Słuchała, rozmawiała, uzupełniała kartoteki. Kiedy przyszedł czas przerwy, od razu opuściła miejsce pracy i poszła do automatu po ohydny, kawopodobny napój. Zamierzała wypić go w towarzystwie Stasi Do Rany Przyłóż. Robiła wszystko, byle tylko nie zostawać sam na sam ze swoimi myślami.

Automat wykonywał kolejne funkcje, aż w końcu obdarował Elwirę kubkiem naparu wątpliwej jakości. Kobieta odwróciła się energicznie i... Nie, tym razem nie zdążyła oblać Grenia, który zapewne przewidział jej manewr i chyżo uskoczył w bok, usiłując ominąć ją szerokim łukiem.

Marecka spojrzała mu prosto w oczy i mrugnęła porozumiewawczo.

– Doktor Greń? Nie myślał pan chyba, że znowu pana obleję.

– Woląłem zachować ostrożność. Bardzo lubię tę koszulę – stwierdził.

Kobieta obrzuciła uważnym spojrzeniem gustowną i perfekcyjnie wyprasowaną koszulę w niebiesko-granatowo-kremową kratkę.

– No tak, faktycznie byłoby jej szkoda. Jest bardzo twarzowa. – *Matko! Nie wierzę, że to powiedziałam! Nie wierzę, że powiedziałam komplement Panu Gburowi!*

– Dziękuję – odparł Krystian i uświadomił sobie, że ostatnio nie zachował się szczególnie grzecznie wobec tej kobiety. W gruncie rzeczy była miła. I na pewno nie oblała go celowo. Prawdopodobnie czuła się niezręcznie z tego powodu. – Smakuje pani to coś? – Wskazał tekturowy kubek z kawą.

Elwira zerknęła na mętną ciecz, szumnie określoną jako cappuccino.

– Ee... Nie. Jest ohydna – stwierdziła. – Ale za kawą po turecku też nie przepadam, a moje zwłoki domagają się kofeiny.

– No to może pozwoli pani zaprosić się na kawę po pracy? – zaproponował, wpędzając Elwirę w osłupienie. – W sumie jestem winien przeprosiny, bo to ja nadziałem się na panią bez ostrzeżenia za pierwszym i drugim razem – oświadczył, i z miejsca ścierpła mu skóra, gdyż w jego odczuciu słowa, które właśnie wypowiedział, zabrzmiały jakoś tak niejednoznacznie i perwersyjnie.

Marecka natomiast pomyślała, że sytuacja jest dość niezręczna. Nieszczerólnie miała ochotę na spędzanie czasu z Panem Gburem. Nie wypadało jednak odmówić, gdyż to przez jej nieuwagę słynne koszule Grenia ucierpiały aż dwukrotnie.

– Okej – powiedziała ostrożnie, jakby mówiła do wyjątkowo płochliwego zwierzęcia, które mógłby wystraszyć nadmierny entuzjazm lub zbyt energiczna odmowa. – Ale ja stawiam. Zniszczyłam panu dwie koszule.

– Drobiazg. – Mężczyzna machnął ręką. – O której pani kończy?

– Zgodnie z grafikiem mam jeszcze trzech pacjentów. Będę wolna około piętnastej.

– Super. Zna pani kawiarnię Alter Ego?

– Ależ oczywiście. To chyba ulubione miejsce spotkań wszystkich okolicznych mieszkańców.

– To co, jesteście umówieni? Będę czekał w kawiarni.

– Tak, jasne. – Pokiwała głową. Następnie odwróciła się na pięcie i robiąc wielkie oczy, odeszła w stronę recepcji.

Nie wierzę, że to zrobiłam – pomyślała, ewakuując się na bezpieczne pozycje.

Nie wierzę, że to zrobiłem – stwierdził Greń, spoglądając na odchodzącą kobietę.

– Można zapytać, o czym pani doktor tak konwersowała z Christianem? – zagadnęła Stasia, gdy Elwira usadowiła swoje cztery litery na krawędzi biurka.

Marecka siorbnęła kawę z tekturowego kubeczka. Skrzywiła się z odrazą. Gdyby nie zapotrzebowanie na kofeinę, wylałaby tę lurę do zlewu.

– O kawie – odparła.

– Wystraszył się, że znowu go pani obleje – stwierdziła domyślnie recepcjonistka, przywołując w pamięci manewry Greya. Znaczący... Grenia.

– Coś w tym guście – powiedziała wymijająco lekarka. Ostatnia rzecz, której mogłaby sobie teraz życzyć, to plotki o niej i Krystianie. Znając dobrze naturę Stasi, Elwira mogła z góry założyć, że sympatyczna koleżanka do wspólnie wypitej kawy zaraz sobie dorobi całą historię. Pikantną na dodatek.

W tym samym czasie Stasia pomyślała, że w gruncie rzeczy z Mareckiej i yyy... Gre...nia byłaby niezła para. O ile była dobrze poinformowana, obydwójce byli samotni, więc szkoda, żeby tak się marnowali w pojedynkę. Wprawdzie co jakiś czas po Elwirę przychodził zastępca komendanta miejscowej policji, ale kobieta uważała, że z tej mąki na pewno chleba nie będzie.

Za to doktor Grey... O! Ten, to co innego! Przecież nie od dzisiaj wiadomo, że podobieństwa się przyciągają, a przecież mieli ze sobą o wiele więcej wspólnego, niżby się mogło wydawać. Dobre wykształcenie, podobny zawód, odpowiedni wiek – czy to mało? A kultura osobista i pracowitość? A i wizualnie niezłe prezentowali się w komplecie: on nie przytłaczał jej swoją posturą, ona nie wyglądała przy nim jak pchła. No i oczywiście istniał argument najbardziej oczywisty: we dwoje różnie. Pani doktor była już dobrze po trzydziestce, co trąciło staropanieństwem. W umyśle Stanisławy nie istniało bowiem pojęcie *singielka*, podobnie jak brakowało miejsca na myśl, że ktoś może być samotny z wyboru.

Mimo pięknej pogody kawiarnia Alter Ego świeciła pustkami. Być może dlatego, że było jeszcze dosyć wcześnie. Elwira bez trudu zlokalizowała czekającego na nią Krystiana. Na jej widok mężczyzna wstał i odsunął krzesło.

– Długo pan na mnie czeka? – zapytała ze skruszoną miną.

– Nie. Przyszedłem parę minut temu. Pomyślałem, że skoro pracujemy razem i znamy się od dawna, to może przejdziemy na bardziej bezpośrednie formy.

– Nie ma sprawy. Elwira. – Wyciągnęła rękę do mężczyzny.

– Miło mi. Krystian – powiedział, całując grzbiet jej dłoni.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem. Mężczyźni całujący w rękę

zdecydowanie należeli do wymierającego gatunku. Z drugiej strony, po Greniu można było się tego spodziewać. Zawsze przepuszczał kobiety w drzwiach i zachowywał się z kurtuazją oraz wykazywał dużą kulturę osobistą. Ani razu nie słyszała, aby zaklął, co innym znajomym Elwiry przydarzało się nader często. Nie był też kpiarzem jak Marcin, który absolutnie wszystko obracał w żart. To prawda, że Krystian był zamknięty w sobie i niechętnie integrował się z personelem kliniki, lecz nie robił tego w nonszalancki albo wręcz arogancki sposób. Mimo zdystansowania do świata zdecydowanie nie był gburem. Marecka z miejsca postanowiła odkleić od niego swoją myślową etykietkę, gdyż była ewidentnie krzywdząca. Wprawdzie Elwira nigdy nie przeczytała w całości sławnego dzieła pani James, ale przypuszczała, że Krystian nie zasługuje również na to, aby porównywać go ze słynnym sadystą. Z całą pewnością nie wyglądał na kogoś, kto ma perwersyjne zapędy.

– Na co masz ochotę? – zapytał, podając jej kartę.

Nie musiała czytać menu, wszak była stałą bywalczynią kawiarni.

– Dla mnie będzie cappuccino z cynamonem oraz owoce z bitą śmietaną.

– No proszę – skwitował jej decyzję. – Czyli jednak znasz się na dobrej kawie. – Mimo że jego słowom towarzyszyło uniesienie brwi, nie brzmiały cynicznie.

– Owszem – odparła kobieta. – Na kawie znam się nie gorzej niż na psychoterapii. W pracy po prostu nie ma warunków do delektowania się ulubionymi gatunkami – plotła trzy po trzy, naginając nieco prawdę. – Piję to, co mam do dyspozycji, bo zazwyczaj po kilku rozmowach z pacjentami mój organizm agresywnie upomina się o kofeinę. Taka forma niegroźnego uzależnienia.

– Ja też lubię dobrą kawę. No i muszę przyznać ci rację: po kilku pacjentach bez dawki kofeiny ani rusz. Ale kawy z automatu nie uznaję. Co to, to nie! Raz tylko uległem desperacji i powiedziałem sobie, że nigdy więcej nie skuszę się na to okropieństwo. Od tamtej pory tak układam spotkania z pacjentami, żeby wygospodarować przerwę na tyle długą, by podjechać tu na kawę.

– Serio? – kobieta wyraziła zdziwienie.

– Owszem. W tym lokalu można wypić najlepszą kawę, jaką zdarzyło mi

się skosztować. Nie zaprzeczysz chyba?

– Nigdy w życiu! Między nami mówiąc, uwielbiam to miejsce.

– Mieszkasz w Niepołomicach?

– Całe życie – przytaknęła. – A ty?

– Kłaj.

– Ach! To nie tak daleko. Od zawsze?

– Owszem, także całe życie. – Przeniósł spojrzenie na mankiet nieskazitelnie gładkiej koszuli i strzepnął z niego jakiś niewidzialny pyłek.

Elwira z zafascynowaniem przyglądała się jego dłoniom i nadgarstkom. Niby zwyczajna część ciała, lecz zawsze wzbudzała w niej dziwną ekscytację. Zazwyczaj to na ręce, a nie na twarz, zwracała uwagę na samym początku. Lubiła mężczyzn o silnych, lecz zadbanych dłoniach.

Marcin, niezależnie od pory roku i temperatury, nosił koszulki z krótkim rękawem. Zawsze było mu ciepło, więc nawet w najsilniejsze mrozy nie wkładał pod kurtkę swetra. Miał krzepkie ręce o mocnych kościach nadgarstka. Takie dłonie dawały poczucie bezpieczeństwa. Gdyby zaszła potrzeba, jego pięści wzbudziłyby respekt u każdego. Oczywiście było to rozważanie hipotetyczne, gdyż Podolski, prócz krzepy w garści, posiadał jeszcze odznakę policyjną oraz służbową broń, które wystarczająco mocno pobudzały wyobraźnię potencjalnych agresorów.

Inaczej miały się sprawy z Korposzczurkiem. Ten był raczej wątki i drobnokościsty. Jego kostki nadgarstkowe sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały przebić skórę. Zresztą wygląd zewnętrzny mężczyzny świadczył o tym, że Roman jeszcze do niedawna intensywnie eksploatował się w wyścigu szczurów. Miał bladą twarz o ziemistym kolorycie typowym dla osób, które zbyt mało czasu spędzają na wolnym powietrzu. Cienie pod oczami dokumentowały zarwane noce – prawdopodobnie z powodu bezsenności, która męczyła go, odkąd rozstał się z poprzednią pracą. Być może ten wygląd (Elwira zdecydowanie preferowała aktywność na świeżym powietrzu) sprawiał, że nim jeszcze związała się z Podolskim, uporczywie wzbraniała się przed przyjęciem zaproszenia od Romana Tycznego.

Co do Grenia, zafascynowały ją nienagannie wyprasowane mankiety długich rękawów. Zachodziła w głowę, jakim cudem udaje mu się zachować je w tak nieskazitelnym kształcie przez cały dzień. Jej bluzki gniotły się po

kilku godzinach noszenia. Rękawy przypominały zazwyczaj harmonijkę, gdyż Elwira nieustająco podciągała je w górę. No, chyba że było bardzo zimno – wówczas postępowała na odwrót, czyli naciągała je tak mocno, aby ukryć w nich całe dłonie i jeszcze zwinąć w garściach końce materiału. W tej sytuacji trudno było o zachowanie eleganckiego wyglądu.

Patrząc na mężczyznę, pomyślała, że jest on pedantem, a ona w swoich ulubionych legginsach i tunice w indyjskie esy-floresy wygląda przy nim niechlujnie. Nie zdążyła jednak (na szczęście) nic na ten temat powiedzieć, gdyż nagle jej uwagę przykuła dziewczynka, zerkająca ukradkiem zza kawiarnianej witryny. Mignęła przed oczami Elwiry dosłownie przez chwilę.

– Coś się stało? – Doktor Greń zwrócił uwagę na nagłe rozproszenie Mareckiej.

– Ach nie. Nic takiego. Po prostu wydawało mi się, że widzę kogoś znajomego za oknem.

Mężczyzna odruchowo odwrócił głowę, lecz nie zauważył nikogo interesującego. Zresztą Elwira także nie widziała już tego małego duszka, który ostatnimi czasy zaskakująco często pojawiał się w jej polu widzenia.

Dalsza rozmowa toczyła się gładko i przyjemnie, choć była to tylko niezobowiązująca pogawędka o pogodzie i specyficznych pacjentach – rzecz jasna w tym stopniu, w którym pozwalała na to etyka zawodowa. Rozstali się po dwóch godzinach. Krystian, jak przystało na dżentelmena, odprowadził ją do samochodu.

– Dziękuję za uroczne popołudnie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Chyba powiem twój sposób spędzania przerwy i też zacznę wyskakiwać z kliniki na dobrą kawę – oznajmiła.

– Na pewno wyjdzie to na dobre twoim kubkom smakowym.

– Na pewno nie zaszkodzi to więcej twoim koszulom – stwierdziła, żartobliwie naśladowując intonację jego wypowiedzi. – Do zobaczenia.

– Trzymaj się. – Pomachał jej dłonią, gdy odjeżdżała.

Elwira poświęciła mu jeszcze jedną małą refleksję: przy nim każda kobieta musiała czuć się jak dama. Dużo zyskiwał przy bliższym poznaniu. O ile w ogóle można tak powiedzieć o ich znajomości, gdyż tak właściwie jej stan wiedzy o Greniu nie uległ jakiejś powalającej zmianie. Przyjemnie było spędzić z nim trochę czasu. Zapewne jednak nie mogliby się ze sobą

zaprzyjaźnić, gdyż ona wolała bardziej żywiołowe towarzystwo i w gruncie rzeczy preferowała wesołkowatość Marcina. Krystian był zdecydowanie zbyt poważny jak na jej gust, ale pomiędzy pierwszym wrażeniem, jakie na niej zrobił, a ostatnim, była ogromna przepaść.

Marcin Podolski, który widział Grenia i Elwirę idących w stronę parkingu, a następnie rozmawiających przy jej samochodzie, poczuł ukłucie zazdrości.

Czy ten picuś-glançuś w krochmalonej koszuli podobał się Elwirze? A może to ona wpadła w oko jemu i postanowił się koło niej zakręcić? Bo niby czemu tak długo z nią gadał i jeszcze całował jej rękę na pożegnanie?

Czy były już powody do niepokoju?

Chyba nadeszła pora, aby nadać tempa ich znajomości – zanim ktoś go ubiegnie. W tym wyścigu Podolski za nic w świecie nie chciał zostać na lodzie.

Na niedzielny obiad do babci Hani Elwira i Marcin wybrali się pieszo. Dziewczyna uznała, że wyjdą zapewne najedzeni i odrobina ruchu im nie zaszkodzi. Szczególnie mężczyźnie, który, choć tęgi nie był, do drobnych zdecydowanie nie należał. Po drodze wstąpili do pobliskiej kwiaciarni, gdzie Podolski nabył bukiet kolorowych, wonnych frezji.

– Uniwersalne kwiaty na każdą okazję – stwierdził. – Ich zapach podoba się chyba wszystkim.

W rzeczywistości po tym, jak dzień wcześniej zobaczył przez przypadek Elwirę z tamtym mężczyzną, postanowił, że zacznie się bardziej starać. Nie mógł przecież dopuścić, aby jakiś elegancik sprzątnął mu kobietę sprzed nosa. Opracował w związku z tym całą strategię i założył, że wizyta u Hanny Biedrzyckiej może być kluczowym ogniwem w tym układzie.

Oczywiście jego wysiłki nie uszły uwadze Elwiry. Marecka westchnęła nieznacznie. Przyjaciel doskonale przygotował się do wizyty. Zamiast zwyczajnego polo włożył odświętną koszulę w biało-niebieskie paski oraz wyjściowe spodnie. Do tego nienagannie wypastowane buty i staroświecki zegarek na skórzanym pasku. Na ogół widywała go w wygodnych spodniach bojówkach, traperach i niezobowiązujących koszulkach. Zawsze wyglądał schludnie, ale tym razem dołożył starań, aby zaprezentować się naprawdę

godnie. Prócz kwiatów miał jeszcze podłużną papierową torebkę z nieujawnioną zawartością.

Och...

A ona łudziła się nadzieją, że nagle opadnie go jakaś pomroczość i przyjdzie w czymś wyświechtanym albo że będzie nieogolony, albo przynajmniej bez cholernego wiechcia i butelki. Wcale jej nie zależało na tym, aby zrobić dobre wrażenie. Zresztą, o ile wierzyć skłonnej do konfabulacji babci, pierwsze wrażenie i tak zdążył już na niej zrobić.

Elwira wolałaby, aby to wrażenie było jak najgorsze i by Hania zapałała do niego niechęcią, uprzedziła się, zjeżyła i w ogóle była na jedno wielkie nie!

Niestety, na to nie mogła liczyć.

Przeczuwała, że od tej pory będzie musiała rękami i nogami bronić swojego terytorium.

Oby tylko babcia nie zaczęła mu wiercić dziury w brzuchu o ślub – jęknęła w duchu. Na głos nie powiedziała nic, robiąc dobrą minę do złej gry.

Nie chciała wychodzić za mąż. Chciała mieć przyjaciela bez zobowiązań i tych wszystkich ceregieli. Bez wspólnej sypialni i kubka na kawę. Bez wspólnych paprotek i innych drobiazgów. Pragnęła, żeby było tak jak do tej pory: spokojnie, bez wstrząsów, bez nadmiernego zaangażowania. Bez cichych dni i wylewanych łez. Bez utraty złudzeń. Bez konieczności rozdrapywania ran, czego nie uniknęłyby, gdyby Podolski przedsięwziął kroki zmierzające ku zawarciu małżeństwa. Wówczas nie byłoby już żadnych usprawiedliwień – musiałyby opowiedzieć mu o swoim smutnym sekrecie.

I po co mi to było? To całe zawracanie głowy ze wspólnymi wyjściami i lepieniem bałwanów? Przecież to jasne, że do niego nie dotarło, gdy mówiłam o znajomości bez zobowiązań.

Marcin znał Niepołomice jak własną kieszeń. Co więcej, znał również wielu okolicznych mieszkańców. Zmierzając w stronę ulicy Dębowej, spekulował, która z uroczych mieszkanek może być babcią Elwiry. A ponieważ stosunkowo niedawno został wezwany na zagadkową interwencję, miał już obstawionego pewniaka. W miarę jak zbliżali się do wytypowanej przez niego posesji, podejrzania przeradzały się w pewność. Z trudem udawało mu się utrzymać twarz pokerzysty. Cóż, w jego zawodzie

jest to umiejętność niezbędna i często bywa przydatna. Na przykład, gdy zostaje wezwany na interwencję domową i okazuje się, że poszkodowany to zięć, któremu teściowa przyłożyła miotłą. Albo małolat przyłapany na kradzieży szczeniaczka celem sprezentowania go rówieśnicy jako żywego dowodu dozgonnej miłości.

– To tutaj – powiedziała Elwira, naciskając klamkę w furtce.

– Mhm. – Marcinowi trudno było zapanować nad kącikami ust, które na przekór szczerym chęciom parły w górę.

– Nie boisz się? Wchodzisz w paszczę lwa.

– Nie zapominaj, że jestem policjantem. Wiesz: złodzieje jabłek, porywacze kotów, staruszki przechodzące przez jezdnię w niedozwolonym miejscu i te sprawy.

– Ha, ha, ha! – Śmiech dziewczyny podszyty był cynizmem. – Mówisz tak, jakby w Niepołomicach nie dochodziło do żadnych poważnych wykroczeń. Czeka, czeka. Nie znasz jeszcze mojej babci!

– Zobaczymy. A nuż się okaże, że wlepiłem jej mandat za okładanie kogoś parasolką? Albo za używanie w miejscu publicznym słów powszechnie uważanych za obelżywe? Albo za przebicie opony w wypasionej bryce jakiegoś głąba?

– Żartujesz?! Moja babcia miałyby tłuc kogoś parasolem? Albo przebijać opony? Po co? To prawie normalna starsza pani.

– No właśnie: prawie. – Puścił oko do Elwiry.

Na dalsze pogawędki nie było szansy, gdyż już stali na stopniach willi ocienionej dębami. Po chwili drzwi zostały otwarte i na spotkanie gościom wyszła posunięta w latach dama.

– No, jesteście, kochani! – ucieszyła się kobieta.

– Dzień dobry, pani Haniu. Miło mi, że w końcu jestem tutaj w celach innych niż interwencyjne.

– O nie – jęknęła Elwira. – Co ty znowu nawymyślałaś? – zapytała oskarżycielskim tonem i wymierzyła w babcię palec wskazujący.

– Eee... Yyy... Nic – odparła Hanna, przybierając minę skrzywdzonego niewiniątka i jednocześnie zerkając porozumiewawczo na mężczyznę.

– Mhm! W każdym razie widzę, że nie muszę was sobie przedstawiać.

– No... Nie musisz – przyznał Marcin.

– Okej. W takim razie oczekuję wyjaśnień – Elwira zwróciła się do babci.
– Może wejdźmy do środka? – zasugerowała Hania. – Nie będziesz chyba przeprowadzać dochodzenia na schodach. Zresztą od tego jest Marcinek, czyż nie?

– Marcinek, dochodzenie... Dobry Boże!

Weszli do domu. Mężczyzna zreflektował się i wyciągnął w stronę Hanny dary przyjaźni.

– Proszę, to dla pani.

– Ależ Marcinku! Nie trzeba było – krygowała się Hania, podczas gdy Elwira z każdym następnym *Marcinkiem* coraz mocniej marszczyła brwi.

Mam już Złotoustą Jolę, teraz przyszedł czas na Hanię Miodoustą – pomyślała z przerażeniem.

Oczywiście nie było mowy o tym, aby Podolski wyszedł od pani Biedrzyckiej ze swoją torebką.

– Ależ droga pani Haniu! – *Aaa!*, wrzasnęła w myśli Elwira, słysząc ociekający słodyczą głos przyjaciela. – To tylko taki mały drobiazg. Odrobina miodu, ot co.

– Miodu? – zdziwiły się jednocześnie obydwie kobiety.

– No tak – odparł i wysunął z torebki butelkę. – Miodu pitnego. Bardzo proszę, półtoraczek dla szanownej pani.

– *Aaa!* Jak miło, drogi chłopcze. Myślę, że zechcesz się nim z nami uraczyć. Nie masz przypadkiem jakiejś wieczornej służby?

– Nie. O ile znowu nie zostanę wezwany do włamania przy ulicy Dębowej albo rozboju pod sklepem spożywczym.

– Włamania?! Czy ktoś się do ciebie włamał, babciu?! – wystraszyła się Elwira.

– Spokojnie, dziecko. To nic takiego. Siadajmy do stołu. Rosół stygnie – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Od słowa do słowa Elwira zdołała się w końcu dowiedzieć, że Hanna dwukrotnie wzywała policję do domu, gdyż zachodziło podejrzenie, że ktoś chce się do niej włamać. Rzeczony złodziej krążył po ogrodzie, zrzucił z parapetu doniczkę z dorodną pelargonią i pozostawił po sobie wyraźne odciski wielkich butów. Wcześniej natomiast *madame* Biedrzycka była notowana za pobicie (parasolką) pijanego mężczyzny, wszczynanie awantur

w miejscach publicznych (aż trzykrotnie) oraz przebicie opon w samochodzie niejakiego Izydora Nowaka, właściciela składu budowlanego.

– Możesz mi powiedzieć, czemu to zrobiłaś? – zapytała zbulwersowana wnuczka.

– Bo ten knur notorycznie parkuje na miejscu przeznaczonym dla inwalidów. Kaleka umysłowy, *durak, idiot, wot szto*.

– Babciu! Miej litość!

– No, co tak wybałuszasz oczy? Co ty myślisz, że on nie zna życia?

– Znam, znam! I tylko dlatego za każdym razem kończyło się na pouczeniu.

– I na opłaceniu wulkanizatora temu nowobogackiemu gnybowi – uzupełniła starsza pani. – Ale przynajmniej oduczyłam go zostawiania samochodu jak krowa gówno.

– Babciu!

– Okej, niech stracę: jak krowi placek – poprawiła się Hanna.

– Pani interwencja była na tyle skuteczna, że gdyby nie niekonwencjonalne metody pracy, z miejsca zaproponowałbym jakiś etat w drogówce. – Marcin puścił oko do Hanny, a następnie pociągnął łyk miodu.

– Przedni trunek – pochwaliła Biedrzycka.

Elwira pominęła milczeniem walory smakowe alkoholu. Nie na rękę jej była cała ta komitywa babci i Marcina. Najczarniejsze przewidywania znalazły potwierdzenie: Hanna była nim oczarowana. Co więcej, on też zdawał się pałać sympatią do dziarskiej staruszki.

No to koniec! A miało być tak pięknie! – pomyślała dziewczyna, popadając w pieski nastrój. *Muszę się ewakuować z tego związku, zanim będzie za późno. Tylko patrzeć, jak zawiązą przeciwko mnie regularny spisak, a babcia zacznie mnie swatać. Nie mam prawa krzywdzić Marcina, pozbawiając go szansy na prawdziwą rodzinę.*

Romanowi Tycznemu coraz częściej brakowało pomysłów na to, jakby tu dalej symulować konieczność konsultacji u doktor Mareckiej. Tak naprawdę jego zdrowie psychiczne wróciło do normy dawno temu. Z pomocą Elwiry zdołał uporać się z przerażającymi wizjami związanymi z utratą środków do życia. Przestały go budzić koszmary, po których dygotał ze strachu, że on i jego ukochane dziecko będą głodowali, lub, co gorsza, wylądują na ulicy.

W tamtych wizjach widział się ubranego, wzorem Charliego Chaplina, w źle dopasowane ubranie i wyświechtany melonik, a córcię zabiedzoną niczym tytułowy brzdąc. Nieprzyjemne majaki senne minęły, a wraz z nimi odeszły lęki egzystencjalne. Pozostała fascynacja kobietą, która wpadła mu w oko aż po samo dno podczas pierwszej wizyty w Niepołomickiej Klinice Zdrowia Psychicznego[2].

Roman Tyczny próbował już chyba wszystkiego: kupował kwiaty i czekoladki, podrzucał kartki z serduszkami, pisał wiersze (no, tych akurat nie odważył się zaprezentować swej wybrance), wzdychał i komplementował (naprzemiennie), zapraszał na kawę, na spacer, na wspólne oglądanie spadających gwiazd. Nic z tego! Serce nadobnej Elwiry pozostawało niewzruszone niczym głąz.

Zdeterminowany dżentelmen miał się również metod alternatywnych: wszelkimi sposobami próbował wybić sobie Elwirę z głowy. Dopatrywał się u niej a to piegów (miała kilka, to prawda, lecz stanowiły raczej dekorację jej zgrabnego nosa niż mankament), a to zbytnej chudości (No owszem, była wątła, ale w czym to przeszkadzało? Wszak i on do osiłków nie należał), a to jakiejś drobnej niezgrabności w ruchach (równie mało istotne jak wcześniej wymienione defekty). Cóż, wystarczało jednak, że spojrzał w głębię jej brązowych oczu, a jego serce od razu rozpoczynało szaleńczy dygot!

W głowie Romka zrodził się fenomenalny pomysł. Skoro pani Stasia wyjawiała mu w wielkim sekrecie, że obiekt jego uczuć jest stanu wolnego, mogło to oznaczać, że ma w niej sprzymierzeńca. A gdyby tak zakraść się do serca wybranki bocznymi drzwiami? No bo przecież nie od dzisiaj wiadomo, że baby polegają na opinii koleżanek i często się nimi sugerują.

Tyczny był wybitnym, choć domorośłym znawcą w dziedzinie psychologii kobiecej, gdyż od paru lat hodował w domu małą kobietkę. Coraz częściej jednak dochodził do wniosku, że mimo osiągnięcia w rozumieniu płci pięknej niemalże eksperckiego poziomu, nie zawsze nadaża za swoją córką. W związku z tym dobrze byłoby mieć na podorędziu osobę nadającą na zbliżonych częstotliwościach, która będzie mediatorem na linii tatuś – córeczka. Przydałby się także ktoś, kto będzie zaplatał dziecku te cholerne warkocze, doradzał w kwestii ciuchów i rozróżniał kolory. Bo dla niego amarant i fuksja były czymś nieokreślonym, a gdy mała podtykała mu pod

nos fatałaszki we wzmiankowanych barwach, to od razu klasyfikował je jako różowe. Ciemnoróżowe, jasnoróżowe, umiarkowanie różowe – to jeszcze ogarniał, ale fuksja? Amarant? Łosoś? Cyklamen? Róż pudrowy? Lilaróż? A cóż to za wytwory?

Mniejsza o to!

Ważne, żeby zyskać sprzymierzeńca, który wskaże Elwirze właściwą drogę życia. A tą drogą było szczęście u boku Romana Tycznego. Jeśli więc udałoby mu się wzbudzić podziw w oczach innej kobiety, to istniało duże prawdopodobieństwo, że ten podziw przeniesie się na Elwirę.

Tak więc przy następnej wizycie w klinice Roman Tyczny nie omieszkał wręczyć pani Stasi lakierowanej torebki, wewnątrz której znajdowało się opakowanie doskonałej arabiki.

– Proszę, to dla pani. Zauważyłem, że często pija pani kawę po turecku. Ten gatunek wybornie się do tego nadaje.

Zdumiona kobieta otworzyła szeroko oczy.

– Dziękuję... Dziękuję – wykrztusiła, przyjmując hojny dar od jednego z najwierniejszych pacjentów doktor Mareckiej.

– Czy pani doktor jest wolna? – zapytał dwuznacznie Romek.

– Ta... Tak. Chyba tak.

Mężczyzna udał się w stronę gabinetu, odprowadzony zdumionym spojrzeniem Stasi. Kiedy zniknął z linii jej wzroku, kobieta rzuciła się na stojącą na ladzie torebkę i wyjęła z niej puszkę dość drogiej kawy.

Przy następnej okazji Roman Tyczny obdarował ją pudełkiem wykwinnych czekoladek z miętowym nadzieniem.

– Szanowna pani zechce spróbować. Doskonale komponują się z kawą, którą przyniosłem tydzień temu.

– Ależ panie Romku! Nie trzeba było – zaprotestowała, zerkając łakomym wzrokiem to na słodki upominek, to na ofiarodawcę.

A gdy mężczyzna zniknął za drzwiami gabinetu doktor Mareckiej, wyjęła spod lady recepcyjnej podczytywaną właśnie powieść traktującą o romansie kobiety w wieku hm... zdecydowanie pobalzakowskim, z zabójczo przystojnym i młodszym o co najmniej dekadę multimilionerem. Ach!

Są tematy, o których mówi się z ogromnym wysiłkiem. Jest wiele historii,

które sprawiają ból tak wielki, że powinny zostać przemilczane, lecz niestety, nie mogą odejść w zapomnienie.

Po przerażającym wypadku samochodowym, w którym Hanna Biedrzycka straciła swoją ukochaną jedynaczkę i zięcia, cały jej świat tąpnął. Została tylko Elwirka – drobniutka kruszyna balansująca na granicy życia i śmierci.

Biedne dziecko – myślała, spoglądając na twarz nieprzytomnej dziewczynki.

Tamten koszmarne czas był dla Hani niekończącym się ciągiem cicho szeptanych modlitw i prowadzonych półgłosem rozmów z najlepszymi specjalistami w kraju. Hanna wykorzystwała absolutnie wszystkie znajomości, jakie miała w środowisku medycznym. Poświęciła oszczędności całego życia na to, aby ściągać do Elwirki kolejnych lekarzy, którzy z wielkim powątpiewaniem i ostrożnością stawiali diagnozy.

Mijały tygodnie, a ukochana wnuczka pozostawała w stanie śpiączki. Hania starała się nie odstępować łóżka małej na dłużej, niż to było konieczne. Błada twarz dziewczynki odcinała się przerażającą szarzyzną od kolorowej pościeli z oddziału dziecięcego. Wokół popiskiwała aparatura monitorująca i podtrzymująca funkcje życiowe Elwirki. Poszkodowana miała zamknięte oczy, leżała nieruchomo niczym kamienna bryła. Biedrzycka, z pomocą pielęgniarki, raz na jakiś czas zmieniała ułożenie jej ciała – tyle, na ile pozwalały urazy odniesione przez nastolatkę.

A później tkwiła na fotelu, który litościwie przyniesiono dla niej z pokoju lekarzy, i odmawiała modlitwy.

Czasami licytowała się z Panem Bogiem:

– Zabrałeś moje dziecko i zięcia, więc zostaw mi przynajmniej tę kruszynę. Błagam. Nie możesz mnie aż tak doświadczać. Czyż nie przeżyłam już wystarczająco dużo? Pamiętasz wojnę? Pamiętasz, jak głodowałam wraz z moją rodziną? Pamiętasz mojego dwuletniego braciszka, który zmarł na tyfus w styczniu czterdziestego pierwszego? Rozstrzelanego Marcela oraz Stasia, którego rozerwała mina? A pamiętasz tę powojenną biedę z nędzą? A pamiętasz, jak zabrałeś do siebie mojego męża? Czy to w porządku, gdy trzydziestoletnia kobieta zostaje wdową? Nie! – odpowiadała w Jego imieniu. – No widzisz? Nigdy się z Tobą o nic nie targowałam. Nie miałam pretensji za to wszystko, co musiałam przeżywać. Ale teraz błagam Cię: nie zabieraj

tej małej ptaszyny! Zabierz mnie, jeśli musisz, jeśli potrzebne Ci to do równego rachunku niebieskich dusz. Ja już jestem stara, ona ma całe życie przed sobą. Pozwól, aby przeżyła.

– To cud, że żyje, Haniu – szeptała koleżanka po fachu, ściskając dłoń Biedrzyckiej. – Doznała tak licznych i rozległych obrażeń, że rokowania są kiepskie. Nawet jeśli wyjdzie z tego, to w najlepszym wypadku będzie poruszać się na wózku.

– Nie wierzę, nie wierzę – szlochała Hanna, kryjąc twarz w dłoniach. – Na wózku?

– Obawiam się, że to najmniejszy problem, z jakim może się borykać Elwirka. Wiesz, że te obrażenia wewnętrzne były bardzo rozległe i groźne...

– Wiem. – Hanna przełknęła ślinę, lecz gruda, która narastała w jej gardle, nie chciała zniknąć. Tkwiła uparcie od wielu dni, uniemożliwiając kobiecie przełykanie oraz mówienie. Biedrzycka miała straszliwe przeczucie, domyślała się słów, które mogą zaraz paść – wszak ona też była lekarzem.

I padły – słowa, które ranią i rozdzierają duszę.

Słowa, które sprawiają, że cały świat traci ostrość kształtów i barw, rozmywa się za strugami łez.

Czternaście lat – jeszcze nie kobieta, lecz już nie dziecko. Podłotek, panienska. Miesiączkująca, pełna życia i werwy nastolatka, która ma zdolność rozrodczą, chociaż sama wciąż potrzebuje matki. Ta prawidłowość nie dotyczyła Elwiry.

Jak powiedzieć dziecku, że prawdopodobnie do końca życia pozostanie kaleką przykutą do wózka inwalidzkiego?

Jak powiedzieć dziecku wybudzonemu ze śpiączki, że już nigdy nie zobaczy swojej matki?

I wreszcie jak powiedzieć czternastoletniej dziewczynce, że chociaż kiedyś stanie się kobietą, nigdy nie urodzi własnych dzieci?

Czy powiedzieć to wszystko podczas jednej przerażającej rozmowy, czy może raczej ujawniać prawdę etapami?

Zadać ból raz a dobrze czy kąsać umysł drobnymi szarpnięciami prawdy? Prawdy, która boli i jest bezwzględna...

Które z tych zadań było najgorsze? Które przysporzyło Hani najwięcej siwych włosów, zmartwień i zgryzot?

W tym dniu, gdy Elwira otworzyła oczy i po raz pierwszy od wielu dni świadomie spojrzała na babcię, Hania znowu zaczęła licytować się z Panem Bogiem:

– Nie możesz jej tego robić, litościwy Boże! To jeszcze dziecko, spójrz tylko na tę drobną chudzinę! Zabrałeś jej rodziców, odebrałeś jej szansę na dzieci. Wiem, że to są sprawy utracone bezapelacyjnie. Ale błagam Cię! Błagam z całą moją wiarą i nadzieją: oszczędź jej kolejnych cierpień. Nie pozwól, aby do końca życia była kaleką przykutą do wózka! Nie mam Ci nic do zaoferowania, poza wdzięcznością i modlitwą. Nie proszę, abyś zrobił to kosztem mojego życia, bo teraz jestem jej bardzo potrzebna. Muszę zastąpić Elwirce ojca i matkę. Błagam, wysłuchaj mnie...

Niezależnie od prośb zanoszonych do najwyższej instancji, Hanna z wrodzoną werwą i zacięciem zaczęła starania o to, aby zapewnić wnuczce jak najlepszą pomoc i rehabilitację. Poprzysięgła sobie, że choćby miała wyprzedać dorobek życia: dom, samochód, futra i biżuterię oraz stare, rodowe precjoza – postawi Elwirę na nogi. Ta biduła poniosła wystarczająco dużo strat i choćby miała okupić sprawność fizyczną godzinami ćwiczeń i nadludzkim wysiłkiem – musi wrócić do akceptowalnej przez Biedrzycką kondycji, czyli możliwości poruszania się samodzielnie. W związku z tym kobieta postanowiła, że póki co nie zdradzi wnuczce tych strasznych diagnoz, które zapadły – również tej o zniszczonych narządach wewnętrznych. Na hiobowe wieści zawsze przyjdzie czas, teraz nie ma sensu smucić dziecka czymś tak abstrakcyjnym, jak utracone macierzyństwo.

Marcin Podolski wciąż odczuwał nieprzyjemne ukłucia zazdrości. Od dnia, gdy na parkingu zobaczył Elwirę w towarzystwie tego śmiesznego cherlawego doktoraka, nie zaznał chwili spokoju. Zdążył się już zorientować, kim był tamten mężczyzna. Widywał go czasami w Niepołomicach. Parę razy, gdy przychodził po Elwirę, natknął się na niego w klinice. Ponieważ znał numer rejestracyjny jego pojazdu, bez wypytywania Mareckiej dowiedział się na temat Grenia tego i owego.

Ciekaw był, czy Elwira ma na temat Krystiana równie gruntowną wiedzę.

A może ten z bożej łaski doktorzyna ukrywał przed nią swój, hm... mały sekret?

A może ich znajomość nie jest na tyle zażyła, aby ten sekret ujawniać? – próbował pocieszyć samego siebie.

Tak czy owak wziął potencjalnego rywala pod lupę i gruntownie go prześwietlił. W razie czego zlecił jednemu z posterunkowych obserwowanie delikwenta, tłumacząc pokrętnie, że chodzi o jakieś śledztwo. Osobiście nie mógł tego zrobić. Raz: z uwagi na nawał innych zajęć, dwa: z obawy, że zostanie zdemaskowany jako zazdrosny i żaloszny samiec.

Niestety, posterunkowy Skoczylas, któremu powierzył to zadanie, nie wniósł do wcześniejszych spostrzeżeń Podolskiego niczego nowego. Greń, poza jednym drobiazgiem, był człowiekiem o nieposzlakowanej opinii. Nie wszczynał pijackich awantur, nie miał założonej kartoteki. Ba! Nigdy w życiu nie dostał nawet jednego, cholernego mandatu!

– Czekaaj, czekaaj, ptaszku! – burczał Marcin, spoglądając ukradkiem na wysiadającego z samochodu mężczyznę. – Coś mi ta twoja niewinność nie pasuje. Wszak stary nie darmo mówi, że ludzie dzielą się na tych, którzy siedzieli, siedzą lub będą siedzieć. Już ja coś na ciebie znajdę. A i mandacik jakiś ci się wlepi, choćby nawet za przekroczenie prędkości – dodał z zaciętością.

Szybko zaczął kombinować, jakby tu przyłapać na czymś bogu ducha winnego doktora, lecz ten jak na złość nie dawał się zapędzić w kozi róg. Z cierpliwością godną anioła jechał za traktorem telepiącym się wolno krętą drogą wiodącą przez puszcę – nie uległ pokusie, aby wyprzedzić na podwójnej ciągłej. Nigdy nie mrugał światłami do kierowców jadących z naprzeciwka, gdy widział drogówkę z radarem. I zawsze (do jasnej cholery!), zawsze przepuszczał pieszych na przejściu. Choćby leżli jak stado baranów.

I jak tu się nie wkurzyć?!

Po kilku takich akcjach Podolski poczuł bezsilność, ale również i ulgę. Dyskretnie inwigilowany Greń ani razu nie został przyłapany z Elwirą. Poza tym jednym epizodem Marcin nigdy więcej nie zauważył, aby ten doktorzyna zawracał głowę jego kobiecie. Zrobiło mu się głupio, że tak zawziął się na

mężczyznę i poprzestał swoich niecznych knowań.

Odetchnął z ulgą.

Niewinność Grenia oznaczała również, że może poniechać tych wszystkich durnych zachodów, które podejmował, aby sprawić przyjemność Elwirze. Ponieważ jego związkowi nic nie zagrażało, mógł sobie odpuścić kupowanie kwiatów, plecenie trzy po trzy na temat gwiazd na niebie oraz łażenie na spacerach w świetle księżyca. W końcu znowu mógł jak człowiek usiąść na kanapie. Otworzyć piwo, wziąć do ręki pilota od DVD i razem z ukochaną obejrzeć jakiś porządny film akcji. Marcin dobrze wiedział, że zbyt długie spacerowanie męczą jego wybrankę, światło księżyca uważał za dobre dla poetów, a kwiaty nadawały się tylko dla kóz – jako sałatka. W żadnym razie nie warto było inwestować kasy w wiechcie dla kobiety, u której w domu wałęsają się cztery sierściuchy i tylko czekają na stosowną okazję, aby zrzucić ze stołu wazon i zalać wodą dywan. Złośliwe bestie.

Stasia zajęta była porządkowaniem kartoteki pacjentów, gdy przy recepcji zmaterializował się Roman Tyczny. W poczekalni zapachniało frezjami.

– Proszę, to dla pani – powiedział, wręczając jej wonny bukiet. – Piękne kwiaty dla pięknej kobiety!

– Ach, panie Romanie! Dziękuję, jak miło! – wykrzyknęła zachwycona kobieta.

Jedną dłonią przyjęła dar od swego młodego wielbiciela, drugą obciągnęła nową bluzeczkę (włożoną tego dnia rano tylko z myślą o panu Tycznym), aby wyeksponować obfity i ponętny dekolt. Chciała jeszcze spojrzeć głęboko w oczy mężczyzny, lecz on, zapewne onieśmielony jej niebywałymi wdziękami, już zniknął za drzwiami gabinetu doktor Mareckiej.

– O! Czyżby Roman Tyczny zapalał do pani jakąś szczególną sympatią? – zagadnęła Małgosia Osikowicz, która przyszła właśnie po karty pacjentów.

Znała pana Romana. Bo jak tu nie znać kogoś, kto przychodzi na wizyty z jednakową częstotliwością od ładnych paru lat? Zresztą czy można przeoczyć człowieka o tak niebagatelnym imieniu i nazwisku? Pewnego dnia Elwira szepnęła jej na ucho, jak nazywa się ten intrygujący osobnik. Robiąc to nader poważnym, niemalże grobowym tonem, doprowadziła Małgorzatę do łez – ze śmiechu rzecz jasna. Zresztą nie tylko godność tego człowieka

wzbudzała uśmiech na jej twarzy. Już sam jego wygląd sprawiał, że kącki ust sunęły niefrasobliwie w górę, a w głowie lekarki podskakiwało nieznośne lichy, które wykrzykiwało:

– Pinokio! Pinokio! Pinokio!

Roman Tyczny był bowiem nie tylko bardzo wysoki i wręcz nieprawdopodobnie chudy, ale na domiar złego prezentował światu niebagatelnie długi nos. Jeśli dorzucić do tego wiecznie rozmarzony wzrok, burzę niesfornych loków oraz egzaltowany styl wypowiedzi, opis mężczyzny ulegał dopełnieniu.

– Ależ pani doktor! – Stasia do Rany Przyłóż spłonęła purpurowym rumieńcem. – No gdzieżby tam! Taki miły młody człowiek i taka stara baba?! Też coś! – krygowała się, poprawiając starannie ufryzowane włosy.

– A te kwiaty? – zagadnęła Małgorzata.

– Ach, kwiaty! – wykrzyknęła Stanisława, jakby dopiero teraz zauważyła okazałą wiązkę frezji. – Kwiaty... no cóż. Dostałam. Pan Roman to prawdziwy dżentelmen. I jaki romantyczny! Ach...

Doktor Osikowicz przewróciła oczami.

– No tak. Roman-tyczny to on rzeczywiście jest – stwierdziła, zgarniając karty pacjentów.

– O to, to! – podkreśliła Stanisława. – Nie to, co ten gbur, doktor Grey. Tamten to tylko *dzień dobry i do widzenia*. A ten zawsze coś miłego powie. Od razu robi się cieplej na sercu. – Stanisława podkreśliła ostatnie słowa poprzez przyciśnięcie dłoni do swej bujnej piersi.

– Tak, faktycznie – odparła Małgosia i czym prędzej czmychnęła do gabinetu. – Biedna Stasia – westchnęła, gdy już zeszła z linii jej wzroku. – Chyba zbyt serio traktuje dowody sympatii tego pana. Ot, za dużo naczytała się romansideł!

– Moja droga wnuczko!

Elwira poczuła niepokój. Kiedy babcia Hania uderzała w taki ton, niechybnie wieściło to kłopoty. Podobnego zdania było zapewne stado czworonogów zamieszkujących lokal Mareckiej. Koty pierzchły bowiem we wszystkie strony, za wyjątkiem Marcepana, który przyczał się pod stolikiem do kawy i ze swej bezpiecznej pozycji czujnie obserwował hałaśliwego

intruza.

Babcia rzadko fatygowała się z wizytą, zazwyczaj Elwira odwiedzała seniorkę. A to oznaczało, że kłopoty mogą być po dwakroć większe.

– Słucham cię, moja droga babciu – odparła Elwira, siląc się na równie wzniosły ton.

Starsza pani zajęła miejsce na kanapie.

– Marcepan, kici-kici. – Wyciągnęła dłoń w stronę jedyne go przedstawiciela kociej populacji, który miał dość odwagi, aby pozostać w pokoju. – Chodź no tutaj, sierściuchu, i pokaż mi, że nie jesteś tchórzem jak reszta twojej kompanii.

Kot, słysząc swoje imię, zastrzygł uszami, jednak pozostał tam, gdzie był.

– Ach! – ucieszyła się Elwira. – Przyszłaś z wizytą do futerkowych?

– Nie, moja panno. Z futerkowymi tylko się witam. Z grzeczności. Czego nie mogę powiedzieć o tej wystraszonej bandzie z aspiracjami do stada tygrysów. Ciasto ci przyniosłam, ale nie będę go jadła. Będzie jak znalazł na wieczór, gdy przyjdzie tutaj ten przemiły dżentelmen.

– Skąd wiesz, że przyjdzie? – zapytała głupio Elwira.

– Ano stąd, że sama go do ciebie zaprosiłam. Powiedziałam mu, że chyba musicie poważnie porozmawiać.

– O nie! Jak mogłaś?! Babciu!

– Mogłam, mogłam. Mam do tego święte prawo, bo to ja wychowywałam cię po śmierci rodziców.

To było zagranie poniżej pasa, Hanna dobrze o tym wiedziała. Nigdy wcześniej nie wysuwała tego argumentu w rozmowie z wnuczką. Teraz po prostu czuła, że nie może inaczej.

Dziewczyna z miejsca spoważniała. Spojrzała z wyrzutem na siedzącą naprzeciw babcię. Milczała.

– Nie powiedziałaś mu, prawda? – upewniła się Hania.

Elwira pokręciła głową i zagryzła wargi.

– Dlaczego? Na co czekasz?

– To nie jego sprawa.

– Owszem, jego. Jest w tobie po uszy zakochany.

Elwira milczała. No, bo co niby miała powiedzieć babci? Że jest ślepa, głucha i nie zauważyła, co się święci? Nic z tego. Była świadoma uczuć,

które wzbudziła w sympatycznym policjancie.

– No co? Nic nie powiesz?

– Babciu! Nie powinnaś...

– Muszę! – przerwała jej obcesowo kobieta. – Dziewczyno, mam już na karku dziewiąty krzyżyk! Nie jestem wieczna. Starzeję się i przemijam. Nie chcę, abyś została sama, gdy mnie zabraknie.

– Matko Boska! Jesteś chora?! – wystraszyła się wnuczka.

– Matka Boska ma się dobrze. Ja też. Ale sytuacja może się w każdej chwili zmienić. Musisz sobie poukładać życie.

– Jest poukładane. Mam dom, pracę i mnóstwo spraw na głowie.

– Taa... Ale nie masz rodziny.

– Mam kilka przyjaciółek i cztery koty.

– Kota to ty masz w głowie. I to chyba niejednego – burknęła babcia. – O! O wilku mowa. – Podrapała za uszami Marcepana, który zdecydował się podejść. – A co do przyjaciółek, naprawdę uważasz, że banda sfrustrowanych singielek jest towarzystwem na dobre i złe aż do grobowej deski? – zapytała z posępną miną i głosem tak mrocznym, jakby faktycznie wybierała się na tamten świat. – Słuchaj, dziecko. Musisz porozmawiać poważnie z Marcinem. Wygląda mi na niegłupiego chłoptasia. Na pewno zrozumie sytuację. I nie próbuj się wykręcać, bo z góry mu zapowiedziałam, że czeka was poważna rozmowa.

– Jesteś potworem. – To nie był żart, lecz pełen rozpaczny jęk.

– Nieprawda. Potworne jest zatajanie prawdy i wyolbrzymianie drobnych niedogodności.

– Nazywasz to drobną niedogodnością?! – oburzyła się Elwira.

– W świetle problemów dręczących ludzkość, takich jak: głód, wojny czy klęski żywiołowe, twój problem jest jak ziarenko piasku na pustyni. I dobrze wiesz, że można go obejść dookoła. Przepraszam. Wiem, że moje słowa cię ranią, ale wałkowałyśmy ten temat wielokrotnie.

Babcia Hania miała rację. Poniekąd. Elwira dobrze wiedziała, że to, co tak bardzo jej doskwierało, nie było ani największym problemem w dziejach ludzkości, ani sprawą, której nie dałoby się rozwiązać. W podobnej sytuacji znajdowały się tysiące osób. Wybierały wszystkie możliwe i dostępne rozwiązania. Ta myśl pozwalała Elwirze na zachowywanie pogody ducha

i optymizmu.

Jej życie mogło potoczyć się tak, jak życie wielu innych kobiet. Mogła myśleć o budowaniu przyszłości z mężczyzną. Nawet, jeśli ta przyszłość miała drobne skazy.

Kilka przyjaciółek i powiększające się stado kotów to zdecydowanie za mało. Elwirze już dawno przestało to wszystko wystarczać. Marzyła o czymś więcej.

Miała nadzieję, że Marcin jej nie zawiedzie.

[2] Instytucja fikcyjna.

Zamek z piasku

Elwira zamknęła drzwi za babcią. Z pozoru opustoszałe mieszkanie od razu ożyło za sprawą kotów, które powyłaziły ze swoich kryjówek.

– Ach! Teraz jesteście? – oburzyła się opiekunka inwentarza. – A gdzie byliście podczas babcinej wizytacji? Hę?

W odpowiedzi kolorowe stadko zaczęło gwałtownie dopominać się o posiłek.

Ledwo zdążyła napełnić cztery miski kocią karmą, no bo przecież każdy lokator musiał mieć własny dostęp do źródła zasilania w energię, gdy do mieszkania Elwiry zaczął dobijać się następny gość.

– Dżizas – westchnęła. – Dam głowę, że na Floriańskiej nie jest tak tłoczno jak tutaj.

Kociaki natychmiast porzuciły jadłodajnię i zrobiły odwrót na z góry upatrzone, bezpieczne pozycje (po prostu pierzchły w popłochu), pozostawiając na czatach (zerkającego zza uchylonych drzwi sypialni) Marcepana. Rudzielec, jako najmłodszy przedstawiciel tej zgrai, wykazywał się największą odwagą w kontaktach z obcymi. W ostatnich kilku tygodniach tak się utarło, że dopiero gdy on uznawał teren za bezpieczny, pozostała część mieszkańców wyłaziła ze swoich kryjówek.

Za drzwiami stał Marcin. Z kwiatami. W garniturze. Niepodobny do siebie i wyjątkowo uroczysty. W odświeżonym ubraniu wyglądał na trochę onieśmiałonego. Elwira, choć zdenerwowana czekającą ich rozmową, nie przeoczyła, że mężczyzna włożył elegancki strój i białą koszulę.

A przecież to, co miała mu do powiedzenia, nie wymagało tak uroczystej oprawy.

Właściwie nie wymagało żadnej oprawy, prócz warunków do spokojnej, niełatwej rozmowy. Dla niej niełatwej, bo za jego reakcję nie mogła ręczyć.

Zrobiło się jej głupio, ponieważ miała na sobie legginsy oraz pozaciąganą kocimi pazurami koszulę w kratkę, która zdecydowanie nie nadawała się do pokazywania ludziom. Marecka ze wstydem przypomniała sobie wszystkie pouczenia babci Hani. Według niej kobieta winna zawsze dbać o siebie i nawet domowe zacisze nie usprawiedliwiało niechlujności. Elwira miała zamiar wykonać odwrót, aby doprowadzić się do ludzkiego wyglądu. Już otwierała usta, żeby przeprosić Marcina, lecz on niespodziewanie padł na kolana w miejscu, w którym stał. Spojrzał Elwirze głęboko w oczy, robiąc przy tym poważną minę.

Taki sztywny, oficjalny i poniekąd nieobliczalny nie podobał się jej ani trochę.

Garnitur i powaga wybitnie do niego nie pasowały.

Pasowało lepienie bałwanów, przekomarzanki z Hanią i jedzenie popcornu na niewygodnych fotelach w Kinie za Rogiem. Zdecydowanie lepsza była dla niego rola fajnego kumpla niż romantycznego amanta.

Elwira przełknęła ślinę, ponieważ przypuszczała, jakie słowa za chwilę padną. Nagle uświadomiła sobie, że nie jest na nie w żaden sposób przygotowana i przez minione tygodnie rękami i nogami broniła się przed wizją podobnej sceny.

– Marcin, nie rób skeczu, wstawaj! – Próbowała przeszkodzić jego zamiarom.

– Nie wstanę, nim nie wyłożę tematu. – Zaparł się Podolski.

Dziewczyna z trudem zapanowała nad chęcią przewrócenia oczami. A już miała nadzieję, że jakoś się wykpi i nie będzie musiała sprawiać mu przykrości, co mimo wszystko było nieuniknione.

– Elwiro – powiedział Podolski tonem tak oficjalnym, że po jej grzbiecie przeszły ciarki. – Jesteśmy razem już wystarczająco długo, aby się dobrze poznać i wiedzieć, że łączy nas coś niezwykłego. Jesteś wspaniałą kobietą. Uosobieniem wszystkiego, co pragnąłem widzieć w towarzystwie mojego życia. Pomyślałem, że to najwyższa pora, aby nasza znajomość wkroczyła na

kolejny etap. Nie chcę odkładać marzeń o kochającej się rodzinie na później, bo czas płynie zdecydowanie zbyt szybko. Czy w związku z tym zechcesz zostać moją żoną, a w następstwie również matką moich dzieci?

Czuła, jak opadają jej ramiona. Zupełnie jakby włożono na nie nadmierny ciężar. W oczach Marcina było tyle zapału! On nie miał nadziei, lecz pewność, że za chwilę zrealizują się jego życiowe plany.

On nigdy nie słuchał tego, co do niego mówiła. Nie przestrzegał wytyczonych granic.

A przecież tyle razy podkreślała, że są przede wszystkim kumplami.

Marcin zawsze interpretował jej słowa po swojemu.

Nigdy nie powiedziała, że go kocha? Cóż, nie lubiła nadużywać wielkich słów.

Nie miała ochoty na seks? A co w tym dziwnego? Doprawdy godne podziwu oraz szacunku, że tak się ceni, i nie jest to żaden przejaw obojętności.

– No, powiedz coś – ponaglił ją, gdy przedłużyła się chwila milczenia.

– Przykro mi – odparła. Na nic więcej nie było jej stać.

Mężczyzna patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Jak to? – zapytał.

– Nie zostanę matką twoich dzieci. Nie mogę.

– Nie chcesz mieć dzieci? – zmartwił się Marcin. – Przecież kobiety chcą...

– Nie mogę – powtórzyła, przerywając jednocześnie jego wypowiedź. – Rozumiesz? Nie mogę! Nie urodzę.

Nie rozumiał. Patrzył na nią, nie pojmując, dlaczego ta miła, ciepła dziewczyna nie chce mieć dzieci. Byłaby cudowną matką, a on dołożyłby starań, aby być jak najlepszym ojcem. Czyż nie tego pragną wszystkie kobiety? Dlaczego Elwira nie doceniła jego poświęcenia? Tego, że nie wpadał w panikę na myśl o nocnych krzykach, kupach, pieluchach, kolkach, bolesnym ząbkowaniu i innych przerażających kwestiach związanych z rodzicielstwem? Nie wymiękał na myśl o tym, przed czym przestrzegali go wszyscy kumple, którzy zdążyli już pozakładać rodziny i teraz z ochotą brali nocne dyżury, bo wtedy można było spokojnie się przekimać. Albo zabezpieczali sobie służbę, gdy w przedszkolu, podstawówce bądź gimnazjum (opcja wybierana w zależności od potrzeb) odbywały się dni

otwarte lub zebrania.

A ona nie chciała przyjąć jego wspaniałomyślnej deklaracji wsparcia!

– Nie? Okej, w sumie mogę zrozumieć, że nie chcesz mieć dzieci tak od razu. Możemy więc poczekać, byle nie za długo, bo wiesz, lata lecą. Muszę zadbać o ciągłość nazwiska.

– Marcin! Ty mnie w ogóle nie słuchasz! Nie urodzę twoich dzieci. Nie dlatego, że nie chcę, lecz dlatego, że nie mogę. To jest niemożliwe. Cholera! Jak mam ci to jeszcze wytłumaczyć?! – Zdenerwowała się, ponieważ nie dość, że musiała rozdrapywać bolesny temat, to na dodatek Marcin wciąż patrzył na nią, jakby bredziła w gorączce.

W końcu mężczyzna wstał. Widocznie uznał, że głupio wygląda na klęczkach w sytuacji, gdy rozmowa popłynęła w niewłaściwym kierunku.

– Nie wyjdiesz za mnie – powiedział, a ona miała ochotę zdzielić go za to po łbie.

Na szczęście okazało się, że wcale nie musi tego robić. Do Marcina dotarł, przynajmniej po części, sens jej słów.

– Dobra. To zmienia postać rzeczy. Zrobiłem z siebie idiotę – powiedział, wciskając w jej ręce bukiet. – Miłej reszty życia.

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Podolski po prostu wyszedł. Elwira została sama, jeśli nie liczyć czworonogów, które ponownie wychynęły ze swoich kryjówek. Tym razem to ona miała niemądrą minę.

– Miłej reszty życia? – zapytała retorycznie. – Tak po prostu? Bez dociekania, o co chodzi? – Rozzłościła się na dobre. – Idę sobie, bo nie chcesz bawić się ze mną w dom? Przecież nie powiedziałam, że za niego nie wyjdę! *Czort pobieri! Kajok idiot!* – nieświadomie zaklęła w języku swoich przodków. – *Malczik paszo!* I gitara! Dzieciuch! *Krawawyj ublidyk!* Chodź, Srebrzysty. – Złapała sierściucha, który podszedł najbliżej, i wtuliła się w jego miękkie futerko.

Czuła, jak pałają jej policzki. Z gniewu. Nie, nie z gniewu, lecz z wściekłości i niedowierzania!

No, bo jak można tak po prostu sobie pójść, zostawiając rozgrzebaną ranę, w którą wcześniej włożyło się drzazgę?

Elwirze cisnęły się na usta wszystkie soczyste przekleństwa, jakie znała zarówno w języku polskim, jak i rosyjskim. Mogłaby dorzucić do tego

jeszcze parę słów po angielsku, ale to i tak niczego by nie zmieniło.

Marcin nie złamał jej serca. Może trochę je ukruszył. Właściwie odczuwała wyrzuty sumienia, ponieważ nie dość konsekwentnie broniła swojego stanowiska, gdy ustalała zasady ich znajomości. On mógł w związku z tym snuć przypuszczenia, że pomiędzy nimi może powstać bliska zażyłość.

Ale żeby tak zaraz się oświadczać?!

O nie! Tego nie było w planach!

Mimo wszystko Elwira czuła, że jednak trochę narozrabiała. Pozwoliła mu na złudzenia. Skrzywdziła go nieumyślnie. Zapewne teraz on odszedł, aby w najbliższym pubie leczyć złamane serce.

Problem, który powinna była z nim omówić, pozostawał, chociaż przestał dotyczyć Marcina.

– On czy nie on – westchnęła. – Za każdym razem jest tak samo. Podobno z każdej sytuacji jest jakieś wyjście. Kto to powiedział, ja?! – powiedziała z przekąsem, spoglądając w lustro. – I owszem. Mam najlepsze wyjście świata: koniec z randkami, koniec z facetami, koniec ze złudzeniami! Nie ma szansy na to, abym miała rodzinę inną niż to cholerne stado kotów – załkała prosto w szare futerko Przemysława Srebrzystego.

Może taki już był jej los, że wciąż miała odgrywać rolę pocieszycielki strapionych, a gdy jej przydarzało się coś przykrego, to na otarcie łez pozostawali wyłącznie czworonożni podopieczni.

O rozstaniu Elwiry i Marcina Patrycja dowiedziała się od swojego kuzyna. Nie żeby jej się żalił – nic z tych rzeczy. Po prostu wpadła na niego przez przypadek i, nie zważając na jego cierpienniczą minę, zaczęła wypytywać o Elwirę. Od słowa do słowa dowiedziała się, że Marecka pogoniła Podolskiego. Ta wieść wprowadziła ją w osłupienie, więc bezzwłocznie postanowiła potwierdzić ją u źródła. Słowa Marcina wydawały jej się całkowicie niedorzeczne. Bo niby czemu Elwira miałaby tak go potraktować? Kiedy widziały się ostatnio, przyjaciółka nie wspomniała, że podjęła decyzję o rozstaniu. Wprawdzie rozmawiały na zupełnie inny temat, lecz gdyby coś było nie tak, to chyba by o tym powiedziała.

A może nie?

Pati już wtedy odnosiła wrażenie, że Elwirkę coś gryzie. Teraz żałowała, że

nie drażyła tematu. Wykręciła numer do Mareckiej, aby uprzedzić ją o swojej wizycie. Kilka minut później siedziała w jej pokoju dziennym.

Gospodyni poczęstowała ją kawą oraz herbatnikami. Koty okazały się nie mniej gościnne, gdyż całym stadkiem rozsiadły się na kanapie, a Marcepan był nawet na tyle wspaniałomyślny, że przyniósł Patrycji nieco rozbebeszoną pluszową mysz. Gdyby nie powaga sytuacji, Pati zapewne pobawiłaby się z czworonogiem. Wystarczył jednak rzut oka na panią domu, a kobieta od razu zapomniała o rudzielcu.

Elwira była przygnębiona i dość blada, lecz poza tym trzymała się mężnie. Po uważnym zlustrowaniu przyjaciółki, Drawiczowa zauważyła zaschnięte na policzkach ślady łez.

– Co się stało, kiciunia? – zapytała łagodnym głosem.

Marecka spojrzała na nią spode łba. Już miała zbyć Patrycję jakąś wymówką, gdy nagle poczuła, że właśnie przyszedł dzień krytyczny. Musiała w końcu zrzucić z ramion ciężar, który dźwigała od lat. Nagle z jej oczu popłynął niepowstrzymany strumień łez. Widząc to, Pati zerwała się z kanapy i objęła ją ramieniem. Mocno przytuliła przyjaciółkę i przypomniała sobie, jak niemalże rok wcześniej to ona płakała równie żałośnie, a Elwirka próbowała ukoić jej rozpacz po utracie Klaudiusza. Wtedy interwencja przyjaciółki przyniosła rezultat, czego dowodem była obrączka oraz ciężowy brzuszek. Patrycja poczuła, że przyszedł czas, aby się odwdzięczyć.

– Jak mogę ci pomóc? Co się stało? – zapytała płaczącą kobietę. – Chodzi o Marcina?

Przez chwilę słyszała wyłącznie nieartykułowane dźwięki. Nie naciskała, nie ponawiała pytań. Czekala, aż Elwira ochłonie na tyle, aby można było z nią porozmawiać. W końcu Marecka po raz ostatni pociągnęła nosem i zaczęła mówić:

– Rozstaliśmy się z Marcinem.

– Wiem, rozmawiałam z nim godzinę temu. Powiedział mi o tym.

– Mówił, co było tego powodem?

– Coś tam tłumaczył nieskładnie, że on przyszedł poprosić cię o rękę, a ty z nim zerwałaś i powiedziałaś, że nie chcesz mieć dzieci.

– Co za osioł! – zachnęła się Marecka. – Nie wiem, czy powinnam rozmawiać o tym akurat z tobą. Przecież to twój kuzyn. – Uświadomiła sobie

niezręczność sytuacji.

– Oj tam! A ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką i bardzo cię kocham – oświadczyła dobitnie pani Drawicz. – Nie bój się, nie powtórzę mu ani słowa. Nie będę też próbowała mediacji pomiędzy wami, o ile sama nie powiesz, że sobie tego życzysz.

Elwira westchnęła i pociągnęła łyk kawy. Przez chwilę grała na zwłokę. Udała, że delectuje się wątpliwej jakości naparem – żadna kawa świata nie mogła dorównać cappuccino, które przyrządzała Pati. W końcu, gdy chwila milczenia za bardzo się przedłużała, Marecka odłożyła filiżankę na stół.

– Tak właściwie, to chodzi nie tylko o Marcina, chociaż faktycznie zaczęło się od jego niezręcznych oświadczeń. Trochę mnie zaskoczył. Owszem, przypuszczałam, że kiedyś może to zrobić, w końcu spotykaliśmy się przez jakiś czas. Ale z drugiej strony wiem, że współcześni panowie wcale nie są szczególnie prędcy do tego, aby wkładać małżeńskie kajdany. No, oczywiście zdarzają się wyjątki, takie jak Klaudiusz. Ja jednak założyłam, że stan rzeczy, jaki był pomiędzy nami przez ostatnie pół roku, może potrwać jeszcze dość długo. No, bo sama wiesz, jaki jest Marcin... – Urwała i spojrzała wyczekująco na swojego gościa.

– Tak, wiem – potwierdziła Pati. – Wieczny chłopiec. Ma nieuleczalny syndrom Piotrusia Pana. Wciąż myśli o zabawie i małych figlach.

– Otóż to. Sama więc widzisz, że gdy bez ostrzeżenia przyszedł z kwiatami i padł przede mną na kolana, to mnie wcięło. Chciałam z nim spokojnie porozmawiać i wszystko mu wyjaśnić, ale on znowu nie słuchał uważnie tego, co mówię. Zasadniczo w ogóle nie pozwolił mi dojść do głosu. Po prostu wyszedł, nie dając nic sobie wytłumaczyć. Mężczyźni! – powiedziała z goryczą. – Izolda zaraz wygłosiłaby na ten temat stosowny komentarz.

– Och, Pati! Dobrze wiesz, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć Iza po prostu wyolbrzymia. Opowiesz mi o tym, co zaszło? Czego nie chciał wysłuchać Marcin?

Zapadła cisza. Nawet koty zachowywały się bezszelestnie, co nie należało do częstych zjawisk, bowiem o ile nie spały, to podejmowały różne dziwne akcje, wywołujące zazwyczaj harmider.

– Elwirka. Nie ufasz mi? – zmartwiła się Pati.

– To nie tak – westchnęła Marecka. Patrzyła zachłannie, jak przyjaciółka

głaszcząc swój pęczniejący brzuszec. W jej oczach zamigotały łzy. Jeszcze z nimi walczyła, zagryzając wargi. – Niełatwo o tym myśleć, a co dopiero mówić na głos.

– A może powinnaś w końcu to z siebie wyrzucić? Widzę, że coś cię gryzie i to bynajmniej nie od dziś i nie od wczoraj.

– Masz rację. – Łzy zwyciężyły. – To coś gryzie mnie od około dwudziestu lat.

– Od śmierci twoich rodziców?

– Tak. Tylko że tamtego dnia w wypadku zginęli nie tylko żywi ludzie. Umarły także istoty, które mogły przyjść na świat.

Pati spojrzała na przyjaciółkę. W jej głowie zrodziło się sensowne wyjaśnienie zawyłych słów Elwiry.

– Czyżby twoja mama była wtedy w ciąży? – zapytała, zerkając niepewnie na przyjaciółkę. Wyciągnęła dłoń i otarła łzy płynące po jej policzku.

– Nie. – Marecka pokręciła głową. – Chodzi mi o życie, które mogło powstać wiele lat później. We mnie.

– Chcesz powiedzieć... – Patrycja urwała. Słowa, które zamierzała wypowiedzieć, nie chciały przejść przez jej gardło.

Elwira załkała, zasłaniając usta dłonią. Przytaknęła ruchem głowy. Wielkie jak ziarna grochu łzy spływały z jej oczu.

– Tak – wykrztusiła w końcu. – Tamten wypadek okaleczył mnie na zawsze. Miałam tak pokiereszowane narządy wewnętrzne, że lekarze, aby mnie ratować, pozbawili mnie możliwości dawania życia. Rozumiesz? Nie mogę mieć dzieci. Nigdy! Umieram za każdym razem, gdy o tym myślę. Umieram, gdy patrzę na ciężarne kobiety. Umieram, gdy widzę matki popychające wózek z niemowlętami. Umieram, gdy widzę przedszkolaki odprowadzane przez rodziców. Umieram, gdy słyszę opowieści kobiet o ich dzieciach.

– Umierasz, patrząc na mnie – powiedziała Pati zbolalym głosem.

– Skłamałabym, mówiąc, że tak nie jest. Ale nie myśl, że czuję zawiść albo niechęć. Nie, Pati! Cieszę się razem z tobą twoim szczęściem – zapewniła. – Jesteś stworzona do tego, aby być matką, i wiem, że bardzo kochasz wszystkie wasze dzieci. Umieram tylko, gdy myślę, że ja też chciałabym poczuć pod sercem kielkujące życie.

- Moja maleńka. – Pati przygarnęła do siebie przyjaciółkę.
Elwira wtuliła twarz w jej ramię. Próbowała zapanować nad emocjami.
- Umieram z rozpaczy. A on... – wyszlochała – on nawet nie próbował wysłuchać tego, co mu chcę powiedzieć. Założył, że jestem pozbawioną uczuć macierzyńskich suką, która ot tak po prostu nie chce mieć dzieci!
- Och... Tak mi przykro – powiedziała Pati, z trudem powstrzymując łzy.
Jedyne, co mogła teraz zrobić, to przytulić przyjaciółkę ze wszystkich sił i pozwolić, aby wypłakała się na jej ramieniu.
- Teraz rozumiała te wszystkie dziwne spojrzenia, na których ostatnio przyłapywała Elwirę. Smutek w jej oczach. Drobne niedopowiedzenia. Przygnębienie.
- Poniekąd też była częścią jej cierpienia. Tak bardzo epatowała swoim macierzyństwem, obnosiła się z powstającym w niej życiem – a tymczasem biedna Elwira mogła tylko marzyć o tym, co dla Patrycji było sprawą niemalże oczywistą. Ona nie miała najmniejszego problemu z zajściem w ciążę. Kłopoty zaczęły się nieco później, ale dzięki interwencji lekarzy wszystko zmierzało ku szczęśliwemu rozwiązaniu.
- Obiecay mi coś – poprosiła Marecka przez łzy.
– Co tylko zechcesz – zadeklarowała Patrycja
– Nie rozmawiaj na ten temat z Marcinem.
– Ale dlaczego? Byliście taką fajną parą! Może gdybyś mu wszystko wyjaśniła...
- Nie! – przerwała jej Elwira. – To nie ma sensu. Nasza ostatnia rozmowa utwierdziła mnie w przekonaniu, że nie nadajemy na tych samych falach. Nie potrzebuję chłopczyka do niańczenia, lecz dojrzałego partnera. Chociaż tak właściwie, nie potrzebuję nawet partnera. Chcę być sama. To przynajmniej nie boli. Nikt mnie nie zawiedzie. Nikt mnie nie zrani. Po co mam zawracać sobie głowę facetami?
- Po to, żeby mieć kogoś bliskiego, z kim możesz spędzać wolny czas? – podpowiedziała Pati.
- Oni wypełniają mój wolny czas. – Elwira wskazała Cottona i Mambę dokazujących na dywanie. – Mężczyźni są absorbujący, a z randek nie wynika nic dobrego. Przecież i tak nigdy nie urodzę dziecka – westchnęła.
- Moje biedactwo. Jesteś bardzo dzielna. Przez tyle lat sama dźwigałaś ten

ciężar! Czemu nic nie powiedziałaś wcześniej?

– Nie chciałam rozdrapywać ran. Wmawiałam sobie, że potrafię wznieść się ponad to wszystko.

– Ale tak nie jest, prawda?

– Niestety. Wiesz... Chciałabym powiedzieć ci coś jeszcze. Coś, co zaczyna mnie przerażać. Mam wrażenie, że zaczynam wariować.

– Co? – zdziwiła się Pati. – O czym ty mówisz?! Jesteś najbardziej zrównoważoną i racjonalną osobą jaką znam.

Marecka pokręciła głową. Pociągnęła kolejny łyk kawy, a następnie z wielkim zażenowaniem wyznała:

– Ostatnio wciąż widuję małą dziewczynkę.

– No i co z tego? – Pati wzruszyła ramionami. – Świat jest pełen małych dziewczynek.

– Moja wygląda jak aniołek: śliczna buźka, złociste włosy. Nosi błękitne ubranka. Na oko ma mniej więcej sześć lat. Sęk w tym, że zazwyczaj pojawia się, gdy jestem sama, a potem po prostu znika w zaskakujący sposób. To niemożliwe, aby tak małe dziecko włóczyło się samotnie po Niepołomicach! Nie pozwoliłby na to żaden rodzic przy zdrowych zmysłach.

– Jakież wnioski?

– Halucynacje – stwierdziła rzeczowo Marecka.

– Jesteś pewna?

– Nie zapominaj, złotko, że pracuję w Klinice Zdrowia Psychicznego.

– No tak. Ale raczej nie powinnaś diagnozować samej siebie.

– To nie diagnoza. Ja po prostu wiem, że moja podświadomość dochodzi do głosu. Zawsze marzyłam o tym, aby mieć dziecko. Najlepiej córeczkę, chociaż prawdę mówiąc, urodziłabym każdą ilość, obojętnie jakiej płci. Ta dziewczynka jest projekcją moich marzeń, ot co. Wariuję. – Spojrzała z przygnębieniem na przyjaciółkę.

– Ale jesteś pewna, że to nie jest żywe dziecko?

– Absolutnie.

– Jak często ją widzisz?

– Trudno powiedzieć. Co jakiś czas. Średnio raz na dwa tygodnie, ale ostatnio trochę jakby częściej.

– Jest ciepło, więc dzieciaki więcej czasu spędzają na powietrzu –

zauważyła Pati.

– Ha! Ha! Ha! Mówisz, jakbyś nie miała w domu zgrai nastolatków. Jak często twoje ptaszki opuszczają gniazdko przed komputerem?

– No, różnie bywa – przyznała przyjaciółka.

Siłą woli zwalczyła pokusę, aby pogłaskać wypukły brzusek. Domyślała się, że za każdym razem, gdy robiła to na oczach Elwiry, musiała jej sprawiać nieumyślną przykrość. Zamiast tego wyciągnęła dłoń do Marcepana, który zapewne wciąż pamiętał, komu zawdzięcza obecną miejscówkę, gdyż jako jedyny z całej bandy kociarstwa zawsze przychodził, aby się do niej połączyć.

– A widzisz! – powiedziała z satysfakcją Elwira. – Jestem klasycznym przypadkiem sfiksowanej starej panny, która mieszka z kotami i gada z urojonymi dziewczynkami.

– Gadałaś z nią?

– Tylko raz.

– Czyli ona istnieje. – Pati odetchnęła z ulgą.

Na temat zwariowanych osobników mogłaby powiedzieć niejedno. Wszak pracowała w biurze z niejakim Teodorem, zwanym przez nią Pączkiem Erotomanem, który to w akcie desperacji, wywołanym przeraźliwą samotnością, uroił sobie, że jego żoną jest Małgorzata Foremniak.

Myśl, że ukochana przyjaciółka mogłaby wpaść w podobną paranoję, była przerażająca.

– Wątpię. To było tylko raz i to tuż po tym, jak walnęłam się w głowę.

– Ojej! Elwirka! A byłaś u lekarza? Zrobiłaś badania?

– Nie.

– O matko! No to na co czekasz? A co jeśli masz jakiegoś guza?

– Aż tak mocno się nie potłukłam. – Elwira machnęła dłonią lekceważąco, co Srebrzysty zaraz wykorzystał jako sygnał do zabawy i zaatakował rękę opiekunki. – *Paszoł won, sierściuchu!* – jęknęła kobieta i delikatnie zepchnęła agresora z kolan.

– Ale gadasz jak potłuczona – skwitowała Pati. – Masz zabierać dupę w troki i zasuwać do lekarza. To polecenie! – dodała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Wszak jako matka rodzona i przyszywana trójki nastolatków miała wprawę w dyrygowaniu.

– No dobra, dobra! – odparła wykrętnie Marecka. – Pójdę.

Wcale nie wybierała się do lekarza. Bo i po co?

– Wiesz co? Zastanawiam się, czy w tej sytuacji powinnaś jechać na obóz z dziećmiakami.

– W jakiej sytuacji? Chodzi ci o moje halucynacje?

– Między innymi. Głównie jednak myślę o zbędnym rozdrapywaniu ran.

– Oj tam!

– Jesteś pewna, że taki wyjazd nie przysporzy ci cierpienia? Przypominam, że sama kiedyś o tym wspomniałaś.

– Nie mogę wystawić Ani do wiatru.

– No tak. A gdybym znalazła kogoś na zastępstwo za ciebie?

Elwira spojrzała ze smutkiem na przyjaciółkę.

– Prawdopodobnie podkuliłabym ogon i została w domu.

– To nie jest żadne podkulenie ogona. W życiu trzeba kierować się nie tylko sercem, ale również rozsądkiem. Powinnaś wypracować sobie więcej asertywności. No, nie patrz tak na mnie. Trzeba słuchać starszych i mądrzejszych.

– Starszych? Phi! Jestem od ciebie młodsza jedyne o rok – zauważyła.

– To wystarczy.

– Baby to podłe stworzenia – bełkotał Marcin, chwając się na barowym stołku. – Tomek! – Skinął na barmana. – Jeszcze jedną ssseteczkę poproszę.

– Co za dużo, to niezdrowo, panie władzo – usłyszał w odpowiedzi. – Jak dowie się Elwira albo jej pokręcone przyjaciółki, to oberwiesz, chłopie, ile wlezie.

– Nosz pszesz mówię ci, że baby są wredne. Rozumiesz? Nie? Czego, kurde, nie rozumiesz?

– Nic nie rozumiem – odparł Tomek, który, jako że Niepołomice to mała dziura, gdzie wszyscy kojarzą wszystkich, znał zarówno Marcina, jak i Elwirę. Wiedział, że od jakiegoś czasu zastępca komendanta policji oraz psychoterapeutka z Kliniki Zdrowia Psychicznego mają się ku sobie. Wszak wypili już u niego niejedną kufel piwa i niejedną filiżankę kawy. Stanowili zgraną i nieźle dobraną parę, chociaż barman, jako uważny obserwator, dostrzegał dzielące ich różnice. A tych było sporo. Ale z drugiej strony jest powszechnie wiadomo, że przeciwieństwa się przyciągają. – Pokłóciliście się

z Elwirą?

– Nie. Właściwie to nie doszło do kłótni. Elwira sssię nie kłóci. Ona od rassu zrywa, nie mówiąc, o co konkretnie chodzi.

– Trochę to do niej niepodobne, stary. Znam ją od dość dawna i zawsze wydawało mi się, że to dość rzeczowa kobitka.

– Tesz tak myślałem. Polejesz mi?

– Nie powinienem. Masz dość.

– Nie chrzań. Polej.

– Co to, to nie! Podolski ma już dosyć! – Usłyszeli podniesiony głos kogoś trzeciego.

Mężczyźni obrócili się w bok i zobaczyli panią Biedrzycką. Kobieta ledwo panowała nad wzburzeniem.

– Kieliszek absyntu poproszę – zwróciła się do barmana. – A z tobą, robaczku, zaraz się rozmówię. Dojdiesz o własnych siłach do tamtego stolika – wskazała głową miejsce pod oknem – czy już całkiem się ululałeś?

– A czy szanowna pani ma przy sobie parasssolkę? – zapytał rezolutnie Marcin, który mimo spożytego alkoholu zachował zdolność celnego ripostowania.

– Dobra, widzę, że nie jest jeszcze aż tak źle. Chociaż lepiej pewnie byłoby rozmówić się z tobą na trzeźwo.

– Jassskółkę mogę zrobić – zadeklarował.

– Obejdzie się bez chwiejnych wyczynów. – Biedrzycka wzruszyła ramionami.

Mężczyzna wstał i dość pewnym krokiem ruszył w miejsce wskazane przez Hannę. Zdołał nawet odsunąć krzesło dla towarzyszącej mu kobiety, chociaż zrobił to niezbyt delikatnie. Zajęli miejsca przy stole. Barman przyniósł alkohol dla kobiety i szklanek zimnej wody dla Podolskiego.

– Zapewne twój żałosny stan oznacza, że nie dogadałeś się z moją wnuczką – stwierdziła kobieta, umoczywszy wpierw usta w ulubionym trunku.

– Nie, szanowna pani – przyznał Marcin, zerkając z obrzydzeniem na ciecz z plastrem cytryny, wypełniającą stojącą przed nim szklanekę. Domyślał się, że w owym płynie nie było ani kropli alkoholu, a on właśnie teraz potrzebował tego zbawienego specyfiku. – Wnuczka szanownej pani raczyła była mnie ssspławić.

– Nazwij mnie jeszcze raz szanowną panią, a popamiętasz. Mam przy sobie parasolkę i nie zawaham się jej użyć – zagroziła Biedrzycka. – Co się stało? Zerwała z tobą?

– Owszem. Bo to zła kobieta była.

– No, no! Tylko bez żartów. Co takiego zaszło, że doprowadziłeś się do tego pośladowania godnego stanu?

– A to Elwirka nic sza... znaczy się, tego, nic pani nie powiedziała?

– Nie. Przedwczoraj nie chciałam do niej dzwonić, żeby wam nie przeszkadzać podczas rozmowy, a wczoraj nie odebrała mojego telefonu. Myślałam, że jest po prostu zajęta. Właśnie się do niej wybierałam – oznajmiła. – Pomyślałam, że wstąpię tylko na jeden mały kieliszek – zaakcentowała dosadnie liczebnik – a tu masz ci los, taka niespodzianka! Powiesz mi, synu – zapytała łagodnym głosem – co się stało?

– Elwira na pewno pani powie – wymigiwał się od odpowiedzi.

– Owszem, powie. Ale mimo to, chciałabym również usłyszeć, co ty masz do powiedzenia w tej kwestii. Jak się zna zeznania obydwu stron, to łatwiej jest o rozsądzenie, kto zawinił. Wiesz, że bardzo cię lubię i dlatego zmartwił mnie twój widok.

– Co tu dużo mówić? Elwira ze mną zerwała. Poszedłem do niej przedwczoraj z kwiatami i pierścionkiem, a ona wyrzuciła mnie za drzwi.

– Tak po prostu? – zdziwiła się Hanna.

– No. A ja tak się ssstaralem. Nawet jej powiedziałem, że chcę mieć z nią dzieci, bo pszeszesz kobiety tylko na to czekają. – Czknął.

– Poczekaj... Oświadczyłeś się jej i prosto z mostu rzuciłeś ten tekst o dzieciach? – upewniła się kobieta.

– Nie inaczej.

– Kwintesencja subtelności – burknęła kobieta i jednym haustem opróżniła kieliszek. – *Kakoj durak!* Wcale się nie dziwię, że cię pogoniła. Miałeś z nią szczerze porozmawiać – przypomniała – a nie od razu walić z grubej rury. Panie starszy! – Kiwnęła głową na Tomka. – Jeszcze raz to samo. Zawaliłeś sprawę, synu – ponownie zwróciła się do Podolskiego.

– Owszem. Zakochałem sssię w niewłaściwej kobiecie. Elwirka mnie nie kocha, nie chce wyjść za mnie za mąsz i nie chce mieć dzieci. Karierowiczka jedna, o!

– Ejże, czegoś nie rozumiem. Jaka karierowiczka? Mówiła coś o pracy?
– Nie. Ale jak kobieta nie chce mieć dzieci, to tylko z jednego powodu: myśli wyłącznie o pracy. A jakby mnie kochała, to praca nie byłaby najważniejsza.
– Bredzisz. Wiem, że Elwirka jest trochę introwertyczna i niechętnie mówi o swoich uczuciach, ale na pewno nie uważa kariery za życiowy priorytet. Posłuchaj mnie, chłopcze: musisz koniecznie jeszcze raz z nią porozmawiać. Uwierz mi, że to wiele zmieni. Tylko wysłuchaj jej uważnie. Myślę, że moja wnuczka ma ci dużo do powiedzenia. Mądry chłopak jesteś, jeszcze się dogadacie. Najpierw jednak doprowadź się do przyzwoitego stanu. No, tylko nie zawal sprawy. – Poklepała go swoją suchą, pomarszczoną dłonią po rękę.
– Czas na mnie. Idę teraz zmyć głowę Elwirze.

– Elwirka, dziecko moje! – wysapała Hania w drzwiach.
Nie żeby zmęczyła ją wędrówka na pierwsze piętro, nic z tych rzeczy. Wszak miała świetną kondycję, skoro codziennie rano biegała po Puszczy Niepołomickiej, za nic mając utyskiwania sędziwych koleżanek, które uważały, że w jej wieku to po prostu nie przystoi. Zadyszka wynikała bardziej z przejęcia rozmową odbytą z Podolskim, pośpiechem i zdenerwowaniem, że wnuczka nader nierozważnie palnęła jakieś głupstwo.
– Dzień dobry, babciu – odparła młoda kobieta, wpuszczając ją do środka.
– Mogłaś po mnie zadzwonić, przyjechałabym do ciebie.
– Czy ja wymagam niańczenia? – zapytała wojowniczo starsza pani, zdejmując swój ulubiony letni kapelusz słomkowy ozdobiony liliową wstążką i gałązką sztucznego bzu.
– Eee... Nie.
– No to mnie nie niańcz. Ktoś inny wymaga troski – oznajmiła Biedrzycka.
– Coś się stało?! – wystraszyła się wnuczka.
– A stało się, stało – odparła babcia, mierząc ją baczным spojrzeniem. – *Szto u was takoj blednyj?* He? Pokaż no się, *diewoczka!* – Bezceremonialnie ujęła ją pod brodę i zajrzała głęboko w załzawione oczy. – *Poczemu sliozy?*
Elwira dobrze wiedziała, że jak babcia zaczyna mówić po rosyjsku bez używania przy tym słów uważanych powszechnie za niecenzuralne, nie mogło to oznaczać niczego dobrego. Dopóki tylko przeklinała, było dobrze.

Wplatanie rosyjskich zdań w na pozór zwyczajną rozmowę sygnalizowało wyraźnie, że należy zachować czujność. Detektor kłamstw, będący standardowym wyposażeniem spojrzenia Biedrzyckiej, na pewno wyłowiłby nieścisłość w słowach wnuczki.

– Rozstałam się z Marcinem. Błagam, babciu, nie rozmawiajmy o tym – powiedziała głosem zdławionym przez łzy.

– Tak, tak! A myślisz, że po co tutaj przyszłam, hę?

– O Boże – westchnęła Elwira. – A ja się wystraszyłam, że ktoś potrzebuje pilnie pomocy.

– A nie? – Babcia spojrzała na nią wymownie. – Spokojnie, wrócimy i do tego tematu.

– Oho, zapowiada się uroczy wieczór. Zapraszam do salonu. – Wskazała dłonią drzwi pokoju dziennego. – Czego się napijesz, babciu? Masz ochotę na kieliszek absyntu?

– Nie musisz silić się na ironię. I dziękuję, ale nie skuszę się już na alkohol. Wlałam w siebie dwie setki w Alter Ego.

– Nie! Serio?! Takie pijaństwo w biały dzień?

– Słuchaj no, dziecko, wywracanie kota ogonem na nic się tutaj zda. Już ja dobrze cię znam i wiem, że pod tym mało błyskotliwym dowcipem próbujesz ukryć swoje zmartwienie. Cóż, muszę ci oddać sprawiedliwość, twój sposób jest znacznie lepszy niż to, co wyczynia Podolski.

Biedrzycka podniosła Marcepana ze swojego ulubionego fotela. Spojrzała krytycznie na rude futro i dokonała szybkiej oceny, na ile kocia sierść może zaszkodzić amarantowej garsonce.

– Dobra, futrzaku, możesz zostać na moich kolanach – usadowiła się z kotem i podrapała go za uszami. – Odważny jesteś. Jedyne mężny przedstawiciel tego, pożałuj Boże, stada. – Usiądź przy mnie, wnusiu – zachęciła łagodnie Elwirę.

Młoda kobieta przysunęła drugi fotel bliżej miejsca zajmowanego przez Biedrzycką. Westchnęła ciężko. Babcia pokiwała głową i pogłaskała ją po policzku.

– No, to opowiadaj. Co wyście nawyczyniali, dzieciaki?

– Nic takiego. Marcin mnie zaskoczył. Wyobraź sobie, że wpadł z wizytą. Odziany był w białą koszulę i garnitur, co do niego jest absolutnie

niepodobne. Nadmieniam, że ja miałam na sobie wyświechtane gacie i starą, obficie obsierszczoną koszulę. Przytaszczył kopę kwiatów, padł z hukiem na kolana i ni z gruszki, ni z pietruszki zastrzelił mnie tekstem o zaobrączkowaniu się i rozmnażaniu.

– Mało romantycznie – zauważyła sceptycznie Hania.

– Palicho romantyzm. On nie ma go nawet za grosz. Chodzi o to, że nawet nie posłuchał tego, co mam do powiedzenia. Jak mu oznajmiłam, że nie mogę mieć dzieci, to po prostu poszedł.

– *Durak!* – oburzyła się starsza pani. – Jesteś pewna, że dokładnie tak to wyglądało? – upewniła się po chwili.

– Ależ oczywiście. Chciałam mu powiedzieć o wszystkim, ale nie dał mi szansy. Przecież nie mogłam prosto z mostu mówić o moich problemach. Taka rozmowa wymaga odpowiedniej atmosfery i sprzyjających warunków. A jak dobrze wiesz, przy tym błźnie trudno o powagę i podejmowanie trudnych tematów.

– Och... Przykro mi. A może jeszcze nie wszystko stracone? Może dałoby się to naprawić?

– Szkoda sobie zawracać głowę.

– Elwirka, dziecko! Nie mów tak. A ostatnie pół roku? Byliście tacy szczęśliwi! Fajna z was para.

– Może jednak zbyt fajna? Czy można budować związek w oparciu o niekończące się wygłupy? Niby śmiech to zdrowie, ale co za dużo, to też niezdrowo.

– Czy to naprawdę jedyna wada Podolskiego? – Hanna odpowiedziała pytaniem.

– Nie. Brakowało mu empatii. Rozumiem, że zawód, który Marcin wykonuje, wymaga od niego twardego charakteru, ale bez przesady. Czasami trzeba wczuć się w sytuację drugiego człowieka. A on zawsze brał pod uwagę tylko swój punkt widzenia.

– To przykre. Bardzo go polubiłam. Wydawało mi się, że nieźle do siebie pasujecie. Daruj mi, dziecko, to co powiem, ale on cię rozruszał. Zaczynałaś kapcaniec w staropanieństwie.

– I ty, Brutusie, przeciwko mnie?

– Nie przeciwko tobie. Po prostu czasem myślę, że twoje obecne życie to

wygodnictwo. Tak, tak: wygodnictwo! Nie próbuj przeczyć, bo wiem, że jest ci bardzo dobrze samej z czterema kotami w mieszkaniu i z piątym w głowie. Problem w tym, że jest ci dobrze teraz. Nie musisz się o nikogo troszczyć, masz niewiele obowiązków: nie gotujesz, mało pierzesz, nikt ci nie robi bałaganu.

– O nie! Nie zgadzam się! – zaprotestowała żywo Elwira. – Próbowiałaś kiedyś usunąć sierść z dywanu? Albo z wyjściowej kiecki?

– Owszem. Pablo IV często gubi sierść. Miewa także ubłocone łapy i zdarza mu się rzygać na dywan. Przed każdym wyjściem z domu muszę oczyścić ubrania z kłaków. Dobrze wiesz, że mnie chodzi o inny rodzaj obowiązków. Teraz jesteś wygodnica, ale za jakiś czas poczujesz się niezmiernie samotna. Ja nie będę żyła wiecznie. Przyjaciółki mają własne sprawy. Od gadania do kotów pomiesza ci się we łbie i tylko patrzeć, jak wylądujesz w tej swojej klinice jako pacjentka. Albo w Kobierzynie. Znam cię na tyle dobrze, aby wiedzieć, że podłapałaś pierwszy pretekst, który ci się nawinął do spławienia Marcina.

– Nieprawda! Ja z nim nawet nie zerwałam. To on wiercił mi dziurę w brzuchu o dzieci. Zranił mnie swoją bezmyślnością. Dobrze wiesz, że ich nigdy nie urodzę!

– Nie krzycz. Przerabialiśmy ten temat setki razy. To, że nie urodzisz, nie oznacza, że nie możesz być matką. Istnieje jeszcze coś takiego jak adopcja. Domy dziecka pękają w szwach.

– Wątpię, aby Marcin zdecydował się na taką opcję. On nie omieszkał wygłosić mądrości na temat potrzeby zachowania nazwiska. Ciągłość rodu, przekazanie genów i takie tam. – Wzruszyła ramionami.

– Dobry Boże! – Hania przewróciła oczami. – Mówisz tak, jakbyś nie była moją wnuczką. A inseminacja surogatki? Przecież brałaś pod uwagę również taką opcję. On miałby tę swoją krew z krwi i ciągłość rodu, a ty miałabyś dziecko. Wilk cały i owca syta. Elwirka, proszę... Daj mu jeszcze jedną szansę. Porozmawiaj z nim – powiedziała Hania, mocno ściskając dłoń wnuczki.

– Dlaczego aż tak bardzo ci na tym zależy?

– Bo nie chcę, żebyś podobnie jak ja została na starość sama. Tylko że ja jestem samotna z konieczności, a ty pakujesz się w to z wyboru. To mnie

bardzo boli, wiesz?

Wieści o rozstaniu Elwiry i Marcina rozniosły się bardzo szybko. Nic więc dziwnego, że przyjaciółki czym prędzej pospieszyły z pocieszeniem. Kilka dni po wizycie Pati do mieszkania Mareckiej zajrzała Ania. Ta, w przeciwieństwie do pozostałych osób, nie próbowała jej pocieszać, wieszając psy na podłym samcu, który przegryzł smycz i zwiął (Izolda i Jola), ani namawiać na kolejny związek (Pati i, o zgrozo, babcia Hania), tylko pokiwała głową ze współczuciem i przyznała jej rację.

– W sumie, to dobrze, że z nim zerwałaś. Jakiś taki niepoważny był. To też nie najlepiej rokuje. Prawdę mówiąc, uważam, że można doskonale funkcjonować w pojedynkę. Wiesz, zazdroszczę ci tego – powiedziała do bólu szczerze.

Nie obawiała się, że jej słowa sprawią przykrość przyjaciółce. Znała ją wystarczająco dobrze, aby o tym wiedzieć. I nie myliła się. Elwira faktycznie odetchnęła z ulgą, że nie będzie musiała wysłuchiwać uwag typu: *znajdziesz sobie kogoś innego, tego kwiatu jest pół świata* i innych podobnych mądrości. Z drugiej strony jej uwadze nie umknęła gorycz, jaką zaprawione były słowa Ani. Ona także postawiła na bezpośredniość:

– Robek?

– Tak, ale nie chcę zawracać ci głowy. Nie dzisiaj. Właściwie wpadłam przede wszystkim po to, aby ci powiedzieć, że Patka znalazła zastępstwo za ciebie. Na obóz może jechać jej siostra, Laura.

– Serio?

– Owszem.

– Nie będziesz miała do mnie żalu? – zmartwiła się Elwira. Przecież Ania nie знаła powodu, dla którego tak naprawdę nie chciała jechać z dziećmi. A ona nie miała siły na to, aby ujawniać tę rewelację całemu światu. Wystarczająco dużo emocji kosztowała ją rozmowa z Pati oraz z babcią.

– Kochanie! Nigdy w życiu. Doskonale rozumiem, że potrzebujesz choć odrobiny spokoju i wytchnienia. W sercu rewolucja, w pracy też masz dość emocji, przynajmniej wakacje powinnaś zafundować sobie spokojne. Patka ma rację. Już ona dobrze wie, co to znaczy mieć na głowie zgraję nastolatków.

– Uff... Całe szczęście, że to rozumiesz – odetchnęła Elwira. – Nie żebym aż tak potrzebowała spokoju do lizania ran – dodała asekuracyjnie na wypadek, gdyby przyjaciółka zechciała wystąpić w jakże niepożądanym roli anioła pocieszyciela – ale przyznaję, że marzę o wypoczynku w prawdziwej dzicy, w ciszy i spokoju. Chętnie zaszyję się na kilka dni w Bieszczadach.

– Dobry pomysł – pochwaliła Ania. – Masz jakieś konkretne miejsce na myśli?

– Owszem. Brat mojej znajomej ma pięknie położony hotel nad Jeziorem Solińskim. Chyba się skuszę. Wprawdzie nie planowałam urlopu już teraz, ale zrobiłam wczoraj rezerwację. Wyjeżdżam za kilka dni. Nie będzie mnie dwa tygodnie. Wystarczająco długo, abym poukładała sobie wszystko w głowie i wypoczęła. I tak mam w cholerę niewykorzystanego urlopu, więc mogłabym jeszcze skoczyć na ten twój obóz. Zdążyłabym wrócić na czas.

– Zapomnij o obozie. Jedź nad Solinę i wypoczywaj.

– Dzięki. A Robert? – Elwira wróciła do porzuconego wcześniej wątku. – Masz problemy małżeńskie? – Ujęła i lekko uściśniła dłoń Ani.

– Naprawdę chcesz tego wysłuchiwać?

– Od czego ma się przyjaciół?

Elwira pożegnała przedostatniego pacjenta. W planach miała jeszcze sesję z Korposzczurkiem, gdy telefon stojący na jej biurku zaczął natarczywie dzwonić.

– Marecka. Słucham.

– Pani doktor, Staszka z tej strony. Mam tu w recepcji jeszcze jednego pacjenta do pani. Prosi o wizytę, koniecznie dzisiaj. Twierdzi, że to pilne, bardzo mu na tym zależy i w ogóle wygląda, jakby miał zejść śmiertelnie, jeśli mu pani odmówi – zniżyła konspiracyjnie głos.

– Kto to taki?

– Jakiś nowy. Przyszedł pierwszy raz.

Elwira westchnęła. Nie mogła zostawić pacjenta w potrzebie.

– Okej. Proszę założyć kartotekę. Jeśli tak bardzo mu zależy, będzie musiał poczekać aż wyjdzie Korpo... Znaczący, aż wyjdzie pan Roman Tyczny.

Uzupełniała kartotekę po wizycie Korposzczurka, gdy zapukał, a następnie

uchylił drzwi gabinetu ostatni pacjent.

– Proszę wejść i usiąść – powiedziała Marecka, nie podnosząc głowy. – Za minutkę się panem zajmę.

– A mógłbym położyć się na kozetce? Tak to sobie zawsze wyobrażałem – usłyszała znajomy głos.

– Marcin? – Spojrzała na mężczyznę.

– Elwira.

– Co ty tutaj robisz?

– Przyszedłem na konsultację w sprawie złamanego serca.

– Od leczenia złamań są chirurdzy.

– Ale ty jesteś lekarzem dusz. Zawodową pocieszycielką strapionych.

Elwira mimo woli parsknęła śmiechem. Nie potrafiła zachować powagi w obecności Podolskiego. Nawet jeśli wciąż była na niego zła i czuła się skrzywdzona. Nawet jeśli z jego powodu przepłakała kilka nocy.

Jego poczucie humoru było niczym miód na serce.

– Lepiej się nie kładź – stwierdziła. – Usiądź.

Mężczyzna zajął miejsce naprzeciw niej.

– Jak się tutaj wdarłeś? – zapytała. – Mam zaraz kolejnego pacjenta.

– To ja jestem twoim następnym pacjentem. Przekupiłem Stasię Do Rany Przyłóż słoikiem neski, żeby nie ujawniła mojej tożsamości.

– Zamorduję zdrajczynię.

– To są groźby karalne, a ty wypowiadasz je w obecności stróża prawa. – Podolski znacząco uniósł w górę brwi. – Daruj jej życie. Zajmij się lepiej moim ciężkim przypadkiem.

– Co ci dolega?

– Serce.

– A dokładniej?

– Boli. Nie chce przestać. Jak mnie bolał ząb, to go wyrwałem. Ale z sercem tak nie można. No, bo jak tu żyć bez serca?

– Faktycznie, nierealne – z udawaną powagą przyznała mu rację. Chociaż pragnęła ją zachować, kąciki jej ust parły uparcie ku górze.

– Przepraszam cię. Jak zwykle nie wysłuchałem tego, co miałaś do powiedzenia – przyznał ze skruchą.

– No proszę. Pacjent dobrze rokuje. Jest szansa na wyleczenie, skoro widzi

problem.

– Tak. Możesz mi wyjaśnić, czemu nie chcesz za mnie wyjść? Wydawało mi się, że skoro się spotykamy i dobrze nam ze sobą, to naturalną kolejną rzeczą będzie małżeństwo i rodzina.

– Bingo. Rodzina. Czy w ogóle dotarło do ciebie to, co mówiłam o rodzinie? A raczej o dzieciach?

– No... Tyle, że nie chcesz ich mieć.

– Nie. Nie powiedziałam, że nie chcę, tylko że nie mogę.

– Na jedno wychodzi.

Elwira przewróciła oczami. Jakim cudem ten zakręcony człowiek awansował na zastępcę komendanta policji? Zawsze jej się wydawało, że to praca, która wymaga szczególnej czujności i wyłapywania niuansów słownych.

– Nie, Marcin. Między *nie chcę* a *nie mogę* jest zasadnicza różnica. Pamiętasz, jak opowiadałam ci o wypadku, w którym straciłam rodziców i odniosłam rozległe obrażenia?

Mężczyzna w milczeniu pokiwał głową.

– Tamten wypadek przyplącałam chyba najwyższą ceną, jaką może ponieść kobieta. Byłam tak bardzo poturbowana, że raz na zawsze utraciłam możliwość rodzenia dzieci. Oszczędzę ci krwawych szczegółów medycznych. Nie zajdę w ciążę. Nigdy. A rozumiem, że posiadanie dzieci jest dla ciebie priorytetem.

– Skłamałbym, mówiąc, że nie. Ale zależy mi na tobie, wiesz? Kocham cię. Nie mogę bez ciebie żyć. Może da się jakoś rozwiązać kwestię dzieci?

– Owszem, są sposoby. Problem w tym, że nie każdy jest w stanie je zaakceptować.

Marcin potarł się dłonią po czole. Jakiś czas temu, gdy przy okazji uchwalania ustawy o *in vitro* w mediach szeroko omawiano temat niepłodności, był przeciwnikiem takiej metody powiększania rodziny. Uważał ją za zbyt nienaturalną. Ale jeśli to miałyby ocalić ich związek, może powinien przełamać wewnętrzny opór?

– *In vitro*?! – ucieszył się, nie wiedzieć czemu. – Ja wiem, że to kosztuje, ale jestem gotów spróbować.

– Obawiam się, że w moim przypadku nie wchodzi w grę nawet *in vitro*. To

byłoby możliwe, gdyby problem dotyczył wyłącznie jajników lub owulacji. Mogłabym wówczas skorzystać z komórki dawczyni. Niestety, to nierealne. Bezdyskusyjnie. – Wykonała gest, jakby chciała zatrzymać go w miejscu, ponieważ otwierała usta, aby coś powiedzieć. – Nie będę dawać ci złudzeń, że możemy być biologicznymi rodzicami naszych wspólnych dzieci.

– No, ale mówiłaś, że są sposoby... – przypomniał.

– Owszem. Możemy skorzystać z surogatki.

– Surogatki?

– Matki zastępczej.

– O nie. Miałbym zrobić to z inną kobietą? – Skrzywił się z niesmakiem.

– W tym przypadku wcale nie musi dojść do zbliżenia. Znasz pojęcie inseminacji?

Mężczyzna przytaknął i skrzywił się z obrzydzeniem.

– To brzmi tak, jakbym miał być ogierem rozplodowym.

– Bo tak jest, niestety. – Nie pozostawiła mu złudzeń. – Jeśli to ci nie odpowiada, w grę wchodzi jeszcze jedno rozwiązanie – wyjaśniła. – Czy byłbyś w stanie pokochać cudze dziecko?

– Jak to: cudze? – wyraził zdziwienie.

– Drugi możliwy wariant, abyśmy byli pełną rodziną, to adopcja. Nadmieniam, że trzeciego rozwiązania nie ma.

– Adopcja?! Chyba żartujesz! – oburzył się Podolski.

To wystarczyło. Elwira nie chciała wiedzieć, co Marcin ma do powiedzenia w tej sprawie. Zakładała, że nic dobrego, i nie pomyliła się co do jego przekonań.

– Nie wyobrażam sobie, abym miał wziąć na wychowanie cudze dziecko. Skąd miałbym wiedzieć, jakie geny odziedziczyło po swoich przodkach? Czy ty w ogóle masz pojęcie, skąd biorą się dzieci w domach dziecka?

– Marcin! – przerwała mu. – Nie chcę tego słuchać!

– Zdajesz sobie sprawę, że przeważnie jest to potomstwo alkoholików lub przestępców? Niewiadomego pochodzenia dzieci prostytutek. Nosiciele patologicznych genów! – mówił, nie zważając na protesty Elwiry. – Nie wyobrażam sobie, abym miał wziąć pod własny dach kogoś takiego!

– Zamknij się! – wrzasnęła obcesowo.

Podziałało. Mężczyzna spojrział na nią z zaskoczeniem. Nigdy wcześniej

nie podnosiła głosu, uważał ją za uosobienie łagodności i stoickiego spokoju.

– Wynoś się w tej chwili! I nigdy więcej nie wracaj! Nie chcę cię tu widzieć! Nie po tym wszystkim, co powiedziałaś! *Paszoł won, durak!*

Nie czekając, aż mężczyzna wstanie, złapała torebkę i opuściła gabinet.

– Koniec pracy na dzisiaj – rzuciła w biegu do zaskoczonej recepcjonistki.
– Pacjent zaraz wyjdzie. Proszę zamknąć mój gabinet. Do widzenia, pani Stasiu.

– Do widzenia! – krzyknęła Stanisława za wychodzącą kobietą, lecz ta nawet się nie obejrzała. – Pali się czy co?

Elwira nie mogła zostać ani chwili dłużej, bowiem zdołała panować nad łzami tylko do tego momentu. Ledwo zamknęła za sobą drzwi kliniki, po jej twarzy popłynął prawdziwy strumień. Biegła na oślep przed siebie, aż dotarła do domu Patrycji. Nie przejmując się zaciekawionymi spojrzeniami trójki nastolatków, wpadła wprost w ramiona przyjaciółki.

O przebiegu rozmowy z Marcinem poinformowała babcię osobiście. Zadzwoiła do niej jeszcze tego samego dnia wieczorem. Opowiedziała wszystko ze szczegółami, aby uniknąć dalszego nagabywania przez Hanię w sprawie Podolskiego.

Strapiona Biedrzycka zadzwoniła po pomoc do swojej najlepszej przyjaciółki, Frani Melesiuk. Kobiety umówiły się w Alter Ego, chociaż w ciepły piątkowy wieczór prawdopodobieństwo spokojnej konwersacji było znikome.

Lokal pękał w szwach, lecz dla starszych pań szybko znalazł się nieduży stolik. Hania jak zwykle zamówiła kieliszek absyntu, Franciszka postanowiła zaszaleć i poprosiła Tomasza o kufel piwa z sokiem malinowym. W przeciwieństwie do swojej wiecznie wygłodzonej, niemal anorektycznej córki Izabeli, Frania nie żałowała sobie żadnych przyjemności. Tak na dobrą sprawę, jedną z nielicznych cech osobowości łączących ją z Izą było upodobanie do wygłaszania radykalnych poglądów pod adresem męskiej części populacji.

Frania bardzo sobie ceniła znajomość z Biedrzyką. Może nie była aż tak barwną postacią jak emerytowana pani ginekolog, ale niewiele ustępowała jej swoim stylem bycia. Brak wyższego wykształcenia nadrabiała tupetem

i poczuciem humoru, a zamiast barwnych garsonek i liliowego kapelusza z woalką nosiła stonowane fiolety, dostojne czernie i ulubione szarości. Panie łączyła wieloletnia przyjaźń, której historia sięgała jeszcze czasów powojennych. Przez wiele lat pomagały sobie w trudnych chwilach, razem wychowywały dzieci, a następnie dzieliły się radościami związanymi z posiadaniem wnuków. To Franciszka podtrzymywała Hannę na duchu, gdy ta straciła swoją jedyną córkę oraz zięcia, a życie Elwirki zawisło na włosku.

– Coś cię martwi? – zapytała bezceremonialnie Melesiukowa, gdy kelner przyniósł ich zamówienie.

– To co zawsze – westchnęła Hania. – Chodzi o Elwirę.

– Ano, to grubsza sprawa – oceniła Frania, ujmując w dłoń szklanekę. – Na frasunek dobry trunek – dodała, upijając łyk piwa.

– Zaiste – stwierdziła Hanka, wychylając na raz kieliszek absyntu. Szybko nawiązała kontakt wzrokowy z Tomkiem i kiwnęła głową, unosząc w górę szkło.

– No, to z czym mamy teraz problem? – zagadnęła przyjaciółka. Celowo rozciągnęła sprawę Elwiry w liczbę mnogą. Wszak wiadomo, że troska rozłożona pomiędzy dwie osoby staje się o połowę mniejsza.

– Dasz wiarę, że zerwała z Podolskim?

– Nie! Serio?!

– Owszem. Próbowałam interweniować i jakoś ich pogodzić, bo obydwójce cierpią, chociaż każde na swój sposób. Ona leje łzy w domowym zaciszu, on upija się w pubie. Mniejsza o to. Zmyłam głowę temu gamoniowi, dałam mu kilka dobrych rad i wysłałam go do niej. Miało być romantycznie, mieli się dogadać, a tymczasem *cziert kitom wsje*. Elwirka się zaparła, on znowu strzelił gafę. Nic już z tego nie będzie! – jęknęła rozpaczliwie. – Zostanie mi dziewczucha sama jak palec. Franka, poradźże co. Przecież to nie jest normalne, żeby dobrowolnie rezygnować ze szczęścia. Cóż za radość z bycia samemu?

– Eee... Ja tam bym się raczej zastanowiła, co za przyjemność z trzymania w domu chłopca? Skakać trzeba koło tego, znosić głupie wyskoki i niańczyć na każdym kroku jak małe dziecko. Niejedna mężatka chętnie pozbyłaby się tego *szczęścia*. – Cynicznie zaakcentowała ostatnie słowo. – Mało to teraz tych... jak im tam... singielek?

– Ach, Franita, co ty tam wiesz o życiu? – zachnęła się Hanka. – Zdajesz sobie sprawę z tego, jak przykro być samemu? Pewnie, jak człowiek jest młody i ma na głowie mnóstwo obowiązków, to marzy czasem o tym, aby spędzić parę dni lub chociaż godzin na bezludnej wyspie. Wtedy, gdy masz trzydzieści albo czterdzieści lat, to życie w pojedynkę jest jeszcze może znośnie. Pewnie i przy pięćdziesiątce da się wytrzymać. Ale gdy dzieci dorastają i wyfruwają z rodzinnego gniazdka, samotność przestaje cieszyć. Zaczyna być udręką. A moja biedna Elwirka nawet nie ma dzieci, które mogłyby umilić jej czas. Zostanie sama jedna jak palec, bo jak ja umrę, to kto się o nią zatroszczy? Koty? Nawet nie będzie miała do kogo ust otworzyć.

– Ano tak. Masz rację. Człowiekowi zawsze lżej, jak się wygada. No, bo to, co się dusi w środku, prędzej czy później dotrze do wątroby i wylewa się z człowieka goryczą. Biedactwo... Musi jej być ciężko, bez dwóch zdań. Co to za przyjemność, gdy jako jedynych słuchaczy ma się tylko koty? – W rozumieniu świata pani Melesiuk sprawna komunikacja międzyludzka była bezcenna.

– No widzisz? Czyli mam rację.

– Ano masz. Trzeba tę małą wydać za męża – skwitowała krótko Frania, siorbiąc przez słomkę piwo z sokiem malinowym.

– Ale za kogo? – jęknęła żałośnie Hanna. – Sama widzisz, że to uparte stworzenie. Już się cieszyłam, że może wyjdzie jej z tym całym Podolskim, a tu masz ci los! Nic z tego!

– A może to i lepiej, Haneczko? – skwitowała przyjaciółka. – Lepiej pomyśl, czy rzeczywiście pasowaliby do siebie. Wszak twoja Elwirka to wykształcona dziewczucha. Jej trzeba jakiegoś dochtóra, dla podtrzymania tradycji i prestiżu, a nie takiego łapserdaka, co to lata po wsi za złodziejami. Tyś jest lekarką, ona w sumie też. O czym będzie gadać w domu z policjantem? O jego traumatycznych przeżyciach z pracy? – Wzruszyła ramionami na zaakcentowanie swoich słów.

– No... W sumie to masz rację. Ten cały Marcin to właściwie kwalifikuje się na jej pacjenta, a nie partnera, ochlaptus jeden! – Zadygotała ze złości na wspomnienie ostatniego spotkania z zastępcą komendanta.

– A widzisz?

– Tak, tylko skąd ja jej wytrzasnę odpowiedniego wiekiem samotnego

lekarza? – westchnęła Biedrzycka.

– I kto to mówi?! Mało masz znajomych w branży? Ruszże mózgownicą, kobieto – powiedziała zajadle Frania.

Przez kilka minut Hanna usiłowała zmusić swoje szare komórki do wyteżonej pracy, hojnie wspomagając je przy tym swoją ulubioną piołunówką.

– Ty może nie żłop tyle tego paskudztwa – zmitygowała ją koleżanka – bo zaczynasz zielenieć na twarzy jak ten... no... Shrek. Jeszcze się porzygasz i zrobisz widowisko. Swoją drogą, łyknęłabyś normalnej wódki, jak przystało na praworządną Polkę.

– *Da, i tożę połowina russkoj krowi* – przypomniała Biedrzycka.

– Ha! Z takim pochodzeniem, moja droga, to ty powinnaś pić czystą gorzałę, na dodatek literatkami. Wiem, bo swego czasu pracował u mnie jeden ruski. Dom tynkował – wyjaśniła. – A co przy tym wódki wychłęptał, to jego. Pił ile wlezie, a trzeźwiutki był, jakby to była woda. No, łyknij może piwa dla odmiany. – Podsunęła przyjaciółce swój w połowie opróżniony kufel.

Hania skrzywiła się i ze wstrętem odsunęła naczynie. Nie żeby brzydziła się napić od Franki. Nic z tych rzeczy! Podczas okupacji niejedno obrzydlistwo zjadła lub wypła, nie krzywdując sobie, bo głód był zbyt silny, aby ulegać fanaberiom. Po prostu wiedziała, że absynt po zmieszaniu z piwem może wywołać rewolucje w głowie i żołądku.

Nagle doznała olśnienia.

– Mam! – wykrzyknęła z ekscytacją.

– Co masz? Mdłości?

– Nie. Mam doktora dla Elwirki. Singiel, znaczy się: samotny. Kulturalny, elegancki, zaradny. Był moim najlepszym stażystą. I co najważniejsze, mieszka niedaleko! Kiedyś wpadłam na niego tu, w Niepołomicach, i od słowa do słowa opowiedział mi co nieco o sobie. Ach! I przecież on pracuje w Elwirka! – Pacnęła się ręką w czoło.

– Ech, no to dupa zbita – stwierdziła sceptycznie Franka.

– Dlaczego?! – Biedrzycka nie traciła zapału.

– Ano dlatego, że skoro razem pracują, zapewne od dłuższego czasu, to znaczy, że nie są sobą zainteresowani.

– Ach, to nic! Franiu! Przecież można ich sobą zainteresować. Przedtem Elwirka była zajęta, bo spotykała się z tym huncwotem Podolskim, ale teraz nic nie stoi na przeszkodzie. Tylko jakby tu zachęcić tę małpę, aby się z nim spotkała? Nie umówię ich na randkę w ciemno, bo ona i tak pewnie nie pójdzie. Może powinnam zaprosić Krystiana w któryś dzień na kawę, a później zadzwonić do Elwiry i poprosić, żeby właśnie wtedy do mnie wpadła?

– Eee... – skrzywiła się Franciszka. – To bez sensu. Takie spotkanie to też jak randka w ciemno, tylko że jeszcze bardziej w ciemno. Jak jej nie uprzedzisz, że będzie u ciebie potencjalny narzeczony, to przyjdzie w byle łąchu i go odstraszy. Powinnaś ją uprzedzić, żeby się odszykowała jak należy.

– Jak ją uprzedzę, to nie przyjdzie.

– A bo ty masz złe podejście do sprawy. Nie możesz jej po prostu kazać? Przecież to twoja wnuczka. Jesteś jej opiekunem prawnym.

– Taa... Raczej byłam, póki nie osiągnęła pełnoletności. Przecież nie mogę rozkazywać dorosłej babie.

– To zastosuj szantaż emocjonalny. Powiedz jej, że umrzesz, jak nie przyjdzie.

– Zagranie poniżej pasa.

– No to ten... może spróbuj na Kmicica.

– Co: na Kmicica?

– No, wyswatać ich. Zapisz ją temu dochtórowi w testamencie razem ze swoją posiadłością.

– Czyś ty *zaszła z uma*?!

– Ale to doskonały pomysł. Mówię ci, Hanka, że poskutkuje. Co prawda na rezultat trzeba będzie poczekać, aż zejdziesz śmiertelnie, więc nie zobaczysz efektów, ale sama pomyśl, czy przepięknie położona i naszpikowana dziełami sztuki willa nie jest łąkowym kąskiem nawet dla takiego mężczyzny? A że prócz zanego legaciku jest jeszcze wnuczka do wzięcia, komu by to przeszkadzało? He? Wszak Kmicic połasił się na Oleńkę!

– Franka, jak pragnę zdrowia! Na mózg ci padło to piwo. Strzel se lepiej piołunówki, to oczyszcza umysł z głupich myśli, a aromat ziół pobudza czakramy.

Przez chwilę kobiety debatowały o wyższości swoich ulubionych trunków nad innymi napojami wyskokowymi. W końcu jednak wróciły do meritum.

– Powiem jej uczciwie, że chcę, aby poznała bliżej Krystiana – zdecydowała Biedrzycka. – Nie będę udawać umierającej. Nie będę także zapisywać nikomu niczego w testamencie, bo po mnie i tak dziedziczy tylko Elwirka. Nie jest głupią dziewczuchą, więc może weźmie pod uwagę głos rozsądku.

– Co?! Babciu, na litość boską! Mam się umówić z Greniem?!

– No, tak – odparła rezolutnie Hania.

– Nie ma mowy!

– Ale dlaczego? Podaj mi chociaż jeden powód. Zaznaczam, że ma być inny niż to, o co pokłóciłaś się z Podolskim.

– Bo nie! – odparła nadąsana kobieta, łapiąc za kark Cottona, który właśnie przemykał koło zajmowanego przez nią fotela. Przytuliła do siebie futrzaka, jakby chciała się nim osłonić przed atakiem babci.

– Nie podoba ci się? – dociekała Biedrzycka, dobrze wiedząc, że na to pytanie wnuczka nie odpowie twierdząco. Greń może nie był ósmym cudem świata, ale i niczego mu nie brakowało. Prezentował światu miłą dla oka powierzchowność, chociaż to i tak nie miało większego znaczenia. Hanna przez całe życie wpajała wnuczce, że przymioty ciała nie mogą brać góry nad walorami umysłu.

– Nie o to chodzi. Prawdę mówiąc, uważam, że jest aseksualny. Ani mnie ziębi, ani grzeje. Pod tym względem nie wyobrażam sobie związku z kimś takim.

– Och. – Hania wzruszyła ramionami i siorbnęła łyk niegazowanej wody mineralnej, gdyż po tym, jak dzień wcześniej uraczyła się w Alter Ego kilkoma kieliszkami absyntu, wciąż odczuwała pewien dyskomfort. – Fascynacja seksualna jest ważnym elementem w związku, ale nad nią można popracować. Chodzi mi o to, czy go lubisz jako człowieka.

O to także była spokojna. Według niej Krystiana po prostu nie dało się nie lubić. Jako stażysta był pełen pasji i zaangażowania, pilny, sumienny i obowiązkowy. Nigdy nie przyłapała go na lekceważeniu pacjentów, a jego takt i empatia były niemalże legendarne. Szarmancki wobec kobiet, uczynny

dla przyjaciół. Po prostu chodzący ideał. A że mu się życie osobiste nie ułożyło? Cóż, czasami tak bywa. Wszak Elwirka też była wspaniałą osobą, a marnowała się w samotności.

– Trudno to ocenić. Rozmawiałam z nim zaledwie parę razy w życiu.

– Jak to: pracujecie razem i nie gadacie ze sobą? – zdziwiła się Hania. – Czy wy, młodzi, potraficie jeszcze w ogóle rozmawiać, czy może porozumiewacie się już tylko przez Internet?

Elwira zmieszała się. Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, bo w gruncie rzeczy ten brak kontaktu z kolegą był poniekąd z jej winy. Stasia i Małgosia wciąż plotły różne głupoty na jego temat, chichotały, gdy przechodził obok, i w ogóle zachowywały się przy nim jak nieopierzone nastolatki. Zapewne Krystian słyszał niejedno i to mogło być powodem jego alienacji. Bo, musiała przyznać ze wstydem, Greń wyraźnie odstawał od pozostałego personelu kliniki, chociaż nie było ku temu absolutnie żadnego powodu. Podobnie jak ona posiadał spory pakiet udziałów w przedsiębiorstwie, nie był więc li tylko i wyłącznie pracownikiem. A gdy już raz poszła z nim na kawę, to przekonała się, że jest bardzo miły.

Ale nie dość miły, aby Hania mogła ich ze sobą swatać!

Elwira tak bardzo się zaperzyła i okopała na swoich pozycjach, że zrezygnowana babcia postanowiła złożyć oręż. Tymczasowo, rzecz jasna. Poprzysięgła sobie bowiem, że gdy ta uparta mała przyjedzie z urlopu, to ona wróci do uciętego tematu. Póki co sprawdzi, czy po pierwsze, Greń nadal pozostaje w stanie bezzennym, a po drugie, czy w razie czego zechciałby odmienić swój stan cywilny. A po trzecie, czy zechciałby tego dokonać, ślubując miłość po wsze czasy jej ukochanej wnuczce.

Musi tylko znaleźć jakiś rozsądny argument, który trafiłby do serca Elwirze. Wiedziała bowiem, że droga do mózgu Mareckiej wiedzie właśnie przez ten organ.

Fiona

Dwie walizki dosłownie pękały w szwach. Elwira, choć nie była z natury strojnisią, zapakowała na upragniony wyjazd wszystko, co tylko nawinęło jej się w ręce. Być może zrobiła to z głupiej zapobiegliwości – po prostu nie chciała, aby zaskoczyły ją jakieś nieprzewidziane warunki pogodowe lub sytuacje (nie wzięła pod uwagę jedynie intensywnych opadów śniegu, tornada oraz wizyty na królewskim dworze brytyjskim). Zapewne zbyt rzadko pozwalała sobie na prawdziwe wakacje, więc po prostu nie miała wprawy w pakowaniu.

– Nie, nie, nie! Mamba nie jedzie ze mną na urlop – powiedziała, wyciągając z niedomkniętej walizki czarną kotkę. Zanim zasunęła zamek, upewniła się, czy wśród ubrań nie ma dodatkowego futerkowego nadbagażu.

Stojąc pośród rozłożonych w pokoju dziennym pakunków, zastanawiała się, czy przypadkiem nie przeoczyła czegoś jeszcze. No, bo czy w bieszczadzkiej dziczy dokupi brakujące elementy garderoby? Albo kosmetyki? Albo książki, które zamierzała czytać, relaksując się na leżaku?

Tak naprawdę jednak do sterty toreb z chęcią dorzuciłaby jeszcze cztery transportery ze swoimi podopiecznymi. Albo chociaż dwa, gdyby udało jej się przekonać zwierzaki, że mogą podróżować parami, co byłoby niehumanitarne, zważywszy na odległość, którą zamierzała pokonać.

Nie miała wyboru, musiała zostawić swoich ulubieńców pod opieką Sary Janas, czyli córki Patrycji z pierwszego małżeństwa. Nie chciała obciążać tym babci. Zdawała sobie sprawę, że dla starszej pani przychodzenie do niej

dwa razy dziennie, aby побыć z kotami, może być uciążliwe. Sara uwielbiała zwierzęta, więc Elwira była spokojna o to, czy jej podopieczni pozostaną w dobrych rękach.

Z zadumy wyrwał ją dzwonek domofonu. To nastolatka przysłała po klucze od mieszkania. Elwira udzieliła dziewczynie ostatnich wytycznych, a następnie z żalem pożegnała swoich czworonożnych przyjaciół.

Koty nic sobie nie robiły z tego, że duża wyjeżdża. Skoro pozbawiła je rozrywki w postaci pakowania się do jej walizek, panujący w mieszkaniu rozgardiasz przestał je interesować. A że wychodziła? Cóż, nie pierwszy to i nie ostatni raz. Jak wychodzi, to wróci, byle nie zapomniała przynieść ze sobą świeżego mięska. Wołowinka może być. Albo tuńczyk. A najlepiej jedno i drugie. Niech więc lepiej da już spokój temu tarmoszeniu za kokardki i łzawym pożegnaniami. No.

Torby trafiły do mikroskopijnego bagażnika. Kobieta wsiadła do juke'a i zapięła pasy. Ostatni raz spojrzała w okna swojego mieszkania. Stojąca na chodniku Sara pomachała na pożegnanie.

– W drogę – westchnęła Marecka.

Cztery godziny później zatrzymała się przed malowniczo położonym hotelem. „Zacisze” wyglądało tak pięknie, jak opisywała to Daria, koleżanka, która poleciła Elwirze miejsce na wypoczynek. Kolorowa fasada budynku tonęła wśród intensywnej zieleni. Kilkadziesiąt metrów dalej, w promieniach zachodzącego słońca, migotała powierzchnia Soliny. W tafli jeziora odbijały się białe, wapienne skały.

– Trafiłam chyba do rajy – ucieszyła się Elwira.

Nie wątpiła, że w takim otoczeniu szybciej zapomni o utarczkach z Marcinem i wyleczy swoje lekko nadłamane serce. Wbrew temu, co uważali jej przyjaciele, aż tak bardzo nie cierpiała z powodu Podolskiego. Owszem, było jej smutno, bo skończyło się coś fajnego (właśnie tak określała to w myślach). Ale żeby zaraz rozpaczać i rwać włosy? Co to, to nie!

A może po prostu przywykła już do tego, że żaden związek nie rokuje? Bo wciąż zakochiwała się w nieodpowiednich mężczyznach: a to mężach Patrycji, a to znowu w nieodpowiedzialnych chłopcach cierpiących na syndrom Piotrusia Pana. Podolski nie był pierwszy. Prawdopodobnie nie był

także ostatni na tej liście, chociaż Elwira coraz częściej przyłapywała się na myśli, że ma już dosyć rozczarowań.

Objuczona bagażami wkroczyła do przestronnej recepcji.

Po dokonaniu wszystkich niezbędnych formalności zostawiła w pokoju walizki. Przebrana w lekką sukienkę, postanowiła pójść nad jezioro. Po drodze zajrzała do pubu, gdzie nabyła kufel piwa z sokiem malinowym. Nie miała sił na dalekie spacer, cztery godziny za kółkiem dały się odczuć niemiłym skurczem łydki. Usiadła więc na ławce i z przyjemnością powiodła wzrokiem po roztaczającej się przed nią panoramie.

– Muszę podziękować Darii za namiary na to miejsce – stwierdziła. – I za rabat – dodała od razu, bowiem koleżanka nie tylko poleciła jej „Zacisze”, ale również załatwiła zniżkę na pobyt.

Z błogą miną wyciągnęła nogi i pociągnęła łyk piwa. Nagle jej uwagę przykuł ruch pomiędzy drzewami. Wyteżyła wzrok. W oddali mignęły jasne włosy i niebieskie ubranko. Kobieta wytrzeszczyła oczy, a potem westchnęła ciężko. Pomyślała, że to nie tylko przemęczenie pracą. W pojawiającej się postaci dziecka widziała ucieleśnienie swoich największych tęsknot.

Tak dalej być nie może. To chyba odpowiedni moment na konsultację z psychiatrą.

Ponure przemyślenia Elwiry przerwał dźwięk dzwonka. Zerknęła na wyświetlacz smartfona. Skrzywiła się z niesmakiem, widząc, że niepokoje ją Marcin. Bez namysłu odrzuciła połączenie. Nie miała ochoty z nim rozmawiać. Przyjechała na urlop, a jej humor już i tak zdążyło popsuć to okropne przywidzenie. Nie zamierzała dołować się dodatkowo, tracąc czas na sprzeczki z byłym chłopakiem. Wątpiła bowiem, aby mogła osiągnąć porozumienie z Podolskim. Po tym, co ostatnio od niego usłyszała, nie mieli sobie już nic do powiedzenia.

Przez cały następny dzień Marecka uporczywie ignorowała prześladowającą ją postać dziecka. Bała się myśli o tym, że z jej umysłem jest coraz gorzej. Halucynacje występowały znacznie częściej. Nie mogła oszukiwać samej siebie: zjawisko zdawało się osiągać apogeum. Nie pomagało udawanie, że nic nie widzi, ani zaciskanie powiek. Gdzie tylko spojrzała, widziała ubraną na niebiesko dziewczynkę z jasnymi włosami. Nic więc dziwnego, że gdy

nazajutrz rano wpadła na nią, idąc hotelowym korytarzem, najpierw podniosła tyłek z dywanu, a później zaczęła krzyczeć.

Nie zauważyła dziecka wcześniej, gdyż akurat zadzwonił jej smartfon. Mimo że Elwira domyślała się, kto dzwoni – Podolski przypuścił na nią dość intensywny szturm – zerknęła na wyświetlacz. Miała rację, rzeczywiście był to Marcin. Zagapiona w ekran, dumiała nad tym, czy odebrać połączenie. Właściwie skłaniała się ku temu, aby to zrobić i raz na zawsze spławić natręta. Najpierw więc usłyszała tupot, później poczuła silne uderzenie w brzuch, które ścięło ją z nóg, a na koniec, gdy podniosła wzrok, zobaczyła swojego demona prześladowczego. I nieważne, że demon miał blond loczki związane w dwie sprężynujące kitki, wielkie niebieskie oczy oraz buzię aniołka. Elwira wpadła w panikę, bowiem co innego jest ulegać halucynacjom, a co innego zderzać się z nimi na korytarzu.

W to, że dziewczynka jest przywidzeniem, nie wątpiła. Już od dłuższego czasu widok dziecka prześladował ją w Niepołomicach. To jeszcze było do racjonalnego wytłumaczenia, dziewczynka mogła tam mieszkać. Ale skąd wzięłaby się również na jej wakacjach?!

Kobieta błyskawicznie zerwała się na równe nogi, co przy jej ograniczonej sprawności ruchowej było imponującym osiągnięciem. Ostatnim przytomnym spojrzeniem obrzuciła wyświetlacz smartfona. Na szczęście zewnętrzna pamięć operacyjna Elwiry nie uległa uszkodzeniu. (No, bo jak inaczej można nazwać urządzenie, bez którego nie sposób funkcjonować?) Schowała telefon do kieszeni. Potem znowu przeniosła wzrok w miejsce, gdzie przed chwilą ujrzała zjawę, i krzyknęła. Halucynacja nie zdematerializowała się w czasie, gdy ona dokonywała oględzin aparatu.

– Ojej – zmartwił się najpiękniejszy upiór świata. – Aż tak bardzo boli cię pupa?

– Aaa! – wrzasnęła ponownie Elwira, uskakując krok w tył. – Że co? Ty nie możesz do mnie mówić!

– No tak, przepraszam – odparł majak. – Tatutek wciąż mi powtarza, żebym nie rozmawiała z nieznanymi.

– Boże! Ale kanał... Zjawa, która ma nawet tatutka! – jęknęła Marecka, spoglądając podejrzliwie na dziecko.

– Eee... Yyy... Co? – Dziewczynka wyraziła zdziwienie.

– Nie mówi się *co*, tylko *proszę* – poprawiła ją odruchowo kobieta, szczypiąc się jednocześnie w ramię. – A kysz! Znikaj, no już!

– No, to akurat nie było grzeczne – zauważyło widziadło. – Przepraszam, że na ciebie wpadłam, ale się rozpędziłam i nie zdążyłam wyhamować. Ale żeby tak od razu kazać mi zniknąć... – Pociągnięcie noskiem zdobnym kilkoma piegami było aż nazbyt wymowne.

– Ej, no tylko czasem nie zacznij płakać. Nie znam się na pocieszaniu strapionych zjaw.

– Kogo? – Jasne brwi małej uniosły się w górę. – He, he, he! Myślisz, że jestem duchem?

– A nie? – *O matko, gadam z halucynacją*, jęknęła w duchu Elwira, a na głos dodała: – No, bo niby co robisz nad Soliną, he? Mało ci, że nawiedzasz mnie w Niepołomicach? Musisz pojawiać się również tutaj? Znikaj, zjawo! A kysz, kysz!

– Fiona. Mam na imię Fiona – odparła dziewczynka, wyciągając rękę do Mareckiej. – Jestem tu na wakacjach.

– O nie, nie! – Kobieta uskokczyła jeszcze jeden krok w tył. – To ja jestem tu na wakacjach, a ty jesteś tylko w mojej wyobraźni.

– Nie jestem w twojej wyobraźni. Jestem prawdziwa! – Mała tupnęła nogą.

– Bujasz!

– Nie!

– Tak!

– Nie! No, uszczyp mnie, niedowiarku! – Nadstawiła rękę i dodała – Bo ty już tak się poszczypałaś, że masz siwe ramię.

Wciąż nieufna kobieta zbliżyła się do dziecka. Ostrożnie, jakby faktycznie miała do czynienia z nadprzyrodzonym zjawiskiem, wyciągnęła dłoń i dźgnęła palcem wskazującym w stronę dziecka. Palec napotkał na opór, co w sumie jej nie zaskoczyło: wszak przed momentem zderzyła się z tym... hm... wytworem wyobraźni. Do tej pory bolał ją brzuch po kolizji. Elwira jeszcze kilkakrotnie pomacała ramię dziewczynki.

– Więc mówisz, że jesteś prawdziwa. I masz na imię Fiona... – powiedziała sceptycznie. – Ha! Bujasz! Nie ma takiego imienia! – wykrzyknęła triumfalnie.

– No... Nie ma. Bo tak naprawdę mam na imię Iwonka, ale tatutek mówi na

mnie Fiona. I serio jestem prawdziwa. Jak nie wierzysz, możesz mnie dotknąć jeszcze raz.

– Obejdzie się bez dotykania. Skoro faktycznie istniejesz, to powiedz mi, co tu robisz? – drążyła temat Elwira. – Nie powinnaś być w Niepołomicach?

– Nie, bo przyjechałam na wakacje z Janeczką. Wierzysz mi już czy nie? – Spojrzała wyczekująco na kobietę. Ponownie wyciągnęła rękę – Fiona. Albo Iwona, jak wolisz.

– Okej, Fiona. Mam na imię...

– Elwira. Wiem.

– Boże! – jęknęła Marecka. – Skąd?

– No bo wiem i już. I wiem, że masz cztery koty: Mambę, Cottona, Przemka i Marcepana. Acha. Jeszcze coś: wiedziałam, że będziesz tutaj na wakacjach. I dlatego zmusiłam tatutka, żeby mnie tu przysłał.

– Słowo daję, że jeszcze chwila i zejdem na zawał – burknęła Elwira do samej siebie.

– Ojej! Dorośli są beznadziejni. Nie zamierzam cię reanimować. Chodźmy lepiej na pole, bo tu jest gorąco – powiedziała uroczą gwara krakowską, po czym bezceremonialnie złapała Elwirę za rękę i pociągnęła w stronę wyjścia. – Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

– Reanimować jak już – skorygowała odruchowo Elwira. *Są dwie opcje, pomyślała. Albo już do reszty zwariowałam, albo spotkałam najcudacniejsze dziecko świata.*

Tak czy inaczej dała się zaprowadzić Iwonce na ławkę nad brzegiem Soliny.

– Okej, powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi? Czy ty mnie szpiegujesz? – zapytała rozbawiona Marecka, gdyż sama myśl o tym, że kilkuletnie dziecko tak bardzo namieszało w jej mózgu, wydała jej się niedorzeczna. Wszak jeszcze parę minut wcześniej myślała o tym, że powinna odwiedzić jakiegoś kolegę po fachu.

Dziewczynka przewróciła oczami, zrobiła kaczy dzióbek, a następnie przygryzła dolną wargę.

– Eee... No... Tego...

– Kwintesencja konkretności.

– Że co?

– Nie mówi się *co...*

– Wiem, wiem – przerwała jej – tylko *proszę*. To już sobie wyjaśniłyśmy.

Co to jest kwiteksencja?

– Kwintesencja – poprawiła Elwira. – Sedno sprawy, coś istotnego.

– No dobra. Kumam.

– No, to jak jest z tym szpiegowaniem?

– Eee... Tak. Trochę cię szpiegowałam.

– Och! Ale w jakim celu? – zdziwiła się kobieta. – Ktoś ci kazał? Nie jesteś za mała na takie akcje?

– No właśnie, że nie. Wcale nie jestem mała. Mam już sześć lat. Niedługo idę do pierwszej klasy.

– Tak. I samotnie włóczysz się po Niepołomicach i Bieszczadach, szpiegując obce kobiety.

– Nie obce – skorygowała dziewczynka. – Przecież ja wiem, jak ty masz na imię, ty wiesz, jak ja mam na imię. Więc się znamy. No i wiem, że nie zaczyna się zdania od *więc* – uprzedziła od razu Elwirę. – Jejku! Dorośli bywają straszni! Posłuchaj mnie, dobra?

– Nic innego nie robię – zauważyła Marecka. – Dlaczego za mną chodzisz? I w ogóle jak ci się to udaje? Gdzie są twoi rodzice? Dlaczego pozwalają, abyś kręciła się bez opieki?

– Nie jestem bez opieki. Teraz jestem z tobą. No, nie rób takiej miny. Jak tatutek jest w pracy, to zwykle opiekuje się mną pani Janeczka. Ona mieszka niedaleko ciebie i czasami pozwala mi chodzić na lody albo ciastka do cukierni. To dlatego na ciebie wpadam. Ale nie tylko. Bo czasami spotykam cię specjalnie. Bo wiesz, jak już raz cię spotkałam, w zimie, pamiętasz? – Elwira przytaknęła ruchem głowy. – To później mi się przyśniłaś i powiedziałaś, że jestem twoim aniołkiem. A anioły przecież opiekują się ludźmi, prawda? No a ja zauważyłam, że bywasz smutna. Siedzisz na balkonie i gadasz ze swoimi kotami. I pomyślałam sobie, że musisz być fajna, bo lubisz koty, ale powinnaś się częściej uśmiechać. Bo często, gdy nikt nie patrzy, wycierasz oczy. Czemu płaczesz, jak jesteś sama?

To pytanie zaskoczyło Elwirę. Nigdy w życiu nie pomyślałaby, że ktoś może zauważyć, jak roni łzy, siedząc na balkonie. W takich chwilach wydawało jej się, że jest najbardziej samotną osobą świata.

Czy rzeczywiście robiła to aż tak często?

I jak to możliwe, że jej łyzy zauważyła obca dziewczynka?

– Płaczę, gdy jest mi smutno.

– Mnie też jest czasami smutno – powiedziała Iwona – ale tatutek mówi, że nie można się mazgać, bo jestem już duża. I powinnam być dzielna. No i staram się być dzielna, bo przecież mam jego i panią Janeczkę, i babcię Wandzię, i babcię Józję – wyliczała. – I teraz jeszcze mam ciebie. No, bo właśnie dlatego tak bardzo chciałam tutaj przyjechać, żeby w końcu z tobą spokojnie pogadać. Bo w Niepołomicach ty wciąż się spieszysz i nie masz na nic czasu.

– Skąd wiedziałaś, że tu będę? – zapytała Elwira. Jak do tej pory, wszystko to, co mówiła dziewczynka, wydawało jej się tak nieprawdopodobne, jakby faktycznie miała do czynienia z halucynacją.

– Byłam na lodach w Alter Ego i ty siedziałaś tam z taką panią, co miała długie rude włosy. Gadałyście tak, że na nic nie zwracałyście uwagi. Nie zauważyłaś mnie nawet wtedy, gdy po cichutku się zakradłam i dałam nura pod wasz stolik.

– Co?!

– No, weszłam pod stół i... ja... No wiesz... No... Podśluchiwałam. – Zrobiła skruszoną minkę. – I wiem już, dlaczego byłaś smutna. Bo ten wielki policjant okazał się nieodpowiedzialnym dzieciuchem – powtórzyła zasłyszane słowa.

Elwira rozdziawiła usta ze zdumienia. Nie zdobyła się na żaden komentarz.

– No i usłyszałam, jak rozmawiałaś z panią Darką o „Zaciszu”.

– Z Darią. Ona ma na imię Daria.

– No przecież mówię, że Darka.

– Nie Darka. Daria – Elwira jeszcze raz skorygowała imię koleżanki.

– Oki. Może być. – Mała wzruszyła ramionami. – No, to żeby nie zapomnieć, od razu sprawdziłam w smartfonie, czy jest taki hotel nad Soliną. I powiedziałam tatutkowi, że ja muszę koniecznie tu przyjechać – wyjaśniła, jakby takie wyjazdy były sprawą oczywistą.

– Aha. – Marecka pokiwała głową. – I ten twój *tatutek* się zgodził? Tak bez zastrzeżeń?

– No tak! Bo jestem jego małą księżniczką. To znaczy, nie myśl sobie, że

ze mnie taki rozwydrzony bachor i dostanę wszystko, nawet gwiazdkę z nieba! O nie! Tatutek aż tak mnie nie rozpieszca. Ale ja użyłam podstępu, żeby go przekonać – dodała konspiracyjnie i rozejrzała się na boki, jakby w obawie, aby nikt ich nie podsłuchał. – Powiedziałam mu, że pani Janeczka marzy o wczasach nad Soliną. No, bo w końcu coś jej się należy za ten trud, który wkłada w opiekę nade mną, nie? – Pytanie było, rzecz jasna, retoryczne. Mała papla już trajkotała dalej. – Oczywiście najpierw pokazałam pani Janeczce „Zacisze”, bo znalazłam je w Internecie. I oczywiście jej się spodobało, więc nie okłamałam tatutka, mówiąc, że chciałaby przyjechać właśnie tutaj. No i oczywiście podziało.

– Sprytna jesteś – przyznała kobieta. – Nadal jednak nie wiem, dlaczego to wszystko robisz.

– Bo tak mi kazałaś.

– Ja? – Zdumienie Elwiry było już bezgraniczne.

– Tak, ty. Śniłaś mi się kilka razy i za każdym razem mówiłaś, że jestem twoim małym aniołkiem i beze mnie jest ci smutno. No to jestem. – Rozłożyła ręce.

– Czyli jednak zwariowałam – westchnęła Elwira. – Bo przecież to wszystko jest po prostu niemożliwe. Ty nie jesteś prawdziwa, a ja gadam do wytworu mojej wyobraźni.

– Aaa! No ja nie mogę! Uwierz mi w końcu! Mam cię ugryźć czy co?!

– O nie! Tylko mnie nie gryź!

– A wierzysz mi?

– Eee... Tego. Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Ja nie mogę! Co mam zrobić, żebyś mi uwierzyła?

– Przedstawić mi swoich rodziców? – odpowiedziała pytaniem Elwira.

– No, tego to raczej nie da się zrobić. Tatutek został w domu.

– A mamutka? – zapytała ironicznie Elwira.

– Mamusia jest u aniołków – odparła ze stoickim spokojem dziewczynka.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Moja mamusia nie żyje – weszła w zdanie Mareckiej. – Mogę ci przedstawić jedynie panią Janeczkę. Ona jest bardzo fajna. I powiedziała mi kiedyś, że ty jesteś zawodową pocieszycielką strapionych. Dlatego bardzo cię lubię. Bo chociaż sama jesteś smutna, to potrafisz pocieszać innych.

I pomyślałam, że może uda ci się pocieszyć mnie i tatutka. Właśnie dlatego za tobą chodziłam. – Elwira w końcu usłyszała odpowiedź na dręczące ją pytanie.

– Ach tak! A co na to pani Janeczka?

– Pani Janeczka nie wiedziała, że za tobą chodziłam. Pewnie by jej się to nie spodobało. Przepraszam, że tak cię wystraszyłam – dodała. – Nie jestem wytworem twojej wyobraźni. Serio!

– Jesteś najbardziej niesamowitą istotą, jaką spotkałam w całym moim życiu – przyznała Elwira. – Nie wiem, jak tobie, ale mnie jest strasznie gorąco – zmieniła temat. – Masz ochotę na lody?

– Uwielbiam lody!

– Może przy okazji poszukamy tej twojej pani Janeczki. Pewnie się o ciebie martwi – zreflektowała się kobieta. Miała ogromną ochotę, aby zweryfikować cudaczne zeznanie dziecka.

– Eee... nie! Powiedziałam jej, że pójdę zobaczyć, czy już wstałaś. Dopuszczałam ją do sekretu i ona wie, że jestem tu po to, żeby się z tobą spotkać. No, bo w Niepołomicach nie było okazji. Kiedyś chciałam przyjść do twojego gabinetu, ale Janeczka mi nie pozwoliła. Powiedziała, że mam ci nie przeszkadzać w pracy. I że w ogóle nie wolno mi ciebie zaczepiać na ulicy.

– Dobra, chodźmy lepiej na te lody – zdecydowała Marecka, podnosząc się z ławki.

Jakby w odpowiedzi na wcześniejsze słowa Elwiry, z oddali dobiegło nawoływanie:

– Iwonka! Iwonka! Gdzie jesteś, dziecko?!

Mała odwróciła się i zaczęła machać rękami.

– Tu jestem! Już idziemy! – krzyknęła i puściła się biegiem w stronę swojej opiekunki.

– Dzięki Bogu. – Elwira odetchnęła z ulgą. Mimo oszołomienia uwierzyła, że to dzieje się naprawdę. Przecież halucynacja nie mogłaby się rozmnożyć i ewoluować w postać kobiety w wieku przedemerytalnym. – Uff... Co za dzień!

Ruszyła w ślad za dzieckiem. Poczucie odpowiedzialności wymagało, aby zamieniła choć kilka słów z panią Janeczką. Zresztą ta mała tak bardzo

rozbudziła jej ciekawość, że Marecka na śmierć zapomniała o powodzie swojego przyjazdu nad Solinę.

Stłuczony tyłek dawał jej się nieco we znaki, podobnie jak noga, na którą wciąż utykała. Dowlekła się więc do Iwony i starszej pani długo po tym, jak dziewczynka zawisała na szyi przyszywanej babci, trajkocząc jej coś na ucho. Elwira widziała, jak kobieta kiwa głową ze zrozumieniem i spogląda w jej stronę.

– Dzień dobry. – Wyciągnęła rękę do żwawej, na oko sześćdziesięcioletniej pani. – Elwira Marecka.

Przyjrzała się bacznie siwowłosej, lecz zadbanej kobiecie. Janeczka sprawiała wrażenie ciepłej, pogodnej osoby. Wokół jej oczu widniały kurze łapki, które, podobnie jak skierowane ku górze kąciki ust, świadczyły o tym, że na jej twarzy często gości uśmiech. Spojrzenie też miała figlarne, zdradzające naturę żartownisi.

To dobrze – pomyślała Elwira. Dzieci nie powinny przebywać z ponurakami. Nic dziwnego, że ta mała jest taka rezolutna.

– Dzień dobry. Wiem, wiem. Mieszkamy niemalże po sąsiedzku. Janina Nowak.

– Bardzo mi miło. A gdzie pani mieszka, jeśli można zapytać?

– W ceglany domku naprzeciwko pani okien.

– Coś takiego! – zdziwiła się młodsza kobieta. – Mieszkam tam już parę lat i nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi. Nie widziałam także Iwonki.

– Ach, kto by tam zwracał uwagę na stare baby. Pani wciąż zabiegana, tylko wieczorami widzę, jak świeci się światło. A Iwonka nie mieszka u mnie. Opiekuję się nią po odebraniu jej z zerówki. Wcześniej dojeżdżałam do jej domu, ale odkąd chodzi do szkoły, jest nam wygodniej, gdy popołudniami przebywa u mnie. Później wpada po nią ojciec i zabiera ją do domu. Mam nadzieję, że ta trajkotka nie dała się pani we znaki – powiedziała ze skruchą.

– Eee... nie – odparła wymijająco Elwira.

Przecież nie mogła opowiedzieć tej miłej kobiecie, jak nieomal zesłała na zawał serca, myśląc, że rozmawia z własnymi halucynacjami. Nie chciała wyjść na wariatkę. Było nie było, Niepołomice to mała dziura, więc wolałaby uniknąć plotek na swój temat. Oczyma wyobraźni już widziała, jak ludzie

gadają między sobą, że doktorka od fiksacji sama sfiksowała.

– Ach, bo wiesz pani, to jest takie żywe srebro! Wszędzie jej pełno. Zagadałaby człowieka na śmierć. Jakby dawała się pani zbyt mocno we znaki, to proszę powiedzieć. Ja wiem, że ona jest wszędobylska.

– Nic nie szkodzi – stwierdziła Elwira, której poczucie ulgi, że nie jest stuknięta, wzięło górę nad konformizmem. Teraz, gdy już była spokojna o swoje zdrowie psychiczne, musiała przyznać, że intrygowały ją poczynania dziewczynki.

– Niestety, jej ojciec dojedzie do nas dopiero na następny weekend. Mała świata poza nim nie widzi, więc wtedy na pewno nikomu nie będzie zwracała głowy.

– Proszę się nie martwić. Do tego czasu chętnie pozwolę zwracać sobie głowę – odparła Marecka, gdyż liczyła na to, że spędzi jeszcze trochę czasu z Iwonką i pozna bliżej motywy jej postępowania.

– A lody? – Dziewczynka uznała za stosowne przerwanie tej konwersacji. Pociągnęła Elwirę za rękę, drugą dłonią złapała Janeczkę. – No, chodźcie, ja stawiam. Tatutek dał mi kieszonkowe na drobne przyjemności – pochwaliła się swoimi zasobami.

Cała trójka powędrowała do hotelowej kawiarni. Wbrew szczerym chęciom małej Elwira nie zgodziła się na pokrycie przez nią rachunku i sama zapłaciła za zimne smakołyki. Z przyjemnością słuchała uroczej paplaniny, ignorując nękające ją od czasu do czasu skurcze serca.

Przyjechała do „Zacisza” głównie po to, aby oderwać się od uporczywych przemyśleń na temat dziecka, którego nigdy nie będzie miała. Jej plan zakładał, że raz na zawsze rozprawi się z tym problemem i przestanie zadręczać siebie oraz Hanię. Tylko jak poukładać sobie wszystko w głowie, gdy tuż obok siedzi ucieleśnienie jej marzeń, pałaszując ze smakiem lody i paplając o koleżankach z zerówki? Owszem, mogłaby uciec od stolika pod pierwszym lepszym pretekstem i unikać tego brzdąca przez kilka najbliższych dni. Mogłaby też, z ogromnym żalem, zmienić miejsce zakwaterowania. Tylko czy w innym hotelu nie natknie się na inne dzieci? Ból nie byłby ani trochę mniejszy.

Czas spojrzeć prawdzie w oczy: dzieci zawsze były i będą. A że ona nigdy nie zostanie matką? Cóż, nie można mieć wszystkiego.

Hania nieustannie kładła jej do głowy, że nie powinna rezygnować z marzeń o macierzyństwie.

– Przestań roztkliwiać się nad sobą. Znajdź sobie jakiegoś miłego chłopaka. Wyjdź za mąż i adoptujcie dzieci. Masz możliwości, aby przygarnąć całą gromadkę. Oddam ci mój dom, a sama przeniosę się do twojego mieszkania. Pomyśl, ile szczęścia mogłabyś dać jakimś biednym sierotkom.

Elwira dobrze wiedziała, że babcia ma rację. Już dawno należało jej posłuchać. Właściwie była na najlepszej drodze ku temu, lecz ten cholerny drań, Marcin Podolski, okazał się zwykłym palantem. Musiał za wszelką cenę pozostawić na świecie ślad swojego nasienia! Jego nazwisko przetrwałoby, gdyby nadał je adopcyjnemu potomstwu. Czy to takie skomplikowane? Przecież dziecko można pokochać ot tak, po prostu. Można pokochać obcego człowieka: mężczyzna kocha kobietę, a kobieta mężczyznę – dwoje niespokrewnionych ludzi, którzy wskoczyliby za sobą w ogień – o ile ich miłość jest szczerą. Podobnie jest z dzieckiem – jedyną różnicą jest to, że kocha się je w sposób niewinny: z czułością i troską.

To musi być możliwe, do cholery! – pomyślała Marecka, spoglądając na radosną buzię Iwonki.

Przez kilka następnych dni Elwira i Iwonka były niemalże nierozłączne. Ledwo kobieta wychylała nos ze swojego pokoju, jak spod ziemi wyrastała przy niej dziewczynka. I chociaż niekiedy serce Mareckiej krwawiło, chętnie spędzała z nią czas.

Razem chodziły nad Solinę, aby się opalać, taplać na przybrzeżnej płyciźnie lub pływać rowerkiem wodnym. Razem wędrowały po okolicy, podziwiając dzikie piękno przyrody. Razem siadywały wieczorem na ławce i, patrząc w niebo, pokazywały sobie gwiazdy, wymyślając związane z nimi historyjki. Pani Janeczka skwapliwie przymykała oko na ich eskapady. Ponieważ wiedziała, kim jest Elwira, nie żywiła obaw, że jej podopiecznej stanie się jakaś krzywda. Czasami dotrzymywała im towarzystwa, lecz zdecydowanie częściej przebywały we dwie. Kobieta sumitowała się, że nie powinna obarczać Elwiry opieką nad obcym dzieckiem, lecz ta uspokoiła ją, że to żadne obciążenie.

– Pani Janeczko, my naprawdę doskonale razem się bawimy – zapewniła. –

Już dawno nie miałam tak interesującego towarzystwa.

– A czy ta papla nie zagada pani na śmierć?

– Nie ma takiej opcji. Naprawdę proszę się nie martwić, to bardzo miła odmiana po ludziach, których codziennie spotykam, zwłaszcza w pracy.

– Tak, tak. Wiem, że pracuje pani w klinice. Nazywają panią zawodową pocieszycielką strapionych.

Janeczka chciała dodać coś jeszcze, lecz w porę przypomniała sobie obietnicę złożoną podopiecznej. Musiała dotrzymać słowa, nie było innej opcji.

Twarz Mareckiej rozjaśnił szeroki uśmiech. Nie po raz pierwszy spotkała się z tym określeniem. Bardzo je lubiła – w piękny sposób oddawało charakter wykonywanej przez nią pracy.

W końcu stanęło na tym, że skoro tak dobrze czują się we własnym towarzystwie, to niech sobie spędzają razem czas – do woli. Janeczka wymogła tylko na Elwirze obietnicę, że gdyby Iwonka zaczęła ją nużyć, natychmiast da jej o tym znać.

To lepsze niż miłość od pierwszego wejrzenia – myślała Marecka, ściskając w dłoni drobniutką dłoń dziewczynki, gdy szły razem na spacer. Macierzyństwo było zapewne najpiękniejszym stanem emocjonalnym, skoro nawet przebywanie z obcym dzieckiem sprawiało tyle radości.

W takich chwilach w jej oczach migotały łzy – ona nigdy nie miała zaznać tego uczucia. Mogła jedynie cieszyć się krótkimi chwilami szczęścia i przez kilka dni udawać, że idąca obok niej dziewczynka jest jej córeczką.

– Czemu tak krzywo chodzisz? – zapytała nagle Iwonka, wyrrywając kobietę z zadumy.

Bezpośredniość pytania zaskoczyła Elwirę. *To prawda, że dzieci są do bólu prostolinijne.*

– Usiądźmy, dobrze? – Wskazała najbliższą ławkę, gdyż czuła, że zanoszą się na dłuższą pogawędkę.

Iwonka była wyjątkowo bystrym dzieciakiem i nie dawała się ot tak po prostu zbywać byle czym. Nie, żeby była natrętna – nic z tych rzeczy! Po prostu lubiła, gdy na zadawane przez nią pytania udzielano wyczerpujące odpowiedzi. I to ona decydowała o tym, kiedy temat został należycie

omówiony.

– Dawno temu, ale naprawdę bardzo dawno, gdy byłam dziewczynką niewiele starszą od ciebie, miałam wypadek samochodowy.

– O! To tak, jak moja mamusia! I przeżyłaś? – Jej oczy zaokrągliły się z wrażenia.

Elwira знаła już tę historię. Iwonka opowiedziała jej o tym w dniu, gdy się poznały. Kobieta zginęła pod kołami samochodu, osierocając półroczną córkę. Od tej pory małą wychowywał tatutek oraz pani Janeczka.

– No, przeżyłam, jak widać. Tylko że ja nie wpadłam pod samochód, ale byłam w środku. Siedziałam na tylnym siedzeniu, gdy w nasze auto uderzył inny pojazd.

– I co? Bardzo cię bolało? – zapytała z przejęciem.

Na szczęście Elwira mogła oszczędzić dziecku przykrych szczegółów, nie posuwając się przy tym do kłamstwa.

– Nie. Po wypadku długo spałam. Obudziłam się w szpitalu. Nie pamiętałam o zderzeniu. Babcia mi o wszystkim powiedziała.

– A dlaczego kulejesz?

– Bo bardzo się potłukłam. Gdyby nie moja babcia, pewnie jeździłabym teraz na wózku inwalidzkim. Ona wciąż mi pomagała. Musiałam od nowa nauczyć się chodzić.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Trochę to trwało, ale dałam radę.

– Jesteś bardzo dzielna. Twoja babcia też. A twoja mama? Gdzie wtedy była?

– W niebie u aniołków – odparła Elwira, siląc się na lekki ton.

– Ojej! – zmartwiła się mała. – Umarła? A kiedy?

– W tym dniu, gdy mieliśmy wypadek. Ona i mój tato siedzieli z przodu. Nie przeżyli – odparła krótko kobieta.

Dziewczynka objęła ją ramionami i ucisnęła ze wszystkich sił. W pierwszej chwili Elwira zeszywniała i przygryzła wargę, walcząc ze łzami. Sama nie wiedziała, co bardziej ją poruszyło: przykre wspomnienia czy spontaniczna reakcja Iwonki. Po chwili przełamała się i przytuliła twarz do złotych loczków dziecka.

– To nic, Iwonko. To nic. To było bardzo dawno temu.

– Ale tęsknisz za nimi, prawda? Bo ja wiem, jak smutno jest bez mamusi. Nie mogę sobie wyobrazić, że miałabym stracić jeszcze tatutka. I jak on wychodzi do pracy, to wciąż mu mówię, aby uważał na przejściu dla pieszych, a w samochodzie zapinał pasy, i żeby jechał powoli i ostrożnie. A on się ze mną drażni i robi *bruuuuuum brrrrum brrrrruuuuum*, jakby chciał pokazać, jak szybko zamierza jechać.

– To dobrze, że tak się o niego troszczysz. Powiedz, czemu przedstawiłaś mi się jako Fiona? – Elwira zmieniła radykalnie temat.

Miała nadzieję, że dziewczynka opowie jakąś niedorzeczną historyjkę, która rozładuje napięcie.

– No dobra. To słuchaj. Jak byłam mała...

– Mała? – podłapała ze śmiechem Marecka. – Czyli jaka? Taka? – Zrobiła odstęp pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem.

– Eee... No, nie! Jak byłam trochę mniejsza niż teraz, ale większa niż Calineczka, to jeszcze nie umiałam dobrze mówić. No i jak ktoś mnie pytał, jak mam na imię, to odpowiadałam Ifionka. Tatutkowi chyba to się podobało, bo zaczął mnie tak nazywać. A potem Ifionkę przerobił na Fionkę. Czasami mówi też Fiona.

– Chyba fajny ten twój tatutek.

– No! – wykrzyknęła entuzjastycznie dziewczynka. – Tatutek jest super! I nawet się nie złości, gdy babunia Wandzia nazywa go czasem Ciaputkiem.

– Ciaputkiem?

– No tak, Ciaputkiem. Bo czasami zdarza się, że coś upuści albo potłucze.

– Tak często mu się to zdarza?

– Eee... Nie. Ale podobno jak był mały, to babcia miała z nim skaranie boskie.

– Pewnie cieszysz się, że jutro przyjedzie.

– No jasne! Powiem mu, żeby zorganizował dla nas wszystkich ognisko. Dla mnie, dla ciebie, dla Janeczki i dla niego. Tam dalej – pokazała palcem w stronę ogrodu – jest takie fajowe miejsce, gdzie można to zrobić. Pamiętasz? Byłyśmy tam wczoraj.

Następnego dnia po obiedzie Elwira została sama. Po raz pierwszy od tygodnia, jeśli nie liczyć nocy, zabrakło jej towarzystwa Iwonki. Marecka

siedziała w hotelowej jadalni, sącząc swoje ulubione cappuccino z cynamonem, gdy nagle poczuła się okropnie samotna.

– Nie powinnam była tak bardzo przywiązywać się do tego dziecka – wyrzucała sobie. – Zmarnowałam tydzień urlopu. Nie tak miałam go wykorzystać – westchnęła z goryczą.

Wbrew temu, co podpowiadał rozum, serce Elwiry czuło inaczej. To nie był stracony czas. Miała za sobą bodaj najprzyjemniejszy tydzień życia. Wprawdzie chwile spędzone z dziewczynką przyniosły jej tyleż smutku, co radości, lecz nie oddałyby ich za żadne skarby świata. Żaden romans, żadna przeżyta miłośćka nie przyniosły takich emocji. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że nadmierne zaangażowanie może ją zranić, lecz nie potrafiła odmówić sobie przyjemności spędzania czasu z Iwonką.

Żywiła nadzieję, że ta znajomość przetrwa. Istniały ku temu duże szanse, skoro mieszkaly tak blisko siebie. Do tej pory nie rozmawiała z panią Janiną na temat ojca dziewczynki, nie było ku temu okazji, lecz miała nadzieję, że jest przynajmniej w połowie tak miły, jak przedstawiała go Fiona. Liczyła na to, że mężczyzna nie będzie protestował przeciwko temu, aby raz na jakiś czas zabrała jego córkę na lody albo wycieczkę. Zresztą już obiecała małej, że zaprosi ją do siebie i pozwoli jej pobawić się z kociaństwem. Jak mogłaby tego nie zrobić, skoro Iwonka bezbłędnie wyliczyła imiona wszystkich podopiecznych Elwiry?

Ona wybrała mnie na przyjaciółkę – uznała Marecka. Nieważne, że dzieli nas blisko trzydzieści lat. Nadajemy na tych samych częstotliwościach.

Przerażały ją myśli, które tak rozpaczliwie tłoczyły się w jej głowie – że małej wcale nie o przyjaźń chodzi, lecz jak każde dziecko w tym wieku potrzebuje matki. O, jakże chętnie utuliłaby w swoich ramionach te dziecięce tęsknoty! Nieważne, ile bólu miałyby ją to kosztować.

Cóż, życie jest jednak brutalne.

Nie mogła bez końca oszukiwać samej siebie – nie była jej matką, a ojcu dziecka niekoniecznie musi się spodobać ta zadziwiająca zażyłość.

Elwira wypila ostatni łyk chłodnej kawy. Filiżanka szczęknęła o porcelanowy spodeczek. Kobieta z przygnębieniem pomyślała, że jakoś powinna sobie zorganizować resztę dnia. Nie mogła liczyć na towarzystwo Iwonki. Od Janeczki, którą przez przypadek spotkała wcześniej na korytarzu,

dowiedziała się, że ojciec zabiera ją i córkę na obiad do Polańczyka, a następnie pojedą nad Solinę, aby z bliska obejrzeć potężną tamę, która utrzymuje w ryzach jezioro. Czekają ją więc samotne popołudnie i wieczór.

Przypomniała sobie o kilku powieściach zabranych na urlop. Nawet do nich nie zajrzała, nie było kiedy. A teraz, gdy miała czas – brakowało jej ochoty.

Mimo wszystko poszła do pokoju po książkę. Postanowiła, że poczyta na łonie natury. Żał byłoby siedzieć w hotelu przy tak pięknej pogodzie. Ledwo znalazła wolny leżak i ułożyła się na nim, jej spokój został zakłócony natarczywym dzwonkiem smartfona. Elwira z dezaprobatą pokręciła głową i po raz kolejny odrzuciła połączenie od Podolskiego. Mężczyzna nie zrażał się jednak, gdyż chwilę później otrzymała SMS-a: *Muszę z Tobą koniecznie porozmawiać. Spotkajmy się za dwie godziny. Proszę!*

– Dość tego, mój drogi – zdenerwowała się kobieta.

Szybko wystukała SMS-a, że jest na urlopie i nie zamierza go marnować na jałowe dyskusje. Nie życzy sobie, aby Marcin ją nękał w jakikolwiek sposób, ponieważ zignoruje każde połączenie i wiadomość od niego.

Poskutkowało, gdyż nie próbował więcej dzwonić ani pisać.

Mimo wszystko Elwira nie mogła skupić się na lekturze. Irytowało ją, że sprawa, która już dawno powinna zostać zamknięta, wciąż odbija się nieprzyjemną czkawką. Ponadto przed wyjazdem obiecywała sobie, że nacieszy się świętym spokojem i ciszą, bo nawet w domu było o to trudno. Jej zwierzyniec był wyjątkowo hałaśliwy i absorbujący. Na domiar złego babcia Hania i przyjaciółki chyba zmówiły się ze sobą i nie ustawały w trudzie pocieszania jej po rzekomym zawodzie miłosnym. Teraz jednak dotkliwie odczuwała samotność.

Brakowało jej towarzystwa pewnej małej, wiecznie trajkoczącej dziewczynki.

Po dwóch godzinach bezproduktywnego kręcenia się na leżaku (nie zdołała przebrnąć nawet przez prolog) Elwira wcisnęła książkę pod pachę i wyruszyła na krótką przechadzkę. Słońce przygrzało jej już wystarczająco mocno. Teraz postanowiła poszukać schronienia w cieniu drzew.

Błądziła przez chwilę bez celu, aż usłyszała dziwne stukanie. Z całą pewnością nie był to dzięcioł. Te tłuły w drzewa bez opamiętania. Elwira wiedziała coś na ten temat, gdyż za jej oknem rosła stara sosna, którą

osobliwie upodobały sobie hałaśliwe ptaszyska, dając zazwyczaj popisy swego kunsztu wtedy, gdy bolała ją głowa. Sprawca niniejszego stukotu działał znacznie wolniej.

Marecka przypuszczała, że gdzieś w pobliżu są drwale. Rozejrzała się uważnie, ponieważ ostatnie, czego mogłaby sobie życzyć na urlopie, to przygniecenie przez obalony pień. Rzeczywiście, dostrzegła między drzewami postać mężczyzny wymachującego siekierą. Człowiek ten nie ścinał drzewa, a jedynie rąbał na drobne szczapy pocięty wcześniej pień.

Kobieta zbliżyła się jeszcze parę kroków, starając się stąpać jak najciszej. Przystanęła w bezpiecznej odległości i z fascynacją spoglądała na grę mięśni pod skórą drwala. Mężczyzna nie był zbudowany atletycznie, zawsze wyobrażała sobie, że robotnicy leśni są masywniejsi. Miał jednak przyjemną dla oka sylwetkę o ładnie wypracowanej muskulaturze. Stał tyłem do niej. Ubrany był w jeansy. Z tyłu, za pasek, zatknął koszulkę, którą zdjął prawdopodobnie po to, aby jej nie ubrudzić. Chociaż równie dobrze mogło mu być gorąco, gdyż uwijał się przy pracy. Obok niego stały taczki wypełnione niemalże po brzegi równo porąbanymi szczapami. Nieznajomy kończył swoje zajęcie. Dorzucił do sterty ostatnie drewnienka i otarł przedramieniem pot z czoła. Następnie sięgnął do tyłu i wyjął zza paska koszulkę.

Elwira chciała się dyskretnie wycofać. Głupio by jej było, gdyby została przyłapana na podglądaniu. W chwili, gdy przestawiła stopę, pod jej butem trzasnęła zdradziecko jakaś sucha gałązka. Mężczyzna odwrócił się gwałtownie. Kobieta najpierw zamarła, a później jej oczy poogromniały do niemalże monstrualnej wielkości. Stała bowiem oko w oko z człowiekiem, który mógł być ojcem Iwonki. To było chyba jedyne racjonalne wytłumaczenie jego obecności w tym miejscu. Aż tak duże zbiegi okoliczności po prostu nie mogły istnieć.

Krystian Greń zmarszczył brwi. Wbił siekierę w pniak, na którym rąbał szczapy na opał. Przesząpił z nogi na nogę, uświadamiając sobie, że stoi półnagi przed koleżanką z pracy. Nie to było jednak najważniejsze. W lot pojął, kogo tak naprawdę ma przed oczami.

– To ty?

Kobieta przygryzła wargę. W jej głowie z miejsca powstały dwie niedorzeczne myśli: po pierwsze, nie powinna przygryzać wargi na wzór niezbyt rozgarniętej bohaterki z cyklu powieści o Greyu – wyglądało to zbyt, hm... perwersyjnie? Po drugie, że tak za bardzo nie rozumie, co Krystian chciał wyrazić tym ni to pytaniem, ni to stwierdzeniem. Czyżby wziął ją za jakiegoś ducha, podobnie jak ona wzięła jego córkę za wytwór swojej wyobraźni?

– Ja – odparła niezbyt mądrze i z miejsca skarciła się w duchu za to, że pożera wzrokiem tors stojącego przed nią mężczyzny.

Skłamałaby, mówiąc, że nie ma na czym oka zawiesić! Nigdy w życiu nie przeszłoby jej przez myśl, że pod starannie wyprasowanymi koszulami Grenia kryje się taki przyjemny dla oka widok. Gdyby miała na ten temat jakieś przypuszczenia, to kto wie, czy nie oblewałaby go kawą do skutku, aż w całej klinice zabrakłoby białych fartuchów i mężczyzna musiałby objawić swój muskularny tors oczom żądnych sensacji koleżanek?

Dobry Boże! Gdyby tylko mogła go zobaczyć Stasia Do Rany Przyłóż!

– Ach, więc dobrze zrozumiałem Iwonkę, kiedy paplała, że tu jesteś. Przez pół dnia terroryzowała mnie opowieściami o spotkaniu zawodowej pocieszycielki strapionych, która jest aniołem z jej snów.

– Tak powiedziała?

– Słowo w słowo.

– O kurczę! Mnie też wspomniała, że kiedyś jej się przyśniłam – odparła skonsternowana kobieta. – A co ty tutaj robisz? – zapytała, kiwając głową w stronę taczek z drewnem.

– Właściciel ośrodka wyraził zgodę na wieczorne ognisko. Warunek był jeden: miałem sam porąbać drzewo na szczapy, ponieważ cały personel jest zajęty.

– Nie podejrzewałabym cię o takie umiejętności. – Wskazała dłonią siekiere.

Ani o taką klatę – tego na szczęście nie powiedziała na głos.

Nie do końca rozumiała to, co wyrabia jej mózg. Nigdy wcześniej nie śliniła się na widok facetów! Nigdy, przenigdy! A teraz stała jak słup soli i pożerała wzrokiem Greya. Znaczy... Grenia. To było do niej zupełnie niepodobne. A gdzie romantyczne westchnienia? Subtelne spojrzenia?

Niepewność własnych uczuć? Dlaczego miała ochotę rzucić się na tego człowieka tak, jak stał?! Czemu jej – podobno złamane – serce waliło teraz z taką mocą? Skąd ta nieprawdopodobna ekscytacja?!

– Przecież mówiłem ci, że mieszkam na wsi. Potrafię robić wiele rzeczy, między innymi porąbać drzewo do kominka. Wiem, że Iwonka zrobiła to już milion razy, ale w razie czego zapytam: przyjdiesz na ognisko?

– Tak, z przyjemnością – odparła kobieta.

Mężczyzna włożył koszulkę, pozbawiając tym samym Elwirę pokusy zerkania na muskularny tors. Wyrwał siekierę z pniaka i położył ją na taczkach.

– Odwiozę drewno – oznajmił.

– Pójdę z tobą, jeśli nie masz nic przeciw temu. Chciałabym cię o coś zapytać.

– Tak?

– Dlaczego nigdy nie wspomniałeś, że masz córkę?

– Nie było okazji – odparł wykrętnie.

– Podziwiam cię. Samotnie wychowujesz dziecko i godzisz to z pracą zawodową. Mężczyźni nieczęsto podejmują się takiego wyzwania.

– W moim przypadku było tak, że los postawił mnie przed faktem dokonanym. Matka Iwonki nie żyje.

– Tak, wiem. Twoja córeczka opowiadała mi o tym. To fantastyczna dziewczynka. Jak mogłeś trzymać ją w tajemnicy? – zapytała z entuzjazmem.

– Oddzielam pracę od życia prywatnego. Zresztą dobrze wiesz, że w klinice cieszę się raczej dość... hm... dziwną popularnością. – Spojrzał wymownie na kobietę, która zaczerwieniła się po czubki uszu.

– Ależ nie!

– Nie zaprzeczaj. Pani Stanisława dość często przekręca moje nazwisko, ale w gruncie rzeczy już dawno przestałem zwracać na to uwagę.

– Głupio mi – wymamrotała, bowiem ona również brała czasem udział w spekulacjach na temat upodobań łózkowych Krystiana.

– Niepotrzebnie. To nawet zabawne – dodał, uśmiechając się szelmowsko, co dla Elwiry stanowiło spory kontrast z jego codziennym zachowaniem.

Nagle skonstatowała, że sztywniak Krystian, którego zdążyła poznać, nijak ma się do tatutka-Ciaputka opisywanego przez Fionę. Czyżby przyszedł

właśnie czas, aby odkryć inną twarz mężczyzny?

Nowe oblicze Grenia przyprawiło Elwirę o konsternację.

Szafirowe niebo rozświetlały miliardy odległych gwiazd. W oddali pohukiwał puszczyk, cicho pluskały spokojne wody Soliny. Ogień rozpalony przez Krystiana trzaskał wesoło, raz po raz wypuszczając z sykiem złociste snopy iskier. Siedzieli wokół ognia nieco większą grupką, ponieważ prócz rodziny Greniów, Janeczki i Elwiry przyszedł również właściciel hotelu „Zacisze” – Dariusz Hajdukiewicz, oraz kilku hotelowych gości. Darek zabezpieczył skrzynkę dobrze schłodzonego piwa i kiełbaski. Ktoś inny przyniósł boomboxa, z którego cicho sączyła się muzyka. Panią Janeczkę adorował Klaus – niebieskooki Niemiec, półkrwi Polak. Z ich strony raz po raz dobiegał radosny śmiech.

Krystian dorzucił kilka szczap do ognia i przycupnął na kocu obok Elwiry i Iwonki. Dziewczynka siedziała z główką opartą na kolanach Mareckiej. Kobieta głaskała jej złociste włosy, wyjątkowo nie stroszące się w kucykach czy końskim ogonie, lecz zaplecione w dwa francuskie warkoczyki.

– A kto cię dzisiaj tak ładnie uczesał? Pani Janeczka? – zagadnęła dziewczynkę.

– Nie. Pani Janeczka tak nie potrafi. Zgaduj dalej.

– Jakaś miła pokojówka?

– Też nie. No, pomyśl trochę.

– Nie powiesz mi chyba, że to twój tatutek.

– Ależ oczywiście! Tatutek potrafi robić fajowe fryzury! – powiedziała z dumą mała.

Elwira zerknęła kątem oka na mężczyznę. Ten miał zagadkową minę.

– Przyspieszony kurs fryzjerski?

– Wujek google – skorygował. – A uściślając: kilka kanałów na YouTube. Prawdziwa kopalnia wiedzy.

– Wow! – W oczach kobiety pojawił się podziw.

– Tatutku, zagrasz na gitarze? – zapytała Iwonka.

– Może później. Teraz jest za dużo ludzi.

– Tatutku, proszę. – Zmarszczyła nos. – To nasze ognisko.

– Ale ludzie, którzy przyszli, niekoniecznie chcą słuchać takiego

szarpidruta. Obiecuję, że później ci zagram.

– I zaśpiewasz – targowała się mała.

– Nie wiem, czy Elwira to zdierży – stwierdził mężczyzna.

– On tak tylko gada – oznajmiła Fiona. – Umie grać i śpiewać, tylko mu się nie chce.

– Chce, chce, tylko nie chce wystraszyć ludzi – stwierdził Greń.

– Dobra, dobra. Zagrasz mi *Nocną zmianę kobiet* i *Lubię mówić z tobą*.

– Nie ma mowy. Zagram ci *Mam tę moc*.

– Eee... To dobre dla maluchów! *Frozen* to prehistoria. Tak jak dizonaury – oburzyła się malutka kobietka.

– Dinozaury jak już.

– Khem – chrząknęła Elwira. – Jeśli można coś wtrącić, to ja podłączam się do prośby o *Nocną zmianę kobiet*.

– Ha! Widzisz, tatutku?! Zostałeś przegłosowany!

– Zmowa bab, jak słowo daję! – burknął Krystian, udając obrażonego.

Pół godziny później szansa na wysłuchanie Grenia *unplugged* wzrosła, gdyż towarzystwo uległo znacznemu przerzedzeniu. Hajdukiewicz odszedł jako pierwszy, tłumacząc się wzywającymi go obowiązkami. Zaraz za nim wymknęła się zakochana para, która wpadła do „Zacisza” na romantyczny weekend. Opuściło ich także małżeństwo w średnim wieku. Został już tylko Klaus, lecz on był tak bardzo zajęty panią Janeczką, że Greń dał się namówić na sięgnięcie po gitarę, którą przyniósł ze sobą.

Elwira z przyjemnością słuchała czystego śpiewu mężczyzny. Z każdą upływającą minutą czuła, że zaczyna tracić kontrolę nad swoim sercem. Jednak to nie głos i wspomnienie Krystianowej muskulatury urzekły ją tego wieczoru. Tak naprawdę straciła głowę dla tej małej dziewczynki, która mocno się w nią wtuliła i z zachwytem słuchała śpiewu ojca.

Krystian Greń był zazdrosny o kobietę. Pierwszy raz w życiu spotkało go coś tak dziwnego. Problem w tym, że sam jeszcze nie wiedział, o którą tak naprawdę chodzi. Czy był zazdrosny o to, że córka ni z tego, ni z owego tak mocno przywiązała się do osoby, którą poznała przed zaledwie kilkoma dniami? Czy może był zazdrosny o to, że kobieta, która – jako świeżo upieczona singielka – mogłaby zwrócić uwagę na niego, była zainteresowana

wyłącznie jego córką?

A może to był wyłącznie powód do radości? Przecież sam nie tak dawno myślał o tym, że Iwonka powinna mieć matkę. I martwił się, czy znajdzie gdzieś panią, która pasowałaby do tej roli.

Sęk w tym, że do tej pory nie darzył Mareckiej jakąś szczególną sympatią. Owszem, była dość miła w obyciu. Jako koleżanka z pracy zachowywała się zdecydowanie najznośniej (mimo incydentów z kawą). Ale to zdecydowanie za mało, aby wzbudziła jego zainteresowanie w *takim* znaczeniu. Ponadto obecność Elwiry przesunęła oś symetrii w jego wszechświecie. Już nie był w centrum uwagi Fiony. Nie był supertatutkiem, bohaterem, który potrafił rozwiązać każdy problem, włącznie z wyplataniem skomplikowanych cudów na głowie. Z żalem myślał o tym, że spędzi nad Soliną jeszcze tylko dwa dni i, podczas gdy on będzie w poniedziałek przyjmował pacjentów, Elwira i Iwonka będą zacieśniać swoją babską zażyłość.

Ech... Smutny losie samotnego ojca!

– *Nocna zmiana kobiet, Ciemna strona dam, Zawracają kijem Wisłę, Zawracają kijem świat*^[3] – zanucił pod nosem ulubioną piosenkę córki, goląc się w zaparowanej hotelowej łazience.

Pomyślał, że co jak co, ale ten refren pasuje jak ulał do obydwu kobietek.

W tym samym czasie Elwira przewracała się z boku na bok, spoglądając to na ciemne gałęzie drzew wiszące za oknem, to znowu na przeciwległą ścianę. Nie mogła spać, co było do niej niepodobne. Usiłowała nie roztrząsać sytuacji, lecz natrętne myśli wciąż przychodziły do jej głowy. Chociaż bardzo tego nie chciała, analizowała swoje ostatnie odczucia. Miała wrażenie, że ugrzęzła w ruchomych piaskach, które zasypywały ją z każdej strony.

Marcin na pewno będzie nadal szukał kontaktu. Podoba jej się to czy nie, nie uniknie kolejnej konfrontacji z mężczyzną.

Dopuściła Iwonkę zbyt blisko siebie. Nie powinna pozwalać sobie na takie zaangażowanie.

Martwiła się o Hanię. Babcia coraz częściej mówiła o swej przemijalności. Czyżby miała przed nią jakąś przygnębiającą tajemnicę? Elwira odczuwała wyrzuty sumienia, ponieważ przez ostatnie miesiące była tak bardzo pochłonięta romansowaniem z Marcinem, że na nic innego nie wystarczyło

jej przestrzeni. Powinna spędzać ze staruszką znacznie więcej czasu. Była jej najbliższą krewną – miały tylko siebie.

Mimo że Pati deklarowała dobre samopoczucie, Elwira troszczyła się o stan zdrowia przyjaciółki. Wyrzucała sobie zaślepienie z ostatnich miesięcy.

No i wreszcie sprawa Ani Marzec. Czy to było w porządku, że najpierw obiecała pomoc, a później wycofała się rakiem?

Następnego dnia rano Elwira przypomniała sobie o wykonaniu telefonu do przyjaciółki. Pati miała normalny głos. Na nagabywania Mareckiej odparła, że wszystko jest okej. I tak, naprawdę bardzo dobrze się czuje. Wypytywała urlopowiczkę o relaks, hotel i okolicę. Życzyła jej przyjemnego wypoczynku, a następnie bardzo szybko zakończyła rozmowę, twierdząc, że właśnie wychodzi na zakupy.

Nieco uspokojona Elwira zadzwoniła jeszcze do babci, aby dowiedzieć się, czy u niej wszystko w porządku. Hania także zapewniła, że ma się dobrze. Rano jak zwykle biegała w puszczy, a wieczorem wychodzi z Franką do Alter Ego, więc lepiej będzie, jeśli Elwirka nie zadzwoni ani na dobranoc, ani zaraz z rana, gdyż babcia z góry zakłada niewielką niedyspozycję.

– Mam wrażenie, że wszyscy mnie dzisiaj splawiają – westchnęła Elwira, rezygnując z dzwonienia do Ani Marzec.

Reszta weekendu upływała pod dyktando Iwonki. Mała spryciara tak umiejętnie brała pod włos swojego tatutka, że ten spełniał wszystkie jej zachcianki. Na co dzień Greń nie był taki chętny do ustępowania córce, lecz tym razem tłumaczył sobie, że primo: jest na wakacjach, secundo: nie widział dziecka przez cały tydzień, tertio: musi opuścić małą na kolejny tydzień. Tak więc, gdy Fiona mówiła: *Tatutku, chodźmy z Elwirą na lody* albo: *Weźmy Elwirkę na spacer*, on wzdychał nieznacznie i odpowiadał:

– Okej, możemy zapytać, czy ma na to ochotę.

– Już do niej lecę – oznajmiała dziewczynka i w te pędy gnała do pokoju Mareckiej.

Kobieta ochoczo przyjmowała wszystkie zaproszenia. Pani Janeczka wykorzystywała obecność Grenia na swój sposób i przepadała na całe dni z sympatycznym dżentelmenem z zachodu. Tak więc przez dwa dni bywali

wszędzie we troje, stwarzając pozory kochającej się rodziny. W rzeczywistości Elwira i Krystian niewiele ze sobą rozmawiali, gdyż w centrum tego układu tkwił klin w postaci blondwłosej papli.

W niedzielne popołudnie Krystian wyruszał w drogę powrotną do Kłaja. Przed odjazdem zdołał na moment odciągnąć Elwirę od Iwonki.

– Słuchaj, gdyby moja córka za bardzo dawała ci się we znaki, to po prostu ją spław, okej? Pouczałem Fionkę, że nie powinna ci się naprzykrzać, ale coś czuję, że ona i tak będzie robić swoje.

– Bez obaw. Lubię spędzać z nią czas. Iwonka wcale mi się nie naprzykrza.

– Musisz jednak przyznać, że to dość dziwne. Ta wasza komitywa – powiedział niepewnie.

Elwira zmieszała się nieco. Faktycznie było to trochę niezwykle. Ale z drugiej strony, czy to takie dziwne, że dziecko wychowywane bez matki lgnie do kobiety, która mogłaby nią być? Albo że kobieta, która nigdy nie zazna macierzyństwa, garnie się do dziecka spragnionego miłości? Tylko jak wytłumaczyć to ojcu Iwonki? Przecież nie powie mu, że desperacko pragnie poczuć się matką, chociaż przez kilka dni!

– Nie masz powodu do obaw. Nie namieszam w głowie twojej córeczki. Lubię ją i rozumiem jej chwilową potrzebę spędzenia ze mną odrobiny czasu.

– No tak. Ale czy nie uważasz, że ona za bardzo się do ciebie przywiązuje? Za kilka dni każda z was wróci do swojego domu i własnych spraw. Nie chcę, aby moja córka cierpiała.

– Nie będzie. Wiem, że spędza sporo czasu u pani Janeczki. Nie widzę więc problemu. Możemy widywać się po powrocie do Niepołomic. To żaden kłopot.

– Okej. Trochę mnie uspokoiłaś – stwierdził Krystian.

Jeśli bał się czegokolwiek, to tego, że podobnie jak przed laty żonę, tak teraz może stracić córkę, albo że dziewczynce stanie się jakaś krzywda. A taką krzywdą była każda łza wylana przez ukochane dziecko.

Krystian Greń tęsknił. Dotkliwie odczuł dwutygodniową rozłąkę z córką. To nic, że spędzili razem weekend – nigdy wcześniej nie musiał rozstawać się z Iwonką, więc źle znosił nieobecność małej w domu. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że któregoś dnia jedynaczka zacznie się usamodzielniać:

nadejdzie czas samotnych wyjazdów na kolonie i być może na studia (na szczęście ta opcja była niezbyt prawdopodobna – wszak w Krakowie nie brakuje renomowanych uczelni), a wreszcie przeprowadzki na własne śmieci. W jej życiu pojawią się pierwsze miłości i powstanie świat, do którego ojciec nie będzie miał wstępu.

Mężczyzna ze smutkiem pomyślał, że ten świat właściwie już zaczął powstawać. Przypomniawszy sobie ognisko, podczas którego dziewczynka niemalże nie opuszczała ramion Elwiry. Mimo zazdrości, którą wówczas odczuwał, w pewnej chwili zazartował nawet, że nadstawia się do czochrania jak kot. Bowiemi ilekroć Marecka przestawała ją głaskać, Fiona od razu trącała jej dłoń główką albo wręcz brała kobietę za rękę i przykładła do swojego policzka lub ramienia.

Jak to możliwe, że w tak krótkim czasie zżyły się ze sobą do tego stopnia?

Widać było, że sympatia jest obopólna. Elwira nie krzywdowała siebie, że miała tak się na nią zawzięła.

A gdyby tak...

Nie. To niedorzeczne! Przecież dopiero co rozstała się z zastępcą komendanta.

Zresztą, wbrew pozorom, on i Elwira wcale za sobą nie przepadali. Nawet nie była w jego typie: mała, chuda i piegowata. Na dodatek lekko utykała. On gustował w rozkwitłej kobiecości – rozkołysanych biodrach i krągłych piersiach. Tak przynajmniej było w czasach Agnieszki.

Dobry Boże! Toż to minęło już ile? Sześć lat!

Jeszcze nie tak dawno obiecywał sobie, że spróbuje znaleźć godne zastępstwo za tragicznie zmarłą matkę Iwonki. Celowo nie myślał, że chodzi mu o szukanie nowej żony. Myśl o własnych przyjemnościach spychał w najgłębsze zakamarki umysłu. Nie zasługiwał na nie, wciąż dręczyło go poczucie winy.

Zresztą po co mu kobieta, która zaraz zechce zaspokoić głód swojej macicy? Przecież to naturalne, że każda prędzej czy później zapagnie własnego dziecka. Fiona zostałaby zepchnięta na dalszy plan – rozmyślał egoistycznie Krystian.

Z drugiej jednak strony musiał przyznać, że widok córki w objęciach Mareckiej zapadł mu głęboko w pamięć. Nie znał Elwiry od tej strony.

Wiedział, że jest lubiana przez pacjentów oraz współpracowników, lecz nie przypuszczał, że jest tak miłą i ciepłą osobą. Skoro Iwonka do niej lgnęła, coś w tym musiało być. Wszak dziecka nie sposób oszukać. Już dawno przekonał się o tym, że nic nie potrafi równie skutecznie przeświecić fałszu, co oczy jego córki.

[3] Fragment tekstu piosenki *Nocna zmiana kobiet*, Iza Kowalewska, 2015 r.

Ploteczki

Marecka zaparkowała przed klatką schodową. Z przyjemnością spojrzała w okna swojego mieszkania. Choć minione dwa tygodnie spędziła fenomenalnie, powrót do domu bardzo ją ucieszył. Wszak tam czekała na nią zgraja ukochanych podopiecznych! Elwira dzwoniła kilkakrotnie do Sary, aby upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Nastolatka nie zgłaszała żadnych problemów. Wspominała tylko, że po jej wyjeździe kociarstwo było osowiałe i nieskore do pieśczot.

Biedactwa! Na pewno za nią tęskniły! Jeszcze nigdy nie opuszczała zwierzyńca na tak długo. Zazwyczaj zadowalała się wypadem na weekend lub kilkudniowy urlop. Tym razem jednak uległa namowom przyjaciółek, które twierdziły, że koniecznie musi odreagować wszystkie stresy.

Kobieta weszła po schodach tak szybko, jak tylko było to możliwe. Ostrożnie uchyliła drzwi mieszkania, licząc się z możliwością zmasowanego ataku ze strony sierściuchów. Niestety, zamiast czterech futrzanych perszingów, mknących z zawrotną prędkością w jej stronę, zobaczyła cztery sfochowane sfinksy. Koty, obrażone dwutygodniową nieobecnością swej mięskodawczyni, bardzo powściągliwie przywitały Elwirę. Właściwie, można rzec, że zupełnie ją zignorowały, zaledwie zauważając jej powrót.

A może te cwane bestie wyczuły, że podczas urlopu ich opiekunka straciła serce i głowę?

Czy byłyby zazdrosne o Fionę?

Powrót do pracy jeszcze nigdy nie był dla Elwiry równie uciążliwy. Wciąż nie mogła dojść do siebie po kiepsko przespanej nocy.

Dwa tygodnie laby rozstroiły zegar biologiczny kobiety. Podczas urlopu późno chodziła spać, a w następstwie wylegiwała się nieprzyzwoicie długo. Zazwyczaj wstawiała dopiero wtedy, gdy Fionka stukała do drzwi. Nic więc dziwnego, że w nocy z niedzieli na poniedziałek bardzo długo nie mogła zasnąć. Tarzała się wśród pościeli, rozpamiętując minione dni, i rozmyślała nad tym, co przyniesie przyszłość. Ubolewała, że już nie będzie miała tyle czasu dla Iwonki. Jej dłonie szukały złocistej główki do pogłaskania, a ramiona małego ciała do przytulenia. Zamiast dziewczynki miała jednak cztery owłosione grzbiety do podrapania i osiem sterczących uszu do wytarmoszenia. Współlokatorzy Elwiry odzyskali bowiem fantazję i tuż po trzeciej towarzystwo wszczęło dzikie harce w sypialni.

W rezultacie, gdy zadzwonił budzik, Elwira rozpaczliwym gestem pacnęła w smartfon, błogosławiąc w duchu wynalazcę funkcji „drzemka”. Po pięciu dzwonekach półprzytomna ze zmęczenia kobieta z żalem opuściła pościel i z trudem dowlekła swoje sponiewierane ciało do kliniki. Przejrzała karty zarejestrowanych na rano pacjentów. Ze zdziwieniem zauważyła, że jako pierwszego umówiono Korposzczurka. Czyżby był aż tak zdesperowany? Zazwyczaj umawiał się z nią wtedy, gdy przyjmowała po południu. A może po prostu miał urlop? Wszak było lato.

Do wizyty Tycznego zostało jeszcze dziesięć minut.

– Bez kawy ani rusz. Usnę na siedząco – stwierdziła kobieta i poczłapała do automatu.

– Dzień dobry, pani doktor. Miło panią widzieć! – usłyszała pełne entuzjazmu powitanie.

– Dzień dobry, panie Romanie – odpowiedziała, zerkając na zegarek, lecz na szczęście okazało się, że to mężczyzna przyszedł zbyt wcześnie. – Jeszcze chwilę, okej?

– Ależ oczywiście. Na panią mogę czekać nawet całe życie! – wykrzyknął patetycznie, nie bacząc, że jego słowa słyszy Stasia Do Rany Przyłóż. Zresztą nawet przez myśl mu nie przeszło, że swoim niefrasobliwym zachowaniem (przynoszeniem kwiatów i prezentów) rozbudził w kobiecie nadzieję.

Recepcjonistka zrobiła żalostną minę.

– Playboy – burknęła pod nosem. Postanowiła dożywotnio obrazić się na niestałego w uczuciach mężczyznę.

W tym czasie Elwira desperacko stukała w przyciski automatu do kawy. W końcu urządzenie wydało upragniony napój. Marecka porwała gorący kubek jak diabeł duszę. Sam zapach kawy sprawił, że obudziły się drzemiące w niej pokłady energii.

– Naprawdę smakują ci te popłuczyny? – usłyszała głos Grenia.

– Aaa! – krzyknęła wystraszona kobieta.

Krystian przezornie uskokzył w tył. Na szczęście Elwira zdołała zapanować nad ciecżą w styropianowym kubku bez wieczka.

– Co ty masz z tą kawą? – zapytał mężczyzna, unosząc wymownie brwi.

– Potrzebuję kofeiny, aby nie zasnąć przy biurku. Najchętniej zapodałabym ją sobie dożylnie. – Wysiliła się na kiepski suchar i łapczywie pociągnęła łyk kawopodobnego paskudztwa.

– Mam propozycję: spotkajmy się w przerwie pomiędzy pacjentami. Pójdziemy na porządną kawę i spokojnie pogadamy. Nie uważasz, że po wspólnie spędzonym weekendzie mamy co nieco do omówienia?

– Właściwie masz rację. Też chciałabym zamienić z tobą parę słów.

Byli tak pochłonięci umawianiem się na *tête-à-tête*, że żadne z nich nie zwróciło uwagi na donośny huk pękającego Romanowi serca ani na Stasię Do Rany Przyłóż, strzygącą chciwie uszami.

Elwira i Krystian rozeszli się do swoich gabinetów. Recepcjonistka z miejsca wykorzystała sytuację i w mało dyskretny sposób poinformowała Małgorzatę, pobierającą od niej karty pacjentów:

– Patrz pani! Jak to się porobiło! Weekend razem spędzili. Pani Marecka i Christian Grey! Ho, ho, ho! Kto by pomyślał! Najpierw poszli sobie razem na kawę, a teraz to! Nic dziwnego, że pogoniła zastępcę komendanta. Wszak przy Greyu żaden mężczyzna nie ma szansy!

Biedny Roman Tyczny! Słyszając te słowa, poczuł się tak, jakby z jego piersi wyrwano żywcem serce, a później, wciąż bijące, rzucono pod walec do utwardzania nawierzchni drogowych.

Telefon Hani dzwonił od kilku minut.

– Zaraz, zaraz! Teraz nie mogę odebrać! Toalety dokonuję! – krzyknęła

kobieta, zupełnie jakby osoba, która dobijała się do niej z taką natarczywością, mogła usłyszeć, że Biedrzycka właśnie wyszła spod prysznic i kończy się wycierać.

W końcu, gdy Hania była gotowa do opuszczenia łazienki, aparat zamilkł. Dla odmiany jednak jej smartfon zaczął śpiewać głosem Lady Gagi piosenkę *Poker Face*. Biedrzycka bowiem, w przeciwieństwie do swoich rówieśnic, lubowała się nie tylko w piosenkach zapamiętanych z lat młodości, ale była równie zapaloną fanką popu oraz rocka. Co więcej, podczas biegania zawsze słuchała muzyki i wychodziła z założenia, że nic nie pogania jej równie skutecznie, jak mocne brzmienia niemieckiej grupy Rammstein.

– Halo? Franka? Pożar wybuchł czy co?

– Ano pali się, moja droga. Żebyś ty wiedziała, jakiego *nius*a mam dla ciebie, to odebrałaś po pierwszym dzwonku!

– No, to dawaj!

– Hola, hola! Tego się nie da na trzeźwo – odparła przyjaciółka, nie bacząc na to, że nie dalej jak trzy dni temu była do pierwszopiątkowej spowiedzi. – W Alter Ego za godzinę. Może być? – zapytała.

– Czyś ty się szaleju najadła? Za godzinę? Chcesz, żeby mnie ciekawość zeżarła? Wkładaj bambosze i przybywaj. Ja też zaraz będę gotowa! – wykrzyknęła Hania, która czuła, że faktycznie szykuje się jakaś grubsza i nader ciekawa sprawa.

Kilka minut później obydwie panie siedziały nad swoimi ulubionymi trunkami.

– Mam nadzieję – stwierdziła Biedrzycka – że ten twój *nius* jest wart bolącej wątroby.

– Jeszcze mi podziękujesz – oznajmiła z satysfakcją Frania.

Doskonale się bawiła, obserwując zaciekawioną minę Hanny. Już zacierała ręce na myśl o tym, że za moment po raz pierwszy w swym bardzo długim życiu zobaczy, jak doktor Biedrzycka robi głupią minę.

– Dobra, dość tych sekretów. Opowiadaj: co to za wieści, które wymagają aż takiej celebry?

– Ty lepiej oprzyj się wygodnie, moja droga, bo zaraz fikniesz z fotela. Nie uwierzysz, jak ci powiem, co twoja wnuczka porabiała w ubiegły weekend.

– No jak to co: na urlopie była. Wypoczywała w jakimś hotelu nad Soliną. Wiem, bo codziennie dzwoniła i zachwycała się spokojem i ciszą Bieszczad.

– Ha! Ale czy ty wiesz, z kim ona tam była?

– No jak to: z kim? Sama pojechała. Miała leczyć pęknięte serce.

– Sama to może i pojechała. Ale na miejscu na pewno nie doskwierała jej samotność! I coś mi mówi, że to złamane serduszko było poddawane bardzo intensywnej terapii. Doktorskiej – dodała znacząco Frania z szelmowskim uśmiechem na ustach.

– Matko Boska! – Hanna przeżegnała się nabożnie. – Uszczypnijże mnie szybko, kobieto! *Wy dołżny skazat prawdu?*

– *No kanieszno!* – odparła Melesiukowa.

– Kto?

– W życiu byś na to nie wpadła.

– Franka, miejże litość! Jak mi zaraz nie powiesz, to podpuszczę plebana, żeby przy następnej spowiedzi zadał ci najcięższą pokutę!

– No! No! Bez szantażu proszę. – Franciszka z wyniosłą miną uniosła kufel piwa. – Pamiętasz, jak mówiłam ci, żebyś umówiła tę swoją małpę z jakimś dochtórem?

– No pamiętam – odparła bliska palpacji serca Hanna.

– A pamiętasz, jak wymyśliłaś, z kim można byłoby ją wyswatać?

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć... – Oczy Biedrzyckiej poogromniały jak jeszcze nigdy w życiu.

– Ano tak, moja droga. Wiem z dobrze poinformowanego źródła, że przez cały ubiegły weekend w tym samym hotelu bawił niejaki Krystian Greń, doktor seksuolog, samotny wdowiec, lat trzydzieści osiem.

– No, no, no! Widzę, że wywiad naprawdę dobrze działa. Masz lepsze informacje niż ja, bo nie wiedziałam, że Greń jest wdowcem. Myślałam, że to po prostu singiel. Skąd ty to wszystko wiesz?

Franciszka uznała, że już wystarczająco wzbudziła ciekawość u przyjaciółki. Z miejsca przeszła więc do konkretów.

– Ano stąd wiem, że znam się z niejaką Janiną Nowak. No i wyobraź sobie, że ona robi za nianię u tego Grenia. Znaczy dogląda mu sześćioletniej córki.

– To on ma dziecko?!

– No. Zrobił, to ma. Co w tym dziwnego? – Franciszka wzruszyła

ramionami.

– A nic, nic – odparła Hania, tłumiąc na siłę uśmiech. – To co z tą twoją znajomą?

– Wyobraź sobie, że Greń postanowił wysłać dziecko na wakacje. Ale że mała jeszcze jest za mała, żeby ją puszczać na kolonie, to umyślił sobie, że wyśle córkę razem z opiekunką do luksusowego hotelu w Bieszczadach.

– Niech zgadnę: do „Zacisza”?

– Otóż to. No i wyobraź sobie, że pojechał na weekend do córki, aby ją tam odwiedzić. Przyjeżdża, a tu się okazuje, że dziewczynka całkowicie straciła głowę dla jednej letniczki. Bo wiesz, to sierotka jest. Matki jej trza! No i upatrzyła se naszą Elwirkę. Ponoć tak do niej przylgnęła, że żadna siła nie była w stanie oderwać dziecka od twojej wnuczki. Chcąc nie chcąc, Krystian przez cały czas miał tę naszą małpę za towarzystwo i powiem ci w sekrecie, że wcale, ale to wcale sobie tego nie krzywdował! Ponoć bardzo się ociągał przed wyjazdem do Niepołomic i coś tam sobie poszeptali na stronie.

– Franka! Masz u mnie beczkę piwa! – wykrzyknęła entuzjastycznie Hania.

– Poczekaj z tą beczką, aż zabrzmiały weselne dzwony – ostudziła ją nieco Franciszka. – Trzeba teraz dopilnować, żeby to nie była jednoweekendowa znajomość.

– Ach, nie! – zaprotestowała Biedrzycka. – Nie można się wtrącać. Jak zacznę zachwalać Grenia, to ta małpa z przekory go sobie obrzydzi. Podolskiego pochwalałam, i co? I nic! Lepiej niech się sami dogadują między sobą – dodała ze stoickim spokojem.

Znała wnuczkę jak własną kieszeń i czuła, że tym razem nie trzeba uciekać się do podstępów: zgłaszać fałszywego włamania czy ciągać kawalera na obiady. Greń dysponował bowiem tak potężnym argumentem, że mięśnie Marcina po prostu nie wytrzymały konkurencji – był samotnym ojcem. Zdaniem Hanny nic nie mogło rokować lepiej dla potencjalnego absztyfikanta wnuczki. Pominęła milczeniem swoje przemyślenia.

Dzieląc się uwagami dotyczącymi ostatnich sensacji, dokończyły spożywanie napojów alkoholowych.

– Eee... tego. Ja muszę teraz do kościoła – oznajmiła Franciszka, wstając.

– Czyś ty *zaszła z uma*? Jak teraz chuchniesz plebanowi, to za pokutę każe ci do końca życia pić wodę źródlaną. Przeżyłabyś takie umartwienie?

Kobiety uściły rachunek i opuściły lokal. Dochodziły do przejścia dla pieszych, gdy Franciszka złapała Hankę za ramię i gwałtownie odciągnęła na bok, w zaułek koło ogrodów Królowej Bony.

– Co jest? – zdziwiła się Biedrzycka.

– Patrz! – Frania zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu i ruchem głowy wskazała ni mniej, ni więcej, tylko Elwirę zmierzającą w towarzystwie Krystiana do kawiarni, którą właśnie opuściły.

– A niech to! – ucieszyła się Biedrzycka, widząc żywy dowód słów przyjaciółki.

Nieświadomi wywołanej właśnie sensacji, Elwira i Krystian zajęli miejsca w kawiarni Alter Ego. *Nota bene* przy tym samym stoliku, przy którym parę minut wcześniej zostali zdemaskowani i rozłożeni na czynniki pierwsze przez dwie starsze panie.

Przez chwilę Greń przyglądał się w milczeniu Elwirze. Niby znał ją od bardzo dawna i dobrze wiedział, jak wygląda, lecz tak naprawdę ta wiedza i znajomość były bardzo powierzchowne. Na przykład nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi na to, że ta niepozorna, drobniutka kobietka ma takie piękne oczy: duże, ciemnobrązowe, okolone gęstwiną długich, wywiniętych do góry rzęs. W oryginalność tych ostatnich nie wątpił – nie wyglądały sztucznie. Zresztą Marecka chyba nie należała do próżnych istot, które pół życia spędzają w salonach piękności.

Idzie czasem jedna z drugą na te wszystkie botoksy, manikiry i stylizacje, a potem nie dotykaj jej, uchowaj Boże, aby czegoś tam nie uszkodzić! – rozmyślał. Agnieszka taka była: jak przychodziła od fryzjera, to nie było opcji, aby mógł ją pogłaskać albo zrobić coś więcej. Bo od pocierania o poduszkę zniszczyłaby się fryzura. Tak, jakby nie można było zrobić tego w innej pozycji. Na jeźdźca chociażby.

A może to taka współczesna odmiana bólu głowy?

Greń, poza krótkim epizodem małżeńskim, nie miał większego doświadczenia z kobietami. Nie dysponował także nadmiarem czasu przeznaczonym na kumpli i męskie dyskusje (wolne chwile poświęcał córce), ale z nielicznych rozmów wynikało, że większość mężczyzn zmagала się z podobnymi problemami: *dzisiaj nie mogę, bo mam świeżo pomalowane*

pazurki – jeszcze nie do końca wyschły, uważaj na moje włosy!, nie dotykaj moich piersi – kosztowały mnie fortunę oraz kilka dni cierpienia. Ech! Po co mu więc w domu taki okaz, który można tylko i wyłącznie oglądać?

A jednak w oczach Elwiry dostrzegł coś urzekającego. Przez chwilę szukał w myślach odpowiedniego porównania, aż w końcu go oświeciło – one płonęły ciepłym blaskiem.

Oczy twe jak piękne świece, a w sercu źródło promienia^[4] – przyszedł mu do głowy fragment wiersza.

A gdyby tak powiedzieć te słowa na głos? Czy Elwira wyśmiałaby jego romantyzm? Popukałaby się w czoło? Uznałaby to za przejaw molestowania przez kolegę z pracy?

Świat zwariował. Trudno dzisiaj powiedzieć komplement kobiecie i nie zostać przy tym podejrzanym o jakieś nieczne zamiary – westchnął Greń. Mimo wszystko postanowił podjąć ryzyko i wyrecytował część utworu Gałczyńskiego.

– Masz nieziemskie oczy – dodał na koniec.

Elwira poczuła przyjemne mrowienie w okolicy serca. Czyżby w końcu spotkała romantycznego mężczyznę? I to nie tylko z nazwy, bo Romkowi Tycznemu do romantyzmu było równie daleko jak z Niepołomic do Warszawy – lecz takiego, który potrafi jednym zdaniem stworzyć nastrojowy klimat.

– Dziękuję. To bardzo miłe – odparła.

– I szczerze. Jesteś wyjątkowo ciepłą osobą. Lubisz dzieci, prawda?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – przyznała. – Niewiele mam z nimi do czynienia. Nie posiadam licznej i dzieciatej rodziny, a pociechy przyjaciółek zaczęły niesamowicie szybko dorastać. Prawdę mówiąc, jedyne dziecko, z jakim miałam ostatnio styczność, to Iwonka. Masz uroczą córkę i, chociaż znam już twój punkt widzenia, chyba nie przestanie mnie dziwić, czemu nigdy się nią nie chwaliłeś.

Krystian uśmiechnął się, lecz nie skomentował jej słów.

– Pewnie nie jest łatwo być samotnym ojcem – zagadnęła Elwira.

– Tak. Początki były wyjątkowo trudne. Kiedy zabrakło mojej żony, zostałem z ręką w nocniku. Dosłownie. Nie potrafiłem zrobić przy dziecku absolutnie nic. Przewijanie, karmienie, kąpiel... Wszystko to było czarną

magią.

– Jak wybrnąłeś? Niania?

– Nie. Niania była ostatecznością dopiero wtedy, gdy potrzebowałem wyjść z domu. Do dziś pamiętam moment, gdy pierwszy raz musiałem przewinać Iwonkę. Niezapomniane przeżycie!

– Jak tego dokonałeś?

– Najpierw wpadłem w panikę. Później zadzwoniłem do matki z błaganiem, aby przybyła z odsieczą. Ona oczywiście nie mogła. Krok po kroku tłumaczyła mi przez telefon, co mam robić. To był prawdziwy skok na głęboką wodę, bo w gaciach Iwonki była grubsza sprawa.

– Ha, ha, ha! Przeszedłeś chrzest bojowy już za pierwszym podejściem!

– Owszem. Później było niby z górki, bo już wiedziałem, o co chodzi, ale zaczęły się różne niespodzianki w stylu: biegunka, ząbkowanie, zapalenie ucha. Razem chorowaliśmy na ospę.

– Serio?

– Serio, serio! Jako chłopiec unikałem tego paskudztwa, więc dwa lata temu przeszedłem przez zarazę z nawiązką. Myślałem, że zwariuję! Nie dość, że musiałem pilnować, aby Fiona się nie drapała, to jeszcze sam miałem ochotę zedrzeć z siebie skórę.

– Nie smarowałeś krost?

– Smarowałem, a jakże! Licytowaliśmy się nawet z Iwonką o to, kto ma więcej kropek. Wyglądaliśmy jak dwa muchomory. Ech, było, minęło. – Machnął ręką.

– Niezupełnie. Sam jeszcze nie wiesz, jakie czekają cię atrakcje.

– Już się boję! – Przewrócił wymownie oczami. – Zaczną się pierwsze dyskoteki, randki, kupowanie staników! Brr! – Żartobliwie zadygotał ze strachu. – Obawiam się, że w tym przypadku nie będę mógł liczyć na pomoc youtuberów.

– W razie czego służę pomocą. Znam się zarówno na randkach, jak i na kupowaniu staników. – Puściła oko do Krystiana i uświadomiła sobie, że jej słowa mogły zabrzmieć bardzo perwersyjnie.

– Dzięki. Zapamiętam. A tak przy okazji, chciałbym zapytać, czy nie wybrałabyś się z nami na wycieczkę do zoo. Iwonka nie przestaje mi suszyć o to głowy już od jakiegoś czasu. A wczoraj poszerzyła program

wycieczkowy o ciebie. Zlitujesz się nad biednym, uciemiężonym rodzicem?

– Och, biedaku uciemiężony! – zakpiła. – Z przyjemnością ulżę twojemu cierpieniu.

Chętnie pogłaskałaby go przy tym po starannie ogolonym policzku, ale obawiała się, że mógłby uznać ten gest za zbyt poufały. Albo, co gorsza, że jest w nim zakochana. A ona, owszem, zakochała się, lecz nie w nim, a w jego córce. On wzbudzał w niej tylko i wyłącznie sympatię.

Chyba.

– Naprawdę?! – ucieszył się Greń. Do tej pory żywił obawy, że Elwira może odmówić. Przecież mogła powiedzieć, że ma już dość niańczenia przemądrzałej małolaty, która zrujnowała jej urlop, i nie będzie poświęcała ani chwili ze swojego bezcennego wolnego czasu.

– Żaden problem. Dawno nie byłam w zoo. Jakieś... Eee... Yyy... Ćwierć wieku. Boże! Ależ to zabrzmiało – stwierdziła z przerażeniem.

Dobra nasza! – pomyślał Krystian o jej deklaracji wspólnego wyjazdu. Zatrważający wiek Elwiry nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia.

– Iwonka bardzo się ucieszy – oznajmił.

A ty? – chciała zapytać, lecz w porę zapanowała nad słowotokiem. Zaczęła spekulować, czy poszłaby z nim na randkę, gdyby dzięki temu mogła spędzić trochę czasu z jego córką. A później puknęła się w czoło (nie naprawdę, rzecz jasna), że przecież nikt nie zabiera dzieci na randkę, bo randki z założenia są dla dorosłych.

– Ja też się cieszę – przyznała, zachowując stosowną powściągliwość.

– Świetnie. To dogadamy szczegóły przy okazji, okej?

– Tak, jasne.

Właściwie czemu nie? W gruncie rzeczy Krystian był bardzo miłym... eee... kolegą z pracy.

– Tylko nie pomyśl sobie, że jestem aż takim córeczkowym tatusiem – puścił oko do Elwiry – i ustępuję Fionie we wszystkim.

– Wcale tak nie myślę. To bardzo mądra i dobrze wychowana dziewczynka. Nie uważam, aby była rozpieszczona. I wiesz co? Podziwiam cię i trochę ci tego zazdroszczę.

– Czego? – zapytał dość głupio.

– Dziecka. To musi być cudowne uczucie, gdy wiesz, że masz kogoś, dla

kogo jesteś najważniejszy na świecie.

– Tak, to prawda. Mega uczucie! Zapewne też poczujesz to w swoim czasie – chlapanął nieopatrznie. Od razu ugryzł się w język, gdyż Elwira zagryzła wargę i pokręciła przecząco głową. – No tak. Przepraszam. Burak ze mnie. Przecież dopiero co rozstałaś się ze swoim chłopakiem.

– Nie chodzi o Marcina – powiedziała z głębokim smutkiem. – Zazdrościsz ci, bo ja nigdy nie przeżyję tego wszystkiego co ty. Wiesz... Nie rozmawiam o tym prawie z nikim, ale czuję, że z tobą mogę być szczerą. Ty zrozumiesz ogrom mojej straty – mówiła coraz ciszej. – Przed laty miałam straszny wypadek samochodowy, po którym zostałam kaleką na całe życie. I nie chodzi tylko o to, że utykam na jedną nogę. Nie mogę mieć dzieci – zakończyła niemalże szeptem.

Przy stoliku zapadła przerażająca wręcz cisza. Greń zamarł. Przez jego myśl lotem błyskawicy przebiegły wspomnienia wszystkich najlepszych chwil w życiu – tych, które spędził z ukochaną córką.

Niewyobrażalnie okrutny jest los, skoro tak miłej i ciepłej osobie jak Elwira odbiera możliwość przeżywania tego wszystkiego!

Mężczyzna wyciągnął rękę i przykrył nią dłoń kobiety, spoczywającą na kawiarnianym stoliku. Nie powiedział nic, bo zdawał sobie sprawę, że żadne słowa nie są adekwatne do tego, co musi dziać się w sercu i umyśle Mareckiej.

Spojrzeni sobie w oczy. Elwira wysiliła się na delikatny uśmiech i lekko pokiwała głową.

– Przepraszam. Nie wiem, czemu ci o tym powiedziałam – zreflektowała się po chwili.

– Czasami trzeba oczyścić umysł ze smutnych myśli.

– Jakbym słyszała Pati, moją najlepszą przyjaciółkę. – Następny uśmiech Elwiry był znacznie szerszy.

Być może przyszedł już czas na godzenie się z losem – pomyślała. Trzeba w końcu zaakceptować to, na co nie mam wpływu.

– Widzisz to co ja? – Franciszka Melesiuk szturchnęła w bok Hanię.

Kobiety od dłuższego czasu stały za oknem kawiarni Alter Ego, zerkając do środka. Na pozór wyglądały jak dwie przekupki, które wpadły na siebie

i zaczęły wymieniać ploteczki. W rzeczywistości podkraśli się pod witrynę, aby sprawdzić na własne oczy, że żadna z nich nie uległa przywidzeniu, gdy Greń i Elwirka wchodzili do środka. Wszak w dziejach ludzkości występowały już zbiorowe halucynacje.

– Za rączki się trzymają! – informowała na bieżąco Franka, której tupet nie bronił ostentacyjnego spoglądania w okno.

Hania była pod tym względem znacznie bardziej powściągliwa i ograniczała się jedynie do dyskretnego rzucenia okiem raz na jakiś czas.

– No widzisz? Mówiłam ci, że nie wolno ingerować w bieg zdarzeń. Jak ma z tej mąki wyjść bochenek chleba, to wyjdzie.

– A jak ładnie w oczka sobie zagląдают! – komentowała Franciszka.

– Daj popatrzeć – powiedziała Biedrzycka, odsuwając przyjaciółkę na bok, aby dyskretnie zajrzeć do kawiarni. – Ach! Taki widok to miód na moje serce! – Wzruszyła się niemalże do łez.

– Pani Małgosiu! Pani Małgosiu! – Zziajana Stasia biegła korytarzem w ślad za doktor Osikowicz.

– Co się stało, pani Stasiu? Proszę tak nie gonić, bo jeszcze pani złamie nogę czy co – zasugerowała Małgorzata, której głupio było powiedzieć, że tak naprawdę bieganie nie jest wskazane, gdy ważąca ponad dziewięćdziesiąt kilo (zgubne upodobanie do marcepanu w czekoladzie, pochłanianego w zastraszających ilościach, odkąd Roman Tyczny złamał biduli serce) amatorka sportu gustuje w butach na wysokim obcasie (ponieważ wówczas wygląda się smuklej) i na domiar złego wyczynia te harce na posadzce z polerowanego marmuru.

Stasia zatrzymała się, dysząc ciężko – bądź co bądź pokonała dystans całego korytarza, co dla niej było niebywałym wyczynem.

– Słyszała pani najnowsze wieści?

– Jakie?

– No, o Greyu i naszej Elwirce.

– A, to! Podobno Krystian zaprosił ją na kawę.

– Ha! Żeby tylko na kawę! Do zoo się wybierają! Z jego córką. Bo, patrz pani, on ma córkę!

– Co?

– Otóż to! Proszę sobie wyobrazić, że wczoraj po południu przyszła tutaj taka jedna, chyba gosposia Christiana. – Stasia zdecydowanie nie przyjmowała do wiadomości, że pracuje razem z Krystianem Greniem, a nie tytułowym bohaterem skandalizującej powieści o perwersyjnym biznesmenie. – I przyprowadziła ze sobą dziecko. Znaczy się: dziewczynkę. Małą taką. Mogła mieć ze sześć, może siedem lat.

– A to gagatek! – Małgorzata złapała się pod boki i nadstawiła ciekawskich uszu. – Gdzież on to dziecko chował? I skąd je wziął?!

– Dobre pytanie, pani Małgosiu! Ponoć to wdowiec – Stasia zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu – a ta mała została mu z pierwszego małżeństwa. No i wyobraź sobie, pani Małgosiu, że ta kobieta, niania znaczy się, zaczęła dopytywać o Greya. A ja od słowa do słowa dowiedziałam się, kim jest i po co przyszła.

– A po co przyszła?

– No, z dzieckiem przyszła. Bo mała stęskniła się za ojcem i chciała mu zrobić niespodziankę, więc przyszła po niego do pracy.

– E tam, toż to przecież nic niezwykłego.

Małgosia wzruszyła ramionami i już, już miała wejść do swojego gabinetu, gdy Stasia uczepiła się jej ramienia i z ogromnym zaangażowaniem kontynuowała:

– Ale pani Małgosiu! Proszę sobie wyobrazić, że akurat o tej samej porze kończyła pracę doktor Marecka. Jak tylko wyszła z gabinetu i ta dziewczynka ją zobaczyła, to, powiadam pani, jak się rzuciła w jej stronę! Jak zawisła na jej szyi! Jakie tam powitania odchodziły! Ho, ho, ho! Rodzona matka nie witałaby się tak wylewnie z własnym dzieckiem! I proszę sobie wyobrazić taką sytuację: ta mała zaczęła nagle krzyczeć, jak bardzo się cieszy, bo tatusiek jej powiedział, że pojedą razem do zoo.

– O kurczę!

– Otóż to, droga pani. O kurczę! Wygląda na to, że ten cały Grey i pani Elwirka mają romans! I to bynajmniej nie od przedwczorajszej kawki w Alter Ego!

– No popatrz pani! – westchnęła doktor Osikowicz. – A ja myślałam, że ona cierpi po rozstaniu z Podolskim!

– Oj tam! Podolski to prehistoria! Tutaj, pani Małgosiu, szykuje się jakiś

perwersyjny romans. Ja to mówię! – Dźgnęła się palcem w lewą pierś tak mocno, że ciało opięte sztywnym stanikiem gwałtownie zafalowało.

Siedzący w kącie poczekalni Roman Tyczny westchnął przeciągle. Jego nadłamane serce pękło na dwie równiutkie połówki.

Gdyby tylko wiedział, że przebrzydły Greń robi podchody do Elwiry! Już on by mu pokazał!

Znał go bardzo dobrze, a jakże! Wszak to Krystian polecił mu klinikę. Od zawsze mieszkali w tej samej wsi, a ich żony przez ładnych parę lat były najlepszymi przyjaciółkami.

Romek nie miał o tym nawet mglistego pojęcia, ale podobnie jak Krystian, on także padł ofiarą spisku zdesperowanych singielek. Na skutek tejże zmowy najpierw niemalże siłą został zawleczony przed ołtarz (w przeciwieństwie do Grenia próbował stawiać opór), potem obarczony dzieckiem, a następnie porzucony przez znudzoną połowicę. Różnica była taka, że jego ekszona miała się dobrze i była w trakcie trzeciego rozwodu, natomiast Agnieszka Greń spoczywała na cmentarzu parafialnym w Kłaju.

O, gdyby tylko wiedział, że Elwira tak bardzo lubi dzieci! Nie trzymałby swojej córki w sekrecie. Kto wie, czy droga do serca Elwiry nie wiodła poprzez pokój dziecięcy? Skoro ta mała Greniówna tak ją lubiła, to oznaczało, że Marecka jest przepełniona instynktem macierzyńskim. Przecież każdy wie, że kobiety kochają dzieci. A czyż istnieje bardziej komfortowa sytuacja od tej, gdy nie muszą rodzić ich na własną rękę? Wszak Roman był ze swoją ekspołowicą na porodówce, więc dobrze wiedział, ile to kosztuje wysiłku, ile łez i ile krzyku!

Och głupi, głupi, po trzykroć głupi! Miał w rękawie asa i nie wyjął go w decydującym momencie!

Biedny Korposzczurek. Tylko w jego umyśle mogły zalęgnąć się równie dziwaczne myśli.

[4] K.I. Gałczyński, *Ocalić od zapomnienia*.

Druga szansa

Podolski dobrze wiedział, że po raz drugi nie przejdzie mu numer z zapisaniem się na wizytę do Elwiry. Marecka uporczywie nie odbierała jego telefonów, ignorowała także SMS-y. A on koniecznie musiał się z nią spotkać i porozmawiać na bardzo ważny temat. Nie chciał odwiedzać jej w mieszkaniu, chociaż kilkakrotnie dotarł pod okna kobiety. Bał się jednak, że zostanie przez nią oskarżony o naruszanie miru domowego. On, zastępca komendanta policji, nie mógł sobie pozwolić na zszarganie nieposzlakowanej opinii.

W końcu Marcin uznał, że po prostu zaczeka na Elwirę pod kliniką, a następnie poprosi ją, aby poszła z nim na spacer. Albo na kawę. Byle tylko mogli spokojnie pogadać.

Bezzwłocznie postanowił zrealizować swój plan. Na szczęście kobieta pracowała według stałego grafiku – odstępstwa od niego nie zdarzały się prawie nigdy. Miał więc nadzieję, że nie będzie stał przed wejściem jak skończony głupek.

Wiedział, że nie będzie łatwo, jak tylko zobaczył Elwirę wychodzącą z budynku. Jej mina mówiła sama za siebie. Mężczyzna nie mógł pojąć, skąd nagle w Mareckiej pojawiło się tyle wrogości. Czyżby przemawiała przez nią wściekłość kobiety, której instynkt macierzyński nie może znaleźć ujścia, a on nieopatrznie zawinił, odrzucając jedyne rozwiązanie problemu, jakie mu podsunęła?

Elwira stanęła dwa kroki od niego. Spojrzała wyczekująco.

- Cześć – powiedział.
- Cześć – odparła równie krótko.
- Możemy porozmawiać?
- A mamy o czym?
- Nie odbierałaś moich telefonów.
- Byłam na urlopie. Wysłałam ci SMS-a.
- Tak, oczywiście. Ale przecież wróciłaś kilka dni temu. Słuchaj, naprawdę mi na tym zależy. Pójdziemy się przejść? – zapytał.
- Okej – powiedziała bez większego entuzjazmu. – Ale nie obiecuj sobie zbyt wiele.

Nie chciała mówić tego pod drzwiami kliniki, lecz tak naprawdę nie powinien sobie obiecywać absolutnie nic. W jej oczach stracił wszystko podczas poprzedniej rozmowy. Słów, które wtedy padły, nie dało się cofnąć ani wymazać z pamięci. O ile wcześniej bardzo lubiła Podolskiego i nawet była skłonna mu wybaczyć, tak w tamtym momencie radykalnie zmieniła zdanie – nie chciała mieć do czynienia z osobnikiem ograniczonym emocjonalnie.

Usiedli na ławce w parku. Może nie były to szczególnie sprzyjające warunki do spokojnej rozmowy, ponieważ wokół kręciło się mnóstwo przechodniów, lecz zdaniem Marcina i tak lepsze to niż tłoczna kawiarnia, gdzie każdy tylko strzyże uszami.

Siedzieli sztywno, odsunięci od siebie. Mężczyzna nie próbował wziąć kobiety za rękę ani nawet przysunąć się bliżej. Wyczuwał niechęć Mareckiej, lecz wierzył, że zdoła ją skruszyć, gdy wyłuszczy temat, z którym przybył.

– Elwirka, przepraszam cię – powiedział Marcin. – Zachowałem się jak skończony kretyn. Nie próbowałem zrozumieć twoich potrzeb.

– Bijesz się w piersi? A, to już nowość!

– Proszę, nie ironizuj. Składam samokrytykę, bo bardzo mi na tobie zależy. W ostatnich tygodniach uświadomiłem sobie, jak mi Ciebie brakuje. Zresztą nie prosiłbym cię o rękę, gdyby było inaczej.

– A ja mam wrażenie, że zrobiłeś to, bo uznałeś, że najwyższa pora, aby się ustatkować. Lata lecą, nie będziesz już coraz młodszy. Poczujesz się zobowiązany do przekazania swoich genów dalej.

– Przepraszam, jeśli poczułaś się tym dotknięta – odparł i zaraz ugryzł się

w język.

To, że wcześniej postanowił przyznawać jej rację we wszystkim, nie oznaczało, że ma tak głupio się pograżać! Tym bardziej, że znowu wymownie na niego spojrzała. Oj! A gdzie podziała się ta miła dziewczyna, wożona przez niego na sankach, z którą łowił ryby i patrzył wieczorami w gwiazdziste niebo? Westchnął na wspomnienie wszystkich cudownych chwil spędzonych razem.

Nigdy w całym swoim życiu nie spotkał istoty równie prostolinijnej i nieskomplikowanej jak Elwira. Ona nie strzelała fochów z byle powodu, nie jęczała, że zamiast komedii romantycznej oglądają film sensacyjny. Nie musiał wysilać się na kupowanie kwiatków, czekoladek i innych dupereli. Ponieważ nosiła buty na płaskiej podeszwie, nie marudziła podczas spacerów. A już zdecydowanie najprzyjemniejsze randki były wtedy, gdy siedzieli u niej w mieszkaniu, wcinając jakieś smakołyki podrzucone przez nieocenioną babcię, i oglądali telewizję. Co prawda musiał znosić te cztery cholerne sierściuchy, ale i tak nie było źle.

Z biegiem czasu nauczył się, że pozostawianie butów w przedpokoju może implikować ich zniszczeniem – a to poprzez odgryzienie sznurówek, a to przez zalanie. Ostatecznie mógłby dalej znosić to, że na jego widok dwa koty syczą ostrzegawczo, trzeci za każdym razem usiłuje go podrapać, a czwarty znika jak kamfora, pozostawiając wcześniej mokrą niespodziankę na jego obuwiu. Mógłby nawet pójść od czasu do czasu na film wybrany przez nią – do prawdziwego kina, a nie kameralnego studia. Mógłby też zgodzić się na coś, co było dla niej istotne, a dla niego stanowiło argument ostateczny:

– Wiem, że to dla ciebie bardzo ważne – powiedział, przygotowując grunt pod wytoczenie ciężkich dział. – Przemyślałem wszystko jeszcze raz i doszedłem do wniosku, że jestem gotów adoptować dziecko. Zgodzę się absolutnie na wszystko, jeśli tylko do mnie wrócisz.

Na reakcję Elwiry nie musiał długo czekać.

– A czy jesteś w stanie pokochać obce dziecko?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – przyznał. – Dokładałbym starań, aby tak było – wybrnął zgrabnie. – Kocham cię. Z miłości człowiek jest zdolny do różnych rzeczy.

– Tak. Wiem coś na ten temat – stwierdziła Elwira, a jemu od razu serce

żywiej zabiło. – Ja też się zakochałam – kontynuowała, budząc coraz większą nadzieję w Marcinie. – Ona ma sześć lat. Jej matka zmarła, gdy miała pół roku. Ma na imię Iwonka.

– Chcesz, abyśmy ją adoptowali? – domyślił się, z trudem kryjąc rozczarowanie. Miał nadzieję, że po tym, co jej obiecał, usłyszy, że Elwira zakochała się w nim. Nigdy tego nie powiedziała, choć okazji nie brakowało. Zawsze była powściągliwa w wyrażaniu emocji.

– Nie – odpowiedziała spokojnie kobieta. – Adopcja nie wchodzi w grę. Ona ma ojca – westchnęła.

– Mam go aresztować, oskarżyć o przemoc w rodzinie i wszcząć procedurę mającą na celu pozbawienie go praw ojcowskich?

– Nie! Marcin! Co cię opętało?! Chcesz komuś zniszczyć życie?

– No, to o co chodzi? – zdziwił się mężczyzna, a potem palnął dłonią w czoło. – Okej, kumam. Usiłujesz mi właśnie powiedzieć, że masz innego mężczyznę.

– Nie.

– No to ja już nic nie rozumiem. Co jest grane?

– Próbuję ci właśnie wytłumaczyć, że mam inne priorytety niż ty. Nie szukam mężczyzny. Nie potrzebuję obrączki na palcu. Jestem szczęśliwa, gdy mogę spędzić choć trochę czasu z dzieckiem. Nawet, jeśli nie jest to moje dziecko.

– A jej ojciec?

– Lubię go. To mój kolega. Z tego, co wiem, on również nie szuka miłości i nowego związku. Mamy więc ze sobą coś wspólnego. Obiecałam mu, że nie zranię uczuć jego córeczki. Ona bardzo się do mnie przywiązała.

– Nie! To są jakieś jaja! Wkręcasz mnie! – stwierdził Marcin, bowiem słowa Elwiry uznał za zupełnie niewiarygodne.

– No widzisz? I tu jest właśnie pies pogrzebany. Nie dość, że nigdy nie słuchasz tego, co do ciebie mówię, to jeszcze nadajesz na innych częstotliwościach. Zrozum w końcu, że miłość to nie jest stan posiadania drugiej osoby na wyłączność. To jest także poświęcenie się dla kogoś i rezygnacja z egoistycznych pragnień.

Podolski spoglądał na nią w milczeniu. W końcu dotarło do niego, że ponownie zrobił z siebie kompletnego idiotę – on i ona mieli zdecydowanie

różne światopoglądy. To było nie do pogodzenia. Nie i już.

– Więc nie wrócisz do mnie? – upewnił się ze smutkiem.

– Niestety. Przykro mi to mówić, ale dla mnie jesteś zbyt dziecinny, niepoważny i niedojrzały. W związku przynajmniej jedna osoba powinna być dorosła. Ja jestem, ale nie chcę dużego chłopczyka. Lepiej będzie, jak się pożegnamy. Proszę, nie nachodź mnie więcej. Jak widzisz: i tak nic z tego nie będzie.

Tego dnia, jak nigdy wcześniej, Biedrzycka pozostawała wyjątkowo ślepa na uroki Puszczy Niepołomickiej skąpanej we wrześnieowych promieniach słonecznych. Drzewa z wolna przyoblekały się w jesienne kolory, lecz kobieta nie dostrzegała feerii barw przed swoimi oczami. Jeszcze nigdy bieganie nie szło Hani równie opornie. Wróciła do domu wyjątkowo wyzuta z sił. Wzięła prysznic i, zamiast wyjść po zakupy, postanowiła położyć się na chwilę na kanapie, aby uciąć sobie krótką drzemkę. Pablo wykorzystał okazję i ułożył się na dywaniku obok niej. Z niepokojem spoglądał na swoją panią. Jak przystało na wiernego przyjaciela, wyczuwał, że coś jest nie tak jak powinno. Hanna także nie spała. Leżała ze smętną miną, pocierając dłonią mostek.

– Pablo, pieseczku, tak mi jakoś ciężko na sercu dzisiaj – westchnęła.

Potężny dog niemiecki cichutko zaskomlał, jakby chciał przekazać słowa wsparcia.

Kobieta wyciągnęła dłoń i pogłaskała psi łeb.

– Dobry z ciebie przyjaciel – stwierdziła, a potem jęknęła.

Jej dłoń bezwładnie opadła. Pies momentalnie podniósł się i nadstawił uszu. Przynął pysk do twarzy swojej opiekunki i kilkakrotnie trącił ją nosem. Kobieta nie zareagowała. Podobnie rzecz miała się, gdy szturchnął głową jej rękę.

Pablo zaszczekał. Zrobił kilka kółek w salonie, a następnie pobiegł w stronę drzwi wejściowych. Zgrabnie przecisnął się przez specjalnie wykonaną klapę. Pognał w stronę furtki, lecz ta, niestety, była zamknięta. Zaczął nerwowo ujadać, ale na nic się to zdało. Nacisnął łapą klamkę – dobrze wiedział, jak otworzyć bramkę. Wiedział także, że zazwyczaj jest ona zamknięta na klucz. Pani robiła to od czasu, gdy zaczął wymykać się na ulicę.

– To dla twojego dobra, głupku – burczała gniewnie. – Ani mi się śni szukać Pabla V. Jesteś zdecydowanie za młody na to, aby zginąć pod kołami samochodu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jesteś moim ostatnim psem. Rozumiesz? Masz mnie przeżyć, ty skurczybyku! – Tarmosiła go za uszy.

Na szczęście tym razem Hania nie przekręciła klucza, więc po kilku próbach zdołał sforsować bramkę i wybiec na ulicę. Bez dalszej zwłoki pognął do Franciszki Melesiuk mieszkającej kilka przecznic dalej. Tego dnia wyjątkowo dopisywało mu szczęście, gdyż starsza pani właśnie wieszała pranie w ogrodzie. Pies oparł się przednimi łapami o płot i zaczął przywoływać kobietę szczekaniem. Początkowo nie zwróciła na niego uwagi, lecz ujadął tak długo, aż odwróciła głowę.

– Pablo? – zdziwiła się kobieta. – A co ty tutaj robisz, piesku?

Dog na przemian czekał i odskakiwał od ogrodzenia, jakby chciał powiedzieć, aby poszła za nim.

– A gdzie Hania? – zapytała Franciszka.

Pies nadal ujadął.

– Matko! – krzyknęła. – Coś złego przydarzyło się Hance?! Miruś, Pawełek! – zawołała wnuki. – Bawcie się tutaj grzecznie, ja zaraz wrócę! Idę na chwilę do Hani.

Wpadła jak burza do domu i złapała zapasowe klucze do willi Biedrzyckiej. Już od dawna była w ich posiadaniu. Hanna dała jej kiedyś komplet ot tak, na wszelki wypadek, a także po to, aby pod jej nieobecność karmiła Pabla, podlewała kwiatki i wyciągała pocztę ze skrzynki. Tłumaczyła, że nie chce tym zawracać głowy wnuczce, bo ta bidula jest zapracowana i na dodatek mieszka po drugiej stronie miasta.

Frania jeszcze nigdy nie dotarła do domu przyjaciółki w takim tempie. Gnał ją niepokój o Biedrzycką. Pablo biegł przed nią, raz po raz oglądając się za siebie i wydając krótkie szczeknięcia, jakby chciał powiedzieć: *szybciej, kobieto!* Pędziła więc w starej, pamiętającej czasy PRL-u, dederonowej podomce oraz domowych pantoflach, które okres świetności już dawno miały za sobą.

W końcu dotarli przed willę Biedrzyckiej. Melesiukowa załomotała w drzwi, lecz gospodyni nie otwierała. Kobieta przyłożyła do nich ucho.

W domu panowała cisza.

– Haniu! Haniu! – zawołała, a następnie przekręciła klucz w zamku.

Franciszka nie musiała szukać przyjaciółki – Pablo od razu zaprowadził ją do salonu. Biedrzycka była nieprzytomna, lecz bez wątpienia żyła. Jej klatka piersiowa delikatnie falowała.

Sprowadzeni na miejsce ratownicy medyczni stwierdzili zawał serca i przewieźli Hannę na oddział intensywnej terapii w jednym z krakowskich szpitali. Frania bezzwłocznie powiadomiła Elwirę. Później obeszła cały dom, aby sprawdzić, czy wszystkie urządzenia są powyłączone. Zakręciła gaz w piecyku łazienkowym, pozamykała okna, wzięła smycz Pabla i jego ulubioną piłeczkę.

– Chodź, pieseczku – powiedziała do zwierzęcia, starannie zamykając drzwi. – Przez kilka dni będziesz mieszkał u mnie. Rozumiesz? – Nachyliła się nad czworonogiem i zajrzała w jego ufne czarne ślepia. Poklepała go po łbie. – Wszystko będzie dobrze, zaufaj mi. Ocaliłeś życie Hani, wiesz?

Pies zaskomlał żałośnie, jakby doskonale rozumiał, co się dzieje.

– Pani Stasiu! Bardzo proszę o odwołanie wszystkich moich pacjentów na resztę dnia! Proszę ich ode mnie przeprosić i umówić na przyszły tydzień. Dzisiaj przyjmę jeszcze tylko jedną osobę, a później muszę pilnie wyjść. Moja babcia miała zawał. Leży na intensywnej terapii.

– Oczywiście, pani Elwiro. Bardzo mi przykro – powiedziała Stanisława, lecz Marecka chyba tego nie usłyszała, gdyż zdążyła już odłożyć słuchawkę.

Recepcjonistka rozejrzała się po poczekalni. Na razie na wizytę u Mareckiej czekał tylko jeden człowiek. Stasia szybko zadzwoniła do osoby, która mogła zjawić się jako następna, i wyjaśniła sytuację. Potem zerknęła na grafik i sprawdziła, komu może podesłać pacjenta Elwiry. Tę sprawę także załatwiła pomyślnie, więc gdy pani doktor została sama, natychmiast weszła do gabinetu i poinformowała ją, że może od razu wyjść.

– Jest pani nieoceniona! – ucieszyła się Elwira, dla której każda minuta była na wagę złota.

Przez ostanie pół godziny umierała ze strachu o babcię. Nie była w stanie skupić się na pracy, ale nie mogła też ot tak po prostu opuścić gabinetu. Teraz jednak złapała torebkę, spojrzała z wdzięcznością na recepcjonistkę

i pognęła do samochodu, ciesząc się w duchu, że nie przyszła do pracy pieszo, co ostatnio robiła dość często.

Całą drogę do szpitala odczuwała nieprawdopodobne zdenerwowanie. Cud, że dojechała w jednym kawałku i nie spowodowała choćby kolizji. Powoli docierała do niej smutna prawda: bycie singielką wcale nie było dobre. Babcia miała cholerną rację! Gdyby nie była samotna, teraz za kółkiem juke'a siedziałyby opanowany mężczyzna, a ona do woli denerwowałaby się na fotelu pasażera. Mogłaby także próbować dodzwonić się na izbę przyjęć, aby dopytać o stan zdrowia babci.

A co będzie, jeśli nie zdąży na czas? Jeżeli lekarze nie zdołali uratować Hani? Przecież pani Franciszka mogła nie zdradzić przez telefon całej prawdy, aby jej nie denerwować! Elwira gorączkowo modliła się o to, aby babcia przeżyła. Miała jej tak wiele do powiedzenia! Choćby o znajomości z Iwonką. Powinna zapewnić Hanię, że nie jest całkiem samotna (to już od dłuższego czasu było przedmiotem największej troski starszej pani), bo ma Greniów. No, nie dosłownie – przecież nie można posiadać człowieka na własność. Niemniej jednak dzięki znajomości z Iwonką mogła przynajmniej trochę czasu spędzać w bardzo przyjemny sposób.

A Krystian...

Po blisko trzech miesiącach, które minęły od powrotu z Soliny, Elwira mogła z przyjemnością stwierdzić, że Greń jest wyjątkowym człowiekiem. Pomiędzy nią a Krystianem szybko zadzierzgnęła się nić porozumienia – taka, jaka może powstać tylko pomiędzy prawdziwymi przyjaciółmi. Bez podtekstów erotycznych i fałszu. Bez silenia się na sztuczną uprzejmość i udawania kogoś, kim się nie jest.

Być może, gdyby poprosiła Grenia, jechałby z nią teraz do Hani, podnosząc ją na duchu. Ale on miał swoich pacjentów i swoje sprawy. Nie byli rodziną. Nie powinna go obarczać aż tak prywatnymi problemami. Bo ciężka choroba jedynej bliskiej osoby jest czymś niebywale intymnym. To nie tylko fizyczny wymiar bólu, który stał się udziałem babci, ale również suma wszystkich lęków odczuwanych przez Elwirę. Paniczny strach, że wydarzy się coś bardzo złego i nieodwracalnego.

Hania była nieprzytomna. Jej poszarzała twarz kontrastowała z bielą

szpitalnej pościeli. Jakże niepodobna do siebie była Biedrzycka – bez dobrze skrojonej garsonki, bez liliowego toczka z woalką, bez oczu lśniących ciepłym blaskiem.

Marecka usiadła na taborecie i delikatnie ujęła dłoń staruszki.

– Babciu, nie możesz umrzeć – wyszeptała. – Mam ci jeszcze tak wiele do powiedzenia! Przyznaję, że byłam ostatnio żoną. Nie opowiadałam ci o moich sprawach. Nie chciałam, abyś wtrącała się w moje życie i nakłaniała mnie do zamążpójścia. Wydawało mi się, że dam sobie radę, ale to nieprawda! Boję się, babciu. Tak bardzo się boję, że pewnego dnia zostanę zupełnie sama. Wszyscy ludzie, których spotykam, są w moim życiu tylko na prawach gościa: pojawiają się na dłużej lub krócej, a później odchodzą. Iwonka też pewnego dnia dorośnie i pociągnie ją świat własnych spraw. Nie będzie potrzebowała mojego towarzystwa. Znajdzie chłopca, w którym się zakocha, a on wypełni cały jej czas. Ja pozostanę tylko odległym wspomnieniem. Nawet nie przyjaciółką, bo dzieli nas zbyt duża różnica wieku.

Ostrożnie ułożyła rękę babci na łóżku, a sama oparła się na łokciach i ukryła twarz w dłoniach.

Jeszcze nigdy nie czuła się równie samotna.

Natarczywy dzwonek telefonu wyrwał Elwirę z zadumy. Kobieta zerwała się i szybko wybiegła z sali. Na śmierć zapomniała o wyłączeniu aparatu. Odeszła kilka kroków korytarzem, grzebiąc nerwowo w torebce. Smartfon przestał brzęczeć, lecz ona nadal go szukała, choćby po to, aby wyciszyć dźwięk. W końcu udało jej się zlokalizować urządzenie. Zerknęła na wyświetlacz. Dzwonił do niej Greń.

Nagle odczuła potrzebę porozmawiania z kimś życzliwym.

Bez wahania wybrała połączenie z Krystianem. Mężczyzna prawdopodobnie wciąż trzymał telefon w dłoni, gdyż odebrał już po pierwszym dzwonku.

– Elwira? Jak się masz? Jak pani Biedrzycka? – zapytał bez zbędnych wstępów.

Kobieta przycupnęła na ławce. Nieznacznie pociągnęła nosem.

– Hej. Jest nieprzytomna. Wygląda źle. Bardzo źle. Jest taka skurczona

i poszarżała... Jak nie ona. – Słowa Mareckiej przeszły w szloch.

– A co mówią lekarze?

– Powinam być dobrej myśli. Pomoc zjawiała się dość szybko. Mimo wszystko bardzo się boję – westchnęła. – Ona ma osiemdziesiąt pięć lat!

– W którym szpitalu jesteście? – zapytał.

– Na Kopernika.

– Okej, będę u ciebie za godzinę. Trzymaj się, Elwirko. Wszystko będzie dobrze – powiedział i rozłączył rozmowę.

Niespełna godzinę później kobieta wpadła w otwarte ramiona Krystiana. Przytuliła policzek do jego piersi. Jeszcze nigdy nie była fizycznie aż tak blisko niego. Poczwała delikatną woń proszku do prania oraz korzenną nutę wody po goleniu. Tak właśnie pachniało poczucie bezpieczeństwa.

Chlipnęła cichutko, obejmując mężczyznę w pasie.

– Wszystko będzie dobrze, maleńka. Jestem przy tobie. Nie jesteś sama – powiedział, zanurzając twarz w jej włosach.

On bardzo dobrze wiedział, jak to jest, gdy ziemia usuwa się spod nóg, a obok nie ma nikogo, kto dodałby otuchy i zapewnił, że świat się nie kończy. Przytulił Elwirę i pogłaskał po plecach. Wiele dałby za to, aby ten gest choć trochę ukoił jej ból. Nagle pomyślał o tym, jak krucha i drobniutka jest istota, którą trzyma właśnie w ramionach. Mimo że miała mnóstwo przyjaciół i wszyscy bardzo ją lubili, była rozpaczliwie samotna.

On nie był sam – miał córkę, matkę i rodzeństwo oraz dalszą rodzinę.

Kiedy Elwira rozstawała się z przyjaciółmi, wracała do cichego, pustego domu zamieszkałego tylko przez czwórkę kotów. To mieszkanie było pełne tęsknot. Wyczuwał je za każdym razem, gdy widział, jak kobieta spogląda na Iwonkę.

To musiało cholernie boleć, a on mógł jej dać lekarstwo na ten ból.

Mógłby uchronić ją przed lękami, które czają się w samotności.

Już nie byłby takim cholernym egoistą jak przed laty. Doceniłby drugą szansę od losu. To świadomy wybór, nie potrzeba chwili! Dojrzywał do tej myśli od jakiegoś czasu. Może nie od momentu, gdy Elwira oblała go kawą, przez co zwrócił na nią uwagę. Może również nie od dnia, gdy spotkali się nad Soliną. W każdym razie myślał o tym coraz intensywniej i wiedział, że obrał najlepszą z możliwych dróg: pragnął kroczyć przez życie z tą cudowną

istotą u swojego boku. Na dobre i na złe. Na zawsze.

Następnego dnia Hania odzyskała przytomność. Elwira mocno uścisnęła jej dłoń.

– Babciu! Nie zdajesz sobie sprawy, jakiego stracha mi napędziłaś! – powiedziała, nie panując nad łzami.

– No już dobrze, dobrze. – Biedrzycka z wysiłkiem uniosła rękę i otarła policzek wnuczki. – A skoro leżę na łożu boleści, to mam prawo do kilku kaprysów. – Puściła do niej oko.

– Co tylko zechcesz – zapewniła młoda kobieta.

– Dobra, na początek pomóż mi w doprowadzeniu się do ludzkiego wyglądu. Zapewne przypominam teraz rozczochraną Babę Jagę.

Elwira, choć to może nie wypadało na szpitalnym oddziale, parsknęła śmiechem. Tylko jej babcia była zdolna do tego, aby krótko po odzyskaniu świadomości myśleć o swojej urodzie. Młoda kobieta wyjęła z torebki kosmetyczkę. Hania przejrzała jej zawartość i przewróciła oczami.

– No, z tym to my świata nie zawojujemy. Ale nie szkodzi, dziecko. Jeszcze masz czas na to, aby poddawać twarz gruntownej renowacji. Młodość ma swoje prawa. Ja, niestety, bez makijażu mogę tylko pójść pobiegać po puszczy.

Po dokonaniu drobnych korekt w wizerunku Hania z miejsca poczuła się lepiej.

– No, to jakie jest twoje drugie życzenie? – indagowała wnuczka.

– Potrzebuję pilnie skorzystać z telefonu. Domyślam się, że nie przyszło ci do głowy, aby przywieźć mi smartfon.

– Masz rację. Byłaś nieprzytomna, więc w ogóle nie zastanawiałam się nad takimi bzdurami. Możesz skorzystać z mojego aparatu, o ile znasz numer osoby, do której chcesz zadzwonić.

– Świetnie. Połącz mnie z Greniem. No, co tak wybałuszasz oczy, *diewoczka*? Zakładam, że masz numer do swojego kolegi z pracy.

– Eee... No, mam – przyznała i pomyślała, że być może nadszedł czas, aby poinformować babcię, że Krystian nie jest tylko kolegą z pracy.

Hania capnęła telefon niczym diabeł duszę.

– Halo? Krystian? – Uniosła w górę brwi i obdarzyła wnuczkę

powłóczyłym spojrzeniem. – Ależ oczywiście, że nie mówi Elwirka. Biedrzycka z tej strony. Aa! Dziękuję, bardzo dobrze. Dzięki Bogu mam mądrego psa. Tak, tak. Jeszcze raz dziękuję. Krystian, mój drogi chłopcze (mogę zwracać się tak do ciebie, prawda?), mam ogromną prośbę. Czy zechciałbyś zaszczycić mnie swoją obecnością? Tak, oczywiście. Ma się rozumieć, że jak najszybciej. No, to do zobaczenia. Pa, pa!

Biedrzycka rozłączyła rozmowę i oddała aparat wnuczce.

Elwira spojrzała na nią z ukosa. Nagle odezwało się w niej przekorne lichy i postanowiła, że jednak nie opowie babci o swoich relacjach z Greniem. A co?! Skoro Hania znowu zaczęła coś kombinować, to potrzyma ją w niepewności. Domyślała się bowiem, że gdyby zdradziła babci, iż poprzedniego dnia Krystian wpadł do niej wieczorem, aby ją wesprzeć na duchu, i owo wspieranie skończyło się kilkoma namiętными pocałunkami, to zaraz usłyszałyby z jej ust zadziorne: *A nie mówiłam?!*

Co to, to nie!

Marecka sama jeszcze nie była pewna, co nagle poczuła do tego zadziwiającego mężczyzny. Uznała więc, że analizowanie tematu przez babcię mogłoby poczynić w jej umyśle więcej spustoszeń niż korzyści.

Jednego była pewna w stu procentach: Greń potrafił całować!

Krystian przyniósł kwiaty dla Hani. Skomplementował jej wygląd i wyraził radość, że widzi ją w dobrej formie.

– Nawet nie wiesz, chłopcze drogi – powiedziała Biedrzycka, nic sobie nie robiąc z faktu, że chłopiec ma już prawie czterdziestkę na karku – jak się cieszę, że udało mi się doczekać tej chwili. Doprawdy to smutne, że dopiero gdy położyłam się na łożu boleści, mogę odetchnąć z ulgą. – Spojrzała wymownie na wnuczkę.

– Babciu! Co ty znowu kombinujesz? – zapytała z lękiem Marecka.

– Nic wielkiego. Po prostu chciałam w końcu zobaczyć, jak razem wyglądacie, dzieciaki.

Krystian i Elwira spojrzeli po sobie. Greń puścił oko do Mareckiej i przysunął swój taboret do jej stołka.

– Nie odmówię pani tej przyjemności – oznajmił, spoglądając z uczuciem na kobietę, o której myślał nieprzerwanie od jakiegoś czasu.

- Czy ty aby nie przesadzasz? – zapytała Elwira babcię.
- Nie, moja droga. Ale przyznaję, że znudziło mnie zbieranie wieści o tobie po Niepołomicach i oglądanie was z daleka.
- Co?! – zdziwiła się Elwira.
- Nie mówi się *co*, tylko *proszę* – poprawiła ją babcia. – Nie zapominaj, że jestem dość znana w naszej miejscinie. Ty, siłą rzeczy, również. Nic więc dziwnego, że jak zawsze dowiaduję się o twoich poczynaniach z plotek.
- Nie ma żadnych poczynañ. Po prostu się przyjaźnimy. – Młoda kobieta spojrzała niepewnie na siedzącego obok mężczyznę.
- Ależ oczywiście, skarbie. Ja tego by-naj-mniej nie kwestionuję. To oczywiste, że się przyjaźnicie, skoro chodzicie razem to na kawkę, to do zoo...
- Skąd wiesz o zoo? – zdziwiła się Elwira.
- Krystian stłumił śmiech i pokręcił głową. Biedrzycka nie zmieniła się nic a nic! Taką ją właśnie zapamiętał z czasów, gdy był u niej stażystą: bezpośrednia kobieta, której nic nie umknie. Teraz przynajmniej nie musiał drzeć ze strachu, że zostanie zrugany za jakieś niedociągnięcie. Chociaż kto ją tam wie? A jeżeli zaraz mu wygarnie, że nie życzy sobie, aby zawracał głowę Elwirce? Wszak był samotnym ojcem, a to niekoniecznie musiało podobać się starszej pani.
- Zapomniałaś już, że ja także mam udziały w klinice?
- Stasia Do Rany Przyłóż – powiedziała domyślnie Marecka.
- Biedrzycka puściła do niej oko, a następnie odwróciła się do Krystiana.
- Zakładam, mój przyjacielu, że skoro w grę wchodzi rodzinne wycieczki, to poważnie podszedłeś do tematu. Powiedz no mi: jak Iwonka odnajduje się w tej sytuacji? Tylko szczerze. – Wyciągnęła w jego stronę palec wskazujący. – Bez upiększeń i owijania w bawełnę!
- Padłem ofiarą jej niecných knowań – odparł mężczyzna z pozorną skruchą. – O ile jestem dobrze poinformowany, to mojej córce zawdzięczamy naszą bliższą znajomość. Bo nie wiem, czy pani wie, ale spotkaliśmy się we troje nad Soliną. I to nie był przypadek, lecz celowe działania pewnej młodej damy, która postanowiła, że ożeni mnie za wszelką cenę.
- Elwira ze świstem wypuściła powietrze z płuc! Ach, więc tak miały się sprawy?! Nie zdążyła wmieszać się do rozmowy, gdy Krystian dodał:

– Aczkolwiek po tym, jak zostałem dwukrotnie oblany kawą przez Elwirę, śmiem twierdzić, że nasza przyjaźń prędzej czy później i tak by się zadzierzgnęła. A stąd już prosta droga ku temu, aby pogłębić znajomość.

– Licho nie śpi – prychnęła starsza pani. – Dobra, dzieciaki. Ja już jestem zmęczona. Chciałam was razem zobaczyć i przekonać się na własne oczy, że ładnie ze sobą wyglądacie. Teraz zmykajcie na jakąś romantyczną kawę, a mnie, starej, dajcie odsapnąć. Bądź co bądź otarłam się o śmierć – przypomniała asekuracyjnie na wypadek, gdyby wnuczka chciała jej czynić jakieś wyrzuty. – Wierzę, że w razie czego dobrze się o nią zatroszczysz – zwróciła się do Krystiana.

Mężczyzna solennie zapewnił, że nie ma powodu do niepokoju. A później zabrał Elwirę na romantyczny spacer ulicami Starego Miasta.

Na początku października Patrycja powiła córeczkę. Kilka dni później Elwira wybrała się na oględziny maleństwa.

Pati z niepokojem spoglądała, jak przyjaciółka podchodzi do kołyski. Wprawdzie Elwira nosiła na rękach maleńką Sarę, bawiła się także z potomkami Złotoustej oraz Izabeli, lecz w tamtym czasie nikt nie miał pojęcia o jej problemach. Wszyscy wiedzieli, że uwielbia dzieci i ich widok potrafi wzruszyć ją do łez. Przypisywano to romantyzmowi kobiety. Teraz pani Drawicz była świadoma prawdziwego powodu tych emocji.

– Boże! Jaka to jest drobinka – westchnęła Elwira. – Jaki to cud! Spójrz na te paluszki z paznokietkami nie większymi od ziaren sezamu. A te włoski? Mięciutkie jak łabędzi puszek. Mogę ją wziąć na ręce? – zapytała dumną matkę. – Tylko na chwilę, proszę.

– Nie musisz prosić. Przecież bawiłaś się z Sarą, gdy była równie malutka. – W jej głosie dało się jednak słyszeć pewne wahanie.

Elwira spojrzała na kobietę.

– Spokojnie, Pati. Moje serce nie rozpadnie się od tego na milion kawałków – powiedziała, podnosząc dziewczynkę.

Przytuliła do siebie dziecko. Delikatnie oparła policzek o maleńką główkę. Zamknęła oczy i napawała się zapachem noworodka. Czuła łyzy nadpływające pod powieki. Ta chwila była równie słodka, co gorzka.

Dziecko zakwiliło cichutko i zaczęło się wiercić. Maleńka piąstka

zabłądziła w stronę buzi. Rozległo się rozkoszne ciamkanie.

– Chyba jest głodna – stwierdziła Elwira, oddając matce jej skarb.

Rzeczywiście, miała rację.

Patrycja z miejsca zajęła się problemem.

Elwira, spoglądając na karmiącą kobietę, myślała z nostalgią o tym, że ta sfera doznań już na zawsze pozostanie poza jej zasięgiem.

Ale z drugiej strony niedawno pojawiła się w jej życiu mała sześćioletnia iskierka, która rozświetlała swoją obecnością świat. I teraz ta świadomość była dla Mareckiej niczym koło ratunkowe na morzu kotłujących się emocji.

Po powrocie od przyjaciółki Elwira zadzwoniła do Krystiana i zapytała, czy nie miałby ochoty wpaść do niej razem z Iwonką. Zaproszenie zostało przyjęte z entuzjazmem. A że akurat była sobota, kobieta zaproponowała, aby Greniowie przyjechali na kolację i zostali do następnego dnia.

– Oddam wam sypialnię, a ja zdrzemnę się na kanapie – zaproponowała.

– Równie dobrze możesz przespać się z Iwonką we własnym łóżku, a ja skorzystam z kanapy – stwierdził mężczyzna. – O ile nie będzie ci przeszkadzała obecność małej wiercipięty.

– Nie będzie – uśmiechnęła się do telefonu.

Odpychała od siebie myśl o tym, że w ten sposób zapewniła sobie komfort psychiczny na resztę dnia. Dobrze wiedziała, że gdyby spędziła samotny wieczór, to minąłby on na rozdrapywaniu ran oraz łzach nad szczęściem, którego nigdy nie zazna. W ten sposób będzie mogła przynajmniej udawać, że ona i Greniowie stanowią szczęśliwą i kochającą się rodzinę. Nawet jeśli ta iluzja pryśnie niebawem jak bańka mydlana.

Dokonała szybkiego przeglądu lodówki i z zadowoleniem stwierdziła, że ma czym poczęstować swoich gości. Babcia Hania wpoila jej, że nawet jeśli jest się singielką, to warto mieć w domu coś więcej niż puszki z kocią karmą oraz dania do mikrofalówki. Odkąd przyjaźniła się z Krystianem i Iwonką, dbała o to, aby chłodziarka nie świeciła pustkami. Takie spontaniczne spotkania następowały bowiem dosyć często.

Rozmawiając przez telefon z babcią, Elwira naprędce przygotowała talerz kanapek oraz trochę koreczków, które Iwonka wprost uwielbiała. Trzy dni wcześniej Hania opuściła szpital. Czuła się świetnie i kategorycznie

zaprotestowała, gdy wnuczka wyraziła gotowość zamieszkania u niej przez jakiś czas. Marecka, nie chcąc zostawić jej na pastwę losu, jeździła do niej po trzy razy dziennie. Najpierw rano przed pójściem do pracy, aby zrobić zakupy. Po zakończonym dyżurze wpadała z misją posprzątania i dotrzymania towarzystwa rekonwalescentce. A wieczorem – dla świętego spokoju. Prócz tego wydzwaniała do babci tak często, jak tylko było to możliwe.

– Naprawdę sobie poradzisz? – upewniła się, gdy Hania powiedziała, aby dała sobie spokój z wpadaniem z wizytą zanim przyjadą jej goście.

– Ależ oczywiście, moja droga. A co tam taki harmider? – zainteresowała się Biedrzycka.

– Ach, włączyłam tryb głośnomówiący, bo robię właśnie kanapki, więc mam zajęte ręce. A hałas robią Marcepan z Cottonem. Ubzdurali sobie, że powinnam podzielić się z nimi posiłkiem. Próbują wskoczyć na blat, co im się, rzecz jasna, nie udaje, gdyż osłaniam przyczółki.

– Ha! Ha! Ha! A czym?

– No... Własną pierśią. A raczej plecami – padło wyjaśnienie.

– Już widzę, jak zagradzasz im drogę swoim chudym tyłkiem. Nawiasem mówiąc, te twoje sierściuchy zaczynają tyć. Chyba nadciąga ostra zima.

– Też tak myślę. Ostatnio żrą jak szalone. Nie sposób reglamentować im żywności, aby ograniczyć to rozpasanie, bo ten, który pierwszy dorwie się do koryta, nie zostawia nic dla reszty.

– Ładne kwiatki. Dam głowę, że cała ta banda waży więcej od ciebie. Zmizerniałś ostatnio, kurczaczku.

Marecka uśmiechnęła się do siebie. W dzieciństwie babcia często nazywała ją kurczaczkiem albo ptaszyną i załamywała ręce nad jej chudością. Jak widać, mimo upływu lat, niewiele się zmieniło. Kobieta, nie przerywając rozmowy, dokończyła robienie przekąsek, a następnie ukryła je przed wygłodzonym kocim wzrokiem w lodówce. Dźwięk otwieranych drzwi zaalarmował Przemcia oraz Mambę, więc teraz cała czwórka agresywnie dopominała się o nadprogramowy posiłek.

– Jesteście bandą spaślaków. Niedługo żadne z was nie uniesie tyłka, aby wskoczyć na moje łóżko. Może to nawet lepiej – przekomarzała się z nimi – bo w końcu przestaniecie anektować moją strefę prywatną.

Godzinę później w mieszkaniu zapanował przyjemny chaos. Elwira odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że goście nie pozwolą jej na roztrząsanie smutków.

Rzeczywiście spędzili w trójkę przyjemny wieczór. Najpierw grając w gry planszowe, później oglądając bajkę na DVD. Koty, początkowo onieśmiałe, powychodziły ze swoich kryjówek i, ku przyjemnemu zaskoczeniu opiekunki, pozwalały się do woli głaskać i niańczyć Iwonce. Podczas wcześniejszych wizyt dziewczynki nie były skore do aż takiej poufałości. Widać, jednak czas zrobił swoje i cała banda sierściuchów nabrała odwagi. Oczywiście jako pierwszy ośmielił się Marcepan. Po nim przyszła kolej na Cottona, Mambę oraz Przemka.

Po kolacji pani domu wykąpała dziecko i ułożyła do snu w swojej sypialni. Krystian przyszedł, aby cmoknąć córkę na dobranoc. Z rozrzewnieniem spoglądał, jak kobieta otula dziewczynkę kołdrą, odgarnia z buzi niesforne loczki i całuje w zaróżowiony po kąpieli policzek.

- Dobranoc, Fionka.
- Dobranoc. Elwirka?
- Tak?
- Chcę cię o coś zapytać, ale na ucho, dobra?
- Dobra – powiedziała kobieta, pochylając się nad dzieckiem.
- A co to za babskie sekrety? – Mężczyzna udał oburzenie.
- Tobie też coś zaraz powiem, dobra? Ale najpierw chcę zapytać Elwirkę. – Objęła ją rękami za szyję. – Chciałabyś zostać moją mamusią? – wyszeptowała.
- Och, kochanie... – Kobieta westchnęła i odpowiedziała cichutko: – To nie zależy ode mnie.

Mała spojrzała jej poważnie w oczy i znowu przysunęła wargi do ucha Elwiry.

- Ale tak czy nie? Bo to się da załatwić. Tylko muszę wiedzieć, czy chcesz. *Cudownie byłoby mieć taki słodki skarb na co dzień* – pomyślała kobieta.
- Oczywiście – odpowiedziała, unikając myślenia o tym, czym może skutkować to słowo.
- Dobrze. To dobranoc. Pomyślę o tym przed snem. Może przyśni mi się mój anioł od spełnionych marzeń i sprawi, żeby tak było.

Marecka odetchnęła z ulgą. Już się wystraszyła, że ta mała przechera

znowu coś kombinuje i zamierza swatać ją ze swoim ojcem.

– Dobranoc. Śpij dobrze – pożegnała dziewczynkę.

Odeszła, unikając spoglądania w oczy Greniowi. Zostawiła go samego z córeczką. Wiedziała, że mają własne wieczorne rytuały i nie chciała im przeszkadzać.

Poszła do salonu. Przygotowała następną płytę DVD. Wcześniej wspólnie ustalili, że będzie to kultowa komedia *Nie lubię poniedziałku*. Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że chociaż był to jej ulubiony film, nie widziała go już od bardzo, bardzo dawna – odkąd zaczęła spotykać się z Marcinem. On nigdy nie chciał oglądać starych rzeczy. Wolał kino grozy lub akcji. Nie dawał się namówić nawet na komedie romantyczne. Uważał, że to nudne bzdury. Kolejny przykład tego, że nie liczył się z jej upodobaniami i potrzebami.

Gdzie ja miałam oczy? – zdziwiła się. *Byłam aż tak zaślepiena?*

Nie dane jej było roztrząsanie problemu, gdyż właśnie dołączył do niej Krystian.

– Zostawiłem uchylone drzwi na wypadek, gdyby się obudziła – oznajmił.

– Zdradzisz mi, o czym tak szeptałyście? – zapytał, unosząc w górę lewą brew.

Czyżby mu wypaplała?

– To babskie sprawy, mój drogi przyjacielu – wykręciła się od odpowiedzi. Za nic w świecie nie przyznałaby się do tego, co było tematem rozmowy. – Masz ochotę na lampkę wina czy wolisz piwo? – zaryzykowała pytanie. Nigdy wcześniej nie proponowała mu alkoholu. Ciekawa była jego odpowiedzi.

– A na co ty masz ochotę?

– Ja wolę wino – powiedziała.

– Świetnie. W takim razie dotrzymam ci towarzystwa. Piwo jest dobre na wieczory przy grillu albo do gaszenia pragnienia po koszeniu ogródka. Na wieczór z dobrym filmem i uroczym towarzystwem preferuję bardziej wytworne trunki.

– Cóż za wyczerpująca odpowiedź!

– Pozwól, że ja naleję – dodał, biorąc do ręki korkociąg.

Z kieliszkami wina umościli się na wygodnym narożniku. Zanim jednak

Marecka włączyła film, Krystian uniósł w górę swoje szkło.

– Za ten miły wieczór – powiedział, stukając kieliszkiem w kieliszek Elwiry.

– Oczywiście. Za miły wieczór. – Przygryzła lekko wargę, zastanawiając się, czy to nie zabrzmiało zbyt dwuznacznie.

– I za spełnienie dziecięcych marzeń – dodał, spoglądając jej w oczy.

Zapadła chwila ciszy. Krystian wyjął kieliszek z kobiecej dłoni i wraz ze swoim odstawił na ławę. Trzymając Elwirę za rękę, dodał:

– Bardzo chciałbym, aby się spełniły. Nie tylko ze względu na nią. Zakochałem się w tobie. Jesteś dla mnie kimś naprawdę wyjątkowym.

Położył drugą dłoń na policzku kobiety i delikatnie go pogłaskał.

– Powiedz, jak myślisz: czy mogłabyś być z nami szczęśliwa?

Elwira zamknęła na moment powieki. Przed oczami mignęły jej dziesiątki wspólnych chwil. Radosny śmiech Iwonki, zabawy z dziewczynką, kawa spływająca z koszuli Krystiana, wspólne wędkowanie w Jeziorze Solińskim, wycieczki. Mężczyzna rozłupujący szczapy drzewa, jego śpiew, jego pocałunki, jego wsparcie, gdy Hania leżała na intensywnej terapii.

– Ja też cię kocham – powiedziała, otwierając oczy na krótką chwilę.

Kilka sekund później znowu były zamknięte, gdyż usta Elwiry i Krystiana połączył długi, pełen czułości pocałunek.

Iwonka przyłożyła palec do ust, nakazując towarzyszącym jej kotom, aby zachowały ciszę. A później wycofała się na paluszkach z przedpokoju i niemalże bezszelestnie wróciła do łóżka.

– Dziękuję ci, aniołku – wyszeptała i zatoneła w błogich marzeniach.

Oczywiście zajęci sobą dorośli nie zauważyli, że przez chwilę towarzyszyło im dziecko. Zachowali jednak trzeźwość umysłów i, mimo krwi wzburzonej coraz namiętniejszymi pocałunkami, powstrzymali się od dalszych poczynań.

– No jak, oglądamy? – zapytał Krystian.

– Jasne. Sprawdzę tylko, co u Iwonki. Ojej! I poszukam kotów, bo nie widziałam ich od jakiegoś czasu. Mam nadzieję, że nie zadekowały się w kuchni z resztą kanapek! – Wpadła nagle w panikę, gdyż po kolacji zajęła się dzieckiem, nie myśląc o schowaniu resztek posiłku.

Wstali obydwój. Ku zaskoczeniu Elwiry, kuchnia lśniła czystością: ani śladu kotów, ani śladu kanapek.

– Posprzątałeś? – Kobieta była niebotycznie zdumiona.

– Nie święci garnki lepią.

– Chyba zakocham się w tobie jeszcze raz. – Zatrzepotała zalotnie powiekami. – Dobra, zajrzyjmy do małej.

Stanęli w drzwiach pokoju. W mroku połyskiwały cztery pary oczu, rozlokowanych symetrycznie po bokach śpiącego dziecka. Ponieważ w mieszkaniu panowała absolutna cisza, słychać było aksamitne kocie murmurando, wydobywające się ze wszystkich kocich gardeł.

– Chyba znaleźliśmy właśnie twoich podopiecznych.

– Chyba nieźle dogadują się z twoją córką.

– Z całą pewnością Iwonka jest pod bardzo troskliwą opieką.

– O tak. Sierściuchy na pewno nie pozwolą na to, aby skopała z siebie koldrę.

Tydzień później Krystian zaprosił Elwirę na weekend do siebie. Marecka dotarła do domu Greniów w sobotnie południe. Ponieważ wciąż dopisywała piękna pogoda, w planach był między innymi grill na świeżym powietrzu.

Kobieta wyskoczyła z samochodu i zatrzasnęła drzwi. Z miejsca pojawił się przy niej gospodarz. zaproponował, że zaprowadzi ją do pokoju gościnnego, aby mogła zostawić swoje rzeczy, a później wyjdą na zewnątrz.

– A gdzie Iwonka? – Kobieta zdziwiła się, że dziewczynka nie wybiegła na powitanie.

– Jest w ogrodzie – odparł mężczyzna. – Zaraz do niej pójdziemy. Ale najpierw muszę się nacieszyć chwilą, gdy mam cię tylko dla siebie.

Delikatnie musnął wargami jej usta. Elwira objęła Krystiana w pasie i pozwoliła mu na długi, namięty pocałunek.

– Dobrze mi, gdy jesteś obok – wyszeptał Greń, gdy na chwilę przestał ją całować.

Dalsze słowa były zbędne. Elwira także czuła, że w jego obecności zalewa ją fala błogiego szczęścia. Odpowiedziała czułym całusem, wtulając się w Krystianowe ramiona.

Podobało jej się, że nie był nachalny. Niczego nie przyspieszał, nie szukał

sposobu na to, aby zaciągnąć ją do łóżka. Tydzień wcześniej grzecznie zasnął na kanapie, niemalże siłą wyganiając ją do sypialni. Twierdził, że czułby się fatalnie, gdyby on poszedł spać do Fionki, pozbawiając panią domu własnego łóżka. Rano nie omieszkał stwierdzić, że wyspał się za wszystkie czasy, a kanapa w jej salonie jest wyjątkowo wygodna.

– Chodźmy na zewnątrz – powiedział Krystian, gdy już zdążył przywitać swojego gościa wystarczająco wylewnie. – Iwonka pewnie tupie nogami ze zniecierpliwienia. Obiecałem, że zaraz cię przyprowadzę.

Ogród pysznił się feerią jesiennych barw: od złotolistnych brzoź, poprzez czerwone klony i zbrązowiałe buki, aż po zgaszone zielenie iglaków. Na niewielkiej rabatce żółciły się chryzantemy, a tuż obok kwitły ostatnie herbaciane róże.

– Jak tu pięknie! – westchnęła kobieta, gdy wyszli na taras. – Uwielbiam złotą jesień.

– Ja także. To chyba najbardziej malownicza pora roku. Dla mnie jest o wiele piękniejsza niż wiosna. Ale nie tak piękna jak ty – dodał, spoglądając na Elwirę.

Ślicznie wyglądała w lekkiej, jesiennej kurtce, miękkich legginsach oraz botkach przed kolano. Szyję okręciła długi szalem w kolorze burgunda, chociaż miał on bardziej charakter ozdobny niż praktyczny, gdyż dzień był bezwietrzny i pogodny. W oczach kobiety migotały wesołe iskierki, jej policzki były lekko zarumienione, a włosy znajdowały się w uroczym nieładzie, ponieważ Krystian trochę je zmierzwił, gdy się witali.

Ruszyli razem przed siebie. Ogród był dość przestronny, porośnięty starymi drzewami oraz krzewami ozdobnymi, pełen malowniczych zakamarów, które powstały w naturalny sposób, bez jakiejś szczególnej interwencji pana domu. Greń zawsze twierdził, że choć lubi spędzać w nim czas, dbałość o niego nie należy do listy priorytetów. Zazwyczaj ograniczał pracę do koszenia trawy i nieznacznych manewrów sekatorem.

Za jedną z krzaczastych kęp znaleźli Iwonkę.

Elwira zamarła, zasłaniając dłonią usta, gdy zobaczyła dziewczynkę stojącą pośrodku serca ułożonego z herbacianych róż. W dłoniach trzymała naręcze kwiatów, a wyraz jej twarzy był wyjątkowo chochlikowaty.

– No nareszcie! Już nie mogłam się doczekać! – wykrzyknęła, wyciągając

rękę do Elwiry.

Kobieta, nie puszczać dłoni Krystiana, weszła do różanego serca.

– Jaka miła niespodzianka – powiedziała. – Ty to zrobiłaś?

– Razem z tatutkiem. On mi bardzo pomagał, bo róże trochę kłują – oznajmiła. – Kolec – dodała, pokazując paluszek zawinięty plastrem opatrunkowym.

– Bardzo cię bolało, kochanie? – Elwira przyklękła na jedno kolano i podmuchała na rączkę dziecka.

– Już nie. I wcale nie płakałam, jak tato wyjmował go z palca.

– Jesteś bardzo dzielna.

– Aha. A te kwiaty – Iwonka zniżyła konspiracyjnie głos – są dla ciebie, ale dostaniesz je dopiero za chwilę. Bo najpierw musimy z tatutkiem zapytać cię o coś naprawdę bardzo ważnego.

Marecka przeniosła nieco rozbawione spojrzenie na mężczyznę, lecz widząc jego poważny wyraz twarzy oraz delikatnie drżącą dłoń, w której połyskiwał pierścionek, wyprostowała się i również spoważniała. Na moment zapadła cisza.

– No, do dzieła supertatutku! – usłyszeli zniecierpliwiony głos Fiony.

– Elwiro. Chciałbym zapytać cię w imieniu moim i tej małej papli, czy zechcesz zostać częścią naszej rodziny: żoną i towarzyszką życia dla mnie, a dla Iwonki mamusią?

Kobieta spojrzała najpierw na mężczyznę. W jego oczach był lekki niepokój, gdyż nawet słowem nie wspomniał, że nosi się z takim zamiarem, i teraz z napięciem oczekiwał na wyrok. Potem przeniosła wzrok na dziecko. Natrafiła na ufne, kochające spojrzenie. Iwonkę przepełniały nadzieja i niezwykle podekscytowanie.

Mogę mieć własną rodzinę: wspaniałego męża i córeczkę – pomyślała. Oni chcą, abym była z nimi! Na zawsze! Przecież ja od jakiegoś czasu...

– O niczym innym nie marzę – dokończyła na głos swoją myśl, wpadając w ramiona mężczyzny.

Pomiędzy nimi rozpychała się łokciami sześciolatnia dziewczynka, którą szybko trzeba było wziąć na ręce i także uściskać oraz wyciąłować.

– Pani Elwirko! A co to za nowość tak pięknie błyszczy na pani

serdecznym palcu?

Pytanie Stasi Do Rany Przyłóż było tylko formalne. Po kilku latach wspólnej pracy wszyscy dobrze wiedzieli, że doktor Marecka nie przepada za biżuterią, a pierścionków niemalże wcale nie nosi. Błyskotka na palcu mogła zatem oznaczać tylko jedno: wyczekiwane z zapartym tchem zaręczyny! Wyczekiwane oczywiście przez pracowników kliniki. Wszak chodziło o jedyną pannę do wzięcia.

Jakiś czas temu zaczęto bowiem spekulować, czy Elwira w ogóle kiedykolwiek wyjdzie za mąż. I dociekania te trwały nawet wówczas, gdy pod kliniką nader często zaczął się pojawiać zastępca komendanta policji. Z jakiegoś powodu współpracownicy Elwiry z góry założyli, że z tej mąki chleba nie będzie – zbyt wiele dzieliło sympatyczną drobniotką kobietkę i tego topornego wielkoluda, jak o nim mawiano.

Natomiast gdy rozeszły się wieści na temat jej domniemanego romansu z Greniem, temperatura plotek stała się bliska wrzenia. Wszak, pominąwszy pewną gburowatość i nieprzystępność Krystiana, dla doktor Mareckiej był on mężczyzną wręcz idealnym! Odpowiedni wiekiem, statusem społecznym i wykształceniem! A przede wszystkim jakże pięknie prezentowali się razem! Przy niedźwiedziowatym Podolskim Elwira wyglądała jak kurczak: za mała, za chuda, za delikatna.

– Ach, to! – zmieszała się Marecka.

Przez chwilę pocierała kciukiem pierścioneł, zastanawiając się, na ile poinformowane są jej koleżanki z pracy. Doszła jednak do wniosku, że utrzymanie sekretu byłoby technicznie niemożliwe w sytuacji, gdy jej narzeczony pracuje w tej samej klinice. Wprawdzie Greń dyżurował tylko raz w tygodniu, lecz to wystarczyło. W ostatnich czasach nie ukrywał zażyłości, która zaczęła pomiędzy nimi powstawać.

– No, to! To! – potwierdziła Stanisława, gapiąc się na Marecką jak sroka w gnat.

– To jest pierścioneł zaręczynowy – odparła przyciśnięta kobieta.

– A kto jest szczęśliwym ofiarodawcą?

– Christian Grey. – Elwira puściła oko do koleżanki.

– Naprawdę?! No! No! No! Gratuluję, pani doktor! Christian Grey! Ho, ho, ho! Jeszcze niedawno to byłoby nie do pomyślenia! Najgorętszy kawaler do

wzięcia został usidlony!

– Wdowiec, jak już – skorygowała Elwira.

– Oj tam, nie czepiajmy się szczegółów. Gratulacje, pani doktor! Proszę powiedzieć, czy już wiadomo, kiedy zabiją weselne dzwony?

– Niebawem, pani Stasiu. Na razie nie chcę o niczym mówić, aby nie zapeszyć. Jak załatwimy wszystkie formalności, to nie omieszkamy się pochwalić, obiecuję!

Dobrze wiedziała, że Stanisława będzie z zapartym tchem oczekiwała na dalsze nowiny. Będzie także snuła hipotezy na temat ich miłosnych uniesień, gdyż żadna siła nie była w stanie przekonać jej, że Greń i Grey to dwie różne postaci.

Aczkolwiek...

Szczęśliwa narzeczona uśmiechnęła się dyskretnie na wspomnienie minionego weekendu.

Następnego dnia podczas przerwy śniadaniowej Elwira została zaczepiona przez Małgosię.

– Chodź na moment do recepcji – powiedziała kobieta, robiąc tajemniczą minę.

– Czy coś się stało? – wystraszyła się Marecka.

– Owszem. No chodź! – usłyszała ponaglenie.

Z żalem odłożyła niedojedzoną kanapkę na talerzyk. Za piętnaście minut miała wizytę Korposzczurka, który, zamiast na popołudnie, znowu umówiony był na rano. Mężczyzna zapewne już na nią czekał. Elwira pomyślała, że jeśli teraz czegoś nie zje, to zapewne umrze z wycieńczenia. Była wyjątkowo głodna, gdyż wyszła z domu bez śniadania. Trochę zasnęła, bo do późnych godzin konwersowała z narzeczonym przez telefon, a później długo nie mogła zasnąć. Rano, gdy dzwonił budzik, nieopatrznie go wyłączyła. W rezultacie wstała o godzinę za późno. Zdążyła tylko nakarmić koty, ogarnąć kuwety, a następnie pognała do babci, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Rzeczywiście, nie pomyliła się: na korytarzu siedział grzecznie Roman Tyczny. Na sąsiednim krześle leżał bukiet miniaturowych słoneczników. A ponieważ obok nie było nikogo więcej, to on musiał przynieść kwiaty.

– Dzień dobry, pani doktor! – Mężczyzna zerwał się na jej widok i złapał bukiet w garść, lecz kobieta ruchem dłoni usadziła go z powrotem.

– Jeszcze chwilę, panie Romanie, okej?

– Choćby wieczność – westchnął Tyczny, zajmując ponownie krzesło.

– Mam nadzieję, że aż tak długo to nie potrwa – odparła, po czym zwróciła się do koleżanek: – No, co tam, dziewczyny?

Stasia Do Rany Przyłóż puściła oko do Małgorzaty, a następnie wyjęła zza pleców niewielki pakunek.

– Droga Elwirko – powiedziała doktor Osikowicz. – W związku z twoimi planami matrymonialnymi, chciałybyśmy złożyć ci serdeczne gratulacje z okazji zaręczyn i wręczyć ten upominek jako wyraz naszej sympatii.

– Ojej! Dziękuję! Ale wiecie co? Naprawdę nie trzeba było!

– Ależ to drobiazg. Po prostu nie mogłyśmy się oprzeć – odparła Stasia, wciskając w rękę Mareckiej ślicznie zapakowane pudełko.

– Mogę otworzyć? – zapytała Elwira.

– No oczywiście! Nawet powinnaś!

Kobieta położyła upominek na ladzie recepcyjnej i pociągnęła za fantazyjnie zawiązaną, różową kokardę. Potem powoli odwinęła papier, delektując się przyjemnością odpakowywania prezentu. Uchyliła wieko pudełka. Nie była zdziwiona, widząc fikuśną koszulkę nocną. Uniosła w górę koronkowe cudo i już, już miała podziękować koleżankom, gdy dostrzegła coś jeszcze: parę kajdanek obszytych różowym futerkiem. Najpierw zapiszczała z uciechy, a następnie parsknęła śmiechem.

– Dziewczyny! Jesteście niemożliwe! – wykrztusiła, obejmując jedną i drugą za szyję.

– Ale wiesz: jakby co, to ten drugi prezent jest dla Christiana – pouczyła ją filuternie Stasia.

– Czy ja wiem? – zastanowiła się Elwira. – Dla niego raczej jest ten pierwszy. Ponoć wszyscy mężczyźni są wzrokowcami. A kto powiedział, że ja nie mogę zrobić użytku z tego? – zapytała przekornie, podnosząc kajdanki.

Korposzczurek zwiesił smętnie głowę. A więc jednak to prawda! Elwira i Krystian faktycznie mieli się pobrać. A on, głupi, jeszcze przed chwilą żywił nadzieję, że sprawa rozejdzie się po kościach. Kupił te cholerne kwiaty

i wyblagał w recepcji pilną wizytę jak najszybciej. Postanowił bowiem, że w końcu wyzna Elwirze miłość. Ponieważ nie miał innej możliwości, aby się z nią spotkać, zdecydował, że zrobi to w klinice.

Z przygnębieniem spoglądał na kobiety chichoczące nad parą kajdanek i jakąś frywolną szmatką. Potem ze stoickim spokojem odczekał, aż Elwira wróci do gabinetu. Dopiero wtedy wstał i podszedł do recepcjonistki.

– Pani Stasiu. Bardzo proszę o wykreślenie mnie z terminarza wizyt. Myślę, że moja terapia definitywnie dobiegła końca. A to – podał jej kwiaty – proszę przyjąć jako wyraz mojej wdzięczności. Dziękuję i żegnam – mówiąc to, odmaszerował sztywnym, niemalże żołnierskim krokiem.

Kobieta odprowadziła go wzrokiem do drzwi.

– Ale numer! – stwierdziła Stanisława, gdy zniknął z pola widzenia.

– No – przyznała Małgosia. – Od lat tu przychodził.

– I tak nagle poczuł się uleczony?

– Zazdrość go uleczyła. Przecież on nieustająco podkochał się w Elwirze. Pewnie usłyszał, jak rozmawialiśmy o jej zaręczynach z Greyem.

– Biedny...

– No, biedny. Ale z drugiej strony w miłości i na wojnie zawsze muszą być jakieś straty.

Hania wracała do formy zadziwiająco szybko. Zadziwiająco – gdyż w wieku osiemdziesięciu pięciu lat przeżycie zawału serca jest nie lada wyczynem.

Kilka tygodni po opuszczeniu szpitala Biedrzycka umówiła się ze swoją najlepszą przyjaciółką w kawiarni. Rekonwalescentka z żalem pokręciła głową, gdy kelner zapytał, czy podać kieliszek absyntu. Poprzestała na soku oraz szarlotce na ciepło. Franciszka, solidaryzując się z przyjaciółką, również odmówiła sobie alkoholu.

– Nie miałam jeszcze okazji, aby podziękować ci za uratowanie mojej nędznej skórki – powiedziała Hanna.

– Ależ moja droga! Co ty mówisz? To nie mnie zawdzięczasz szybki przyjazd pogotowia, tylko swojemu pieścuchowi. Daj już spokój tej wdzięczności. – Machnęła ręką Frania. – Powiedz lepiej, jak się czujesz.

– Z jednej strony doskonale, bo przecież wylizałam się jakoś. Zobaczę, jak

moja wnusia wkłada obrączkę na palec, no i doczekałam się w końcu prawnuczki. – Twarz kobiety rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Ale? – indagowała przyjaciółka.

– Ale cóż, kiedy wstrętny wracz zakazał mi palenia cygaretek i popijania trunków. Najlepiej dożywotnio. A i bieganie też póki co jest poza sferą marzeń, bo w szpitalu straciłam formę – westchnęła ciężko. – No i sama powiedz: co to za życie? Żadnych przyjemności. Powiadam ci, żadnych. Lekkostrawna dieta bez cholesterolu. Zero używek. Ech! Szkoda gadać!

– Ty lepiej nie narzekaj, Hanka! Mogłaś kopnąć w kalendarz! Życie ci już zbrzydło?

– Ach, nie! Żartujesz? Teraz?! Jak w końcu wszystko zaczęło się układać?

– No widzisz? Nareszcie! A tak się o tę małpę zamartwiałaś. Dziękuję, panie Tomku – rzekła do barmana, który podszedł z napojami oraz szarlotką.

Hanna z lubością wpakowała do ust łyżeczkę ciasta, obficie udekorowanego bitą śmietaną.

– Mm! Pychotka! Dla takich delicji warto jednak żyć. Nawet bez absyntu i cygaretek.

– No to kiedy ślub?

– Dasz wiarę, że tuż po Nowym Roku? Młodzi chcą się pobrać w karnawale. Twierdzą, że szkoda czasu na to, aby odkładać sprawę na później.

– No, to faktycznie niesamowite tempo! Czy aby nie za szybko? – zmartwiła się Frania.

– Nie. Ja uważam, że to dobra decyzja. Znają się od lat, chociaż wcześniej była to znajomość dość powierzchowna. Od wakacji spędzają razem bardzo dużo czasu. A to już ładnych parę miesięcy. No i jest jeszcze dziecko, które rozpaczliwie potrzebuje matki.

– I kobieta, która rozpaczliwie potrzebuje dziecka – podłapała pani Melesiuk.

– O widzisz?! Tutaj mamy najważniejsze argumenty. Wiesz co? Ja tam się cieszę, że tak im pilno do ślubu i nie ulegli modzie na mieszkanie na kocią łapę, choć oczywiście nie miałabym nic przeciwko temu. Wiem, że w naszych czasach obrączka na palcu nie daje takiej gwarancji trwałości związku jak niegdyś. Znam Elwirkę na tyle dobrze, aby wiedzieć, że skoro

decyduje się na ślub, to jest pewna swoich uczuć.

– A jej narzeczony? Wiesz, jacy są mężczyźni...

– Krystian? O niego się nie martwię – odparła spokojnie Hania, przeciągając zalotnie dłonią po starannie ułożonych siwych włosach.

Frania dostrzegła to drobne rozproszenie uwagi. Zerknęła dyskretnie w bok i zauważyła krzepkiego starszego pana, który siedział samotnie dwa stoliki dalej, popijając koniak oraz kawę. W chwili, gdy kobieta na niego zerknęła, on właśnie trzymał kieliszek, spoglądając na Hanię tak, jakby chciał powiedzieć, że wznosi za nią toast. Melesiukowa przeniosła wzrok na przyjaciółkę i zauważyła, że ta uśmiecha się zachęcająco.

Franciszka przewróciła oczami.

Osiemdziesiąt pięć lat, siwy łeb i dopiero co przebyty zawal, a tu nic się nie zmieniło – pomyślała. *Wieczna kokietka!*

Z trudem powstrzymała się od parsknięcia śmiechem.

– To dobrze, Haniu – powiedziała na głos.

Odpuściła sobie czynienie uwag na temat zalotnych spojrzeń.

Doskonale wiedziała, że rzucanie jadowitych komentarzy i tak nic nie zmieni. Hania, mimo swego wieku, wciąż posiadała jakiś niebywały magnetyzm, który przyciągał spojrzenia i uwagę płci przeciwnej.

Franciszka nie chciała także wypowiadać krytycznych uwag pod adresem Grenia, gdyż w gruncie rzeczy nie było się do czego przyczepić. Może nie wszyscy mężczyźni świata byli tacy jak jej świętej pamięci Marian albo były zięć Jakub? Obydwaj gonili za kobietami, stronili od obowiązków domowych i nie zajmowali się dziećmi. Ale Krystian miał przecież córkę, którą przez ładnych parę lat samotnie wychowywał. Czyli nie było tak źle.

Cóż, zdarzają się czasami wyjątki – westchnęła, żałując, że ani ona, ani Iza nie trafiły na taki przypadek.

Epilog

– *Dzisiaj jest wesele, jutro poprawiny. Teraz, pani młoda, czas na oczepiny*^[5] – zaśpiewał gromko starosta weselny, przywołując do siebie Elwirę.

Kobieta, spowita w tradycyjną biel, wyskoczyła raźnie spomiędzy tłumu gości. Jej wielkie, czekoladowe oczy iskrzyły szczęściem. Całe życie marzyła o prawdziwym, hucznym weselu: takim z kapelą, starostą, mnóstwem gości i ze wszystkimi lokalnymi zwyczajami. Jedyne, na co się nie zgodziła, to zbieranie datków „na pieluszki” oraz jakiegokolwiek inne formy wyciągania pieniędzy od gości.

Elwirę usadzono na jednym z dwóch krzeseł stojących pośrodku parkietu
– *Wypij ze mną, młody, kieliszeczek wódki, żeby twój interes nie był dziś za krótki* – produkował się dalej mężczyzna, szukając wzrokiem Krystiana.

Zaraz znalazł się i pan młody, któremu przeznaczono miejsce obok świeżo poślubionej małżonki.

– *Posłuchaj no, młody, już jesteś po ślubie, wypuść swego ptaszka, niech sobie podzióbie* – zaintonowała nieco piskliwie Franciszka Melesiuk, zapierając się pięściami pod boki, jak przystało na godną starościnię weselną.

Zaraz też zawtórował jej jakiś starszy jegomość, krewny Grenia:

– *Ładna jest z nich para, ładnych dwoje ludzi. A jak młoda zaśnie, młody ją obudzi. Pewnoś, pani młoda, pomarańcze jadła. Wtedyś to młodemu do serduszka wpadła. Jadła winogrona, jadła też i wiśnie. Zaraz ją mężulek do serca przyciśnie.*

– Zdejmij, młoda, welon, przypnij sobie kwiatek. Bo ty już należysz do grona mężatek – zapiszczała ponownie Frania.

W czasie gdy seniorzy, ku uciesze gawiedzi, intonowali stare weselne przyśpiewki, drużbowie uwijali się wokół państwa młodych, pozbawiając ich odpowiednio welonu oraz muszki.

Najpierw wywołano z tłumu gości wszystkie panny do wzięcia. Dziewczęta, które były zainteresowane zmianą stanu cywilnego, ustawiły się z przodu. Z tyłu stanęły wypchnięte na siłę przez kogoś życzliwego dwie oporne panny z odzysku: Izabela oraz Złotousta Jolka.

Elwira spojrzała filuternie na koleżanki. Wybór był doprawdy trudny. Jednej i drugiej przydałoby się trochę szczęścia małżeńskiego, aby w końcu przestały wieszać psy na wszystkich facetach świata (a przynajmniej na większości męskiej populacji) i żeby zaznały szczęścia u boku ukochanego mężczyzny. Jej romantyczna natura nie dopuszczała możliwości, że można zestarzeć się w pełnej goryczy samotności i jeszcze czerpać z tego jakąś perwersyjną przyjemność.

Tylko komu bardziej potrzebny jest dźwięk weselnych dzwonów? Joli czy Izie? Chociaż tej sprawy nie można było pozostawić ślepemu losowi, Elwira postanowiła zdać się na przeznaczenie. Wzięła solidny zamach i rzuciła welon w stronę koleżanek. Te jednak przejrzały jej zamiar i po prostu rozsunęły się na boki, torując drogę lekkiemu drobiazgowi.

Biała tkanina wylądowała miękko wprost na kolanach Biedrzyckiej.

– Hanuś moja! – wykrzyknął towarzyszący kobiecie Mateusz Nowotarski.

Mężczyzna od niedawna bywał częstym gościem kawiarni Alter Ego, w której to *madame* Biedrzycka wpadła mu w oko na tyle głęboko, że z miejsca podjął kroki mające na celu zawarcie znajomości z uroczą damą. Jak widać, kroki te okazały się tak skuteczne, że doprowadziły go na przyjęcie weselne Elwiry.

Zaskoczona kobieta najpierw zaklęła siarczyście w języku rosyjskim, a następnie z jękiem stwierdziła:

– Ale jakże tak? Przecież mój świętej pamięci Teofil będzie mnie straszył po nocach!

– Już ja go odpędzę, Haneczko – zapewnił starszy jegomość, podkreślając w górę swego białego wąsa.

Goście weselni bawili się do białego rana. I ja też tam byłam, miód i wódkę wraz z nimi piłam. A kiedy już umilkły weselne dzwony, państwo młodzi zamieszkali wraz z dzieckiem oraz czwórką kotów w pięknej willi otoczonej romantycznym, na wpół zdziczałym ogrodem, gdzie żyli długo i szczęśliwie.

Podłęże koło Niepołomic, 2016 r.

[5] Wszystkie przypiewki pochodzą ze strony: <http://www.ekoenergia.pl/index.php?cms=154>.

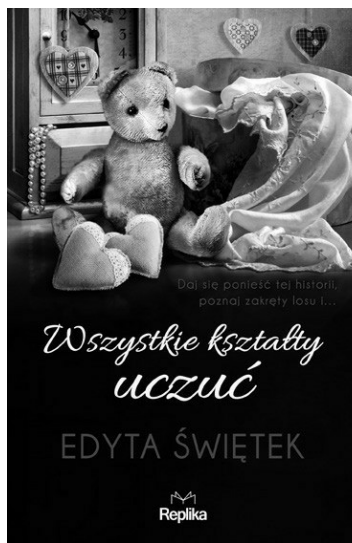
Polecamy:

Edyta Świątek



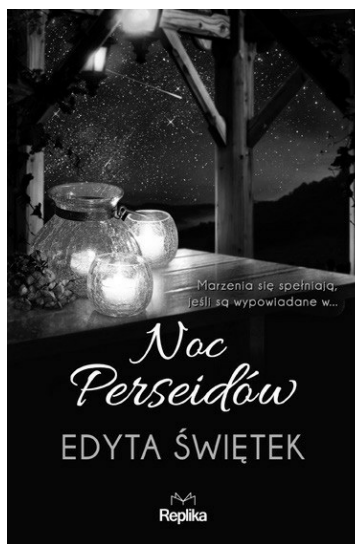
Cappuccino z cynamonem

Czy w „zatrważającym” wieku 36 lat można szczerze się zakochać i ułożyć życie na nowo? – te i inne pytania będą dręczyć Patrycję po rozwodzie. Wsparcia w trudnych chwilach udziela jej najlepsza przyjaciółka Elwira, która wraz z koleżankami knuje małą intrygę.



Wszystkie kształty uczuć

Niekochane dzieci mają trudniej, a bolesne doświadczenia mogą wpłynąć na całe ich późniejsze życie. Tak właśnie było w przypadku Klaudii – młodej nauczycielki, która pod przyjaznym uśmiechem skrywa ból i strach, towarzyszące jej od wczesnego dzieciństwa.



Noc Perseidów

Czy istnieje miłość aż do końca świata? Tak miało być w przypadku Emilii i Tomka, którzy tworzyli parę od „zawsze”. Jednak los bywa przewrotny i wtedy, gdy wszystko wydaje się już ustalone, zmierzając do szczęśliwego zakończenia, historia nagle zaczyna zmieniać swój bieg...

Spis treści

* * *

Prolog

Ciaputek

Poszukiwacze szczęścia

Iluzja

Presja

Zamek z piasku

Fiona

Ploteczki

Druga szansa

Epilog

Polecamy